WOLONTARIUSZE
Ludzi dobrej woli jest coraz więcej

SENS CAŁUNU
Nie ikona, lecz zasłona

OBROŃCY UKRAINY
Paweł Pieniążek z frontu w Donbasie

KONOPNICKA
Patronka roku, jakiej nie znacie

DOBRE DŹWIĘKI
Muzyka, która leczy

Kraków 22 maja 2022 nr 21 (3802) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

Polska od nowa

JAK URZĄDZIĆ KRAJ, ŻEBY Z KRYZYSU UCIEC DO PRZODU

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

Przesuwamy granicę pomocy

PIERWSZE CIEPŁE DNI WIOSNY, dwie starsze kobiety stoją pod kontenerem oznaczonym po ukraińsku „Polska Misja Medyczna", jeszcze dyskutują z dwiema lekarkami. Przed chwilą jedna z nich wyszła z poleceniem, żeby jak najszybciej zgłosić się do okulisty. Zrobi to dopiero po polskiej stronie, jest już popołudnie, a one muszą jeszcze przekroczyć granicę i dotrzeć do punktu recepcyjnego. Lekarzami będą się martwić później. Pozostaje jedynie zapisać im na kartce instrukcję, gdzie otrzyma niezbędną pomoc, i czas zająć się kolejnymi pacjentami, bo właśnie podjechał autobus. Takich osób codziennie przychodzą dziesiątki. Często z chorobami przewlekłymi, ale odkąd zaczęła się wojna, dostawy do aptek stały się rzadkością, a dbanie o zdrowie luksusem. Najpowszechniejsze są choroby układu krążenia. W wywiadzie wychodzi, że wcześniej brali leki. Jakie? Tabletki, takie co od zawsze. Lekarze próbują ustalić stan zdrowia pacjenta, zanim ten stanie w kolejce do przekroczenia granicy. Pomagają im w tym porozklejane wewnątrz kontenera kartki, na których widnieją podpowiedzi w kilku językach, choć z czasem wszystko można zapamiętać. Tak wyglądają ostatnie tygodnie na przejściach granicznych między Polską a Ukrainą, a przecież to zaledwie pierwsze kilometry w głąb ogarniętego wojną kraju. Żeby dotrzeć do ludzi, lekarze regularnie prowadzą wyjazdowe wizyty w przygranicznych miejscowościach, gdzie mieszkają całe rodziny, które nie zdecydowały się na opuszczenie ojczyzny.

Ponad dwa miesiące wojny można podsumować liczbami. Ponad 100 szpitali zniszczonych w takim stopniu, że nie da się z nich korzystać. Ponad 200 ataków na ambulanse, ponad 450 aptek, do których nie można już pójść. Nieznana liczba dzieci urodzonych w schronach i mieszkaniach, które już na początku swojego życia przeszły tyle, co niejeden dorosły. I tony profesjonalnego sprzętu medycznego, które od samego początku przekraczają granicę, byle tylko pomóc ukraińskim lekarzom dalej działać. Kupowane w Polsce, sprowadzane z Europy Zachodniej – przyda się wszystko, byle tylko co kilka dni z magazynów wyjechał kolejny transport. Do Polskiej Misji Medycznej zgłosiło się już ponad 400 ukraińskich szpitali, we wszystkich brakuje tak podstawowych rzeczy jak strzykawki i rękawiczki. To bez wątpienia największy projekt specjalistycznej pomocy medycznej w historii organizacji, która pomaga od ponad 20 lat, ma doświadczenie pracy w Iraku, Syrii i Wenezueli. Ale to właśnie wojna tocząca się zaledwie kilkaset kilometrów od krakowskiego biura okazała się prawdziwym wyzwaniem. Więc trzeba się z nim zmierzyć.

Najpierw były transporty sprzętu medycznego, rozrastające się z każdym tygodniem. Pierwszy, zorganizowany w zaledwie 3 dni, wyjechał do Lwowa. Już wtedy było wiadomo, że trzeba zrobić o wiele więcej, więc zaczęły się zakończone sukcesem starania o zgody na przewożenie leków i szczepionek. A następnie wielki krok – otwarcie szpitala polowego w Mikołajewie, niespełna półmilionowym mieście na południu kraju, w którym przebywają tysiące uchodźców wewnętrznych. Wkrótce pierwsze namioty staną na placu przy szpitalu publicznym, dla którego będzie stanowić wsparcie. Bo choć w piękny sposób przywitaliśmy miliony gości, którzy w naszym kraju znaleźli bezpieczeństwo, nie możemy zapominać o tych, którzy zostali. I tak długo, jak tylko będą tego wymagać okoliczności, polska pomoc będzie docierać do kraju na wschodzie Europy, którego mieszkańcy codziennie przypominają nam o tym, co dzieje się, gdy w jednym dniu rozpada się całe życie.

Dorota Zadroga Polska Misja Medyczna

Polska Misja Medyczna

www.pmm.org.pl

REKLAMA

20 Rzeczpospolita wolontariuszy
KRZYSZTOF STORY
„Dwie Polski" wspólnie rzuciły się do pomocy uchodźcom z Ukrainy. Czy coś przetrwa z tej nowej solidarności?

30 Nieprzedstawienie
DARIUSZ KOSIŃSKI
Całun Turyński to paradoksalna zasłona ukazująca nieobecność tego, co można zobaczyć – i jednocześnie doświadczenie tego, co niedoświadczalne.

40 Na drodze życia
PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z POPASNEJ
Ostatni skrawek obwodu ługańskiego może niebawem wpaść w ręce Rosjan. Ukraińscy żołnierze bronią go resztkami sił.

78 Graj i słuchaj
O kojącej sile muzyki MAREK KĘSKRAWIEC *rozmawia z prof.* KRZYSZTOFEM STACHYRĄ, *prezesem Polskiego Stowarzyszenia Terapii przez Sztukę.*

52 Wszystkie twarze Marii
EWELINA BURDA
o feministce i buntowniczce znanej raczej jako autorka męczących szkolnych lektur. 180 lat temu na świat przyszła Maria Konopnicka.

69 Dolly z niedoli
JAN BŁASZCZAK
Kochać Dolly Parton to jak kochać Amerykę bez Guantanamo, Wall Street i zatrutej wody we Flint w stanie Michigan. Każdy by takiej chciał.

ANDRZEJ GRYGIEL / EAST NEWS // STEFANO GUIDI / CORBIS / GETTY IMAGES // CARLOS GARCIA RAWLINS / REUTERS / FORUM // CURTIS HILBUN / MEGA / FORUM // POLONA.PL / DOMENA PUBLICZNA // PAWEŁ PIENIĄŻEK

6 Prezes do bicia
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

20 Rzeczpospolita wolontariuszy
KRZYSZTOF STORY

24 Lekcja pokoju w czasie wojny
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI *rozmawia z socjologiem edukacji* MICHAŁEM PALUCHEM *o wyzwaniach, jakie polskiej szkole stawia obecność uczniów z doświadczeniem wojny*

27 Porządki w szafie
ALEKSANDRA BOĆKOWSKA: *Jak się ubieramy po pandemii*

WIARA

30 Nieprzedstawienie
DARIUSZ KOSIŃSKI

34 Mistyk, dziennikarz, święty
SEBASTIAN DUDA *przybliża postać o. Tytusa Brandsmy*

36 Płeć w Kościele
ARTUR SPORNIAK: *Niemiecka droga synodalna nie przestaje wzbudzać kontrowersji*

ŚWIAT

40 Na drodze życia
PAWEŁ PIENIĄŻEK

45 Podzielone przestrzenie Belfastu
AGATA KASPROLEWICZ: *Pytanie o referendum w sprawie zjednoczenia Irlandii nie brzmi „czy", ale „kiedy"*

JOZEF MICIC / ADOBE.STOCK.COM

TEMAT TYGODNIKA

12 Polska do zmiany
RAFAŁ MATYJA
Istotą wielkich planów cywilizacyjnych nie musi być to, jak poskładają się w wielkie liczby na poziomie makro. Myślenie o państwie trzeba zacząć od poziomu ulicy.

DODATEK

62 MuFo – Muzeum Fotografii w Krakowie

FELIETONY

29 JACEK PODSIADŁO
39 WOJCIECH BONOWICZ **56** HANNA KRALL
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
JOZEF MICIC / ADOBE.STOCK.COM

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

48 Filipiny czekają na mesjasza
PIOTR BERNARDYN *o triumfalnym powrocie klanu Marcosów do filipińskiej polityki*

HISTORIA

52 Wszystkie twarzy Marii
EWELINA BURDA

NAUKA

58 Zwierzę atypowe
MARTA ALICJA TRZECIAK: *Czy autyzm jest starszy niż człowiek, skoro część genów kojarzonych z zaburzeniami tego spektrum dzielimy z innymi zwierzętami?*

KULTURA

64 Tysiąc słów dziennie
ŁUKASZ ORBITOWSKI, PISARZ: *Kasety wideo z kiepskimi filmami stworzyły mnie jako pisarza. Ta kultura spadła na mnie w krótkim czasie w końcówce lat 80. Jeździłem na giełdę elektroniczną i brałem dziesięć kaset, w domu był magnetowid i oglądanie, oglądanie*

69 Dolly z niedoli
JAN BŁASZCZAK

72 Msza za ciebie
PIOTR GRUSZCZYŃSKI: *Co Romeo Castellucci zrobił z „Requiem" Mozarta*

74 Pozioma genealogia
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Mała mama" Céline Sciammy*

76 Brecht na nowo czytany
LEKTOR *o książce „Elegie bukowskie i inne wiersze" Bertolta Brechta*

ZMYSŁY

78 Graj i słuchaj
MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Glapiński zostaje, inflacja również
Inflacji mogą już nie zdusić wysokie stopy procentowe. Obawiam się, że jej kres położy dopiero recesja – mówi ekonomista **WOJCIECH PACZOS** w rozmowie z **MARKIEM RABIJEM** | **powszech.net/inflacja**

Gdzie jest wyjście awaryjne? [Rosyjska Ruletka]
Porażkę trzeba zamaskować. Tylko że Kreml na niepowodzenia reaguje nowym atakiem agresji. Czy tak będzie tym razem? – pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** | **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PREZES DO BICIA

Adam Glapiński nie ponosi wyłącznej odpowiedzialności za poziom inflacji w Polsce. Lista błędów, jakich dopuścił się jako prezes NBP, jest jednak dostatecznie długa, żeby nie dawać mu szansy w drugiej kadencji.

MAREK RABIJ

W fotelu prezesa Narodowego Banku Polskiego Adam Glapiński będzie zasiadać przez sześć lat. Wysoka inflacja zapewne zostanie z nami równie długo. W kwietniu – jak podał właśnie GUS – sięgnęła 12,4 proc. Ekonomiści z rosnącą ostrożnością kreślą więc scenariusze na najbliższe miesiące, choć jeszcze kilka tygodni temu zgadzali się, że fala drożyzny zacznie opadać, osiągnąwszy pułap 15 proc. Dziś niektórzy przesuwają już ten szczyt bliżej 20 proc. Stopy procentowe? Miesiąc temu uważano, że miały wyhamować na poziomie 6 proc. – teraz wszystko wskazuje na to, że będzie co najmniej poziom 8 proc.

Jako prezes NBP Adam Glapiński ponosi główną, choć nie wyłączną odpowiedzialność za tę katastrofę. Pod jego kierownictwem NBP, zgodnie z konstytucją powołany wyłącznie do czuwania nad wartością polskiej waluty, *de facto* włączył się do polityki gospodarczej rządu. Oczywiście, w okresie pandemicznego lockdownu bank musiał wesprzeć gospodarkę dodrukiem pieniądza, aby uchronić ją przed długotrwałą recesją. Wszystko, co nastąpiło

Posłanki i posłowie Lewicy na konferencji prasowej pod hasłem „Glapiński musi odejść!" przed Sejmem. Warszawa, 12 maja 2022 r.

potem, zasługuje jednak na miano poważnego błędu albo zaplanowanego z premedytacją podporządkowania polityki monetarnej interesom obozu rządzącego. Zdominowana przez Glapińskiemu Rada Polityki Pieniężnej przez wiele miesięcy lekceważyła narastające zagrożenie inflacyjne, na czym zyskiwał głównie rząd, któremu rosnące ceny pompowały dochody z VAT i pozwalały zadłużać się jeszcze bardziej dzięki korzystniejszej relacji długu publicznego do PKB (inflacja powoduje nominalny wzrost tego ostatniego).

Dziś NBP już nie lekceważy inflacji i ostro podnosi stopy. Problemem jest to, że inflacja zdaje się lekceważyć bank centralny i na razie nie reaguje na te podwyżki. Trudno mówić o zaskoczeniu, bo w tym samym czasie rząd nie widzi powodu do korekty hojnej polityki socjalnej, która działa destrukcyjnie na poziom cen, choć w wielu przypadkach jest uzasadniona interesem społecznym. Za sprawą podwyżek stóp procentowych NBP do końca roku zmniejszy konsumpcję o jakieś 60 mld zł, ale w tym samym czasie rząd zasili ją około 80 mld zł poprzez tarczę antyinflacyjną, pomoc dla kredytobiorców, obniżkę podatków oraz wypłatę 14. emerytur. Głównym architektem inflacyjnej spirali jest więc rząd. Ale to Adam Glapiński stał się jej twarzą.

Także dla opozycji, która tak samo długo nie dostrzegała groźby inflacji pod powierzchnią doraźnych problemów, szef NBP jest dziś chłopcem do bicia. Krytyka prezesa NBP wystarcza jej za całą wizję polityki monetarnej, a chwilami trudno oprzeć się wrażeniu, że wybór Glapińskiego na kolejną kadencję posłowie PO i Lewicy powitali z ulgą. Nie trzeba zmieniać treści przemówień, w których roi się od słowa „drożyzna", za to ze świecą szukać choćby śladu namysłu nad tym, jak ją powstrzymać.

W tych warunkach lepiej porzucić nadzieje na szybkie zduszenie inflacji, a tym bardziej na powrót stóp procentowych do poziomu sprzed roku. Rząd wybierze z pewnością najbezpieczniejsze dla siebie rozwiązanie i będzie ją gasić „benzyną" kolejnych transferów socjalnych. A podporządkowany mu NBP nie będzie w tym przeszkadzać. To oczywiście przepis na niemal pewną recesję, ale mniej więcej na rok przed wyborami politycy nie odważą się na nic więcej. Dlatego kolejne instytucje, włącznie z Międzynarodowym Funduszem Walutowym, zapowiadają na przyszły rok hamowanie polskiej gospodarki, której wysokie ceny będą szkodzić coraz bardziej.

Zapnijmy pasy. A raczej je zaciśnijmy. ©℗

Zobacz także serwis specjalny:
www.TygodnikPowszechny.pl/gospodarka

RAFAŁ GUZ / PAP

Władza nie ma ochoty na wybory

MAREK KĘSKRAWIEC

Było dużo dramatu, a skończyło się jak zawsze. Koalicja PiS-u ze Zbigniewem Ziobrą musi trwać, bo samobójcą byłby ten, kto postanowiłby ją zerwać akurat teraz. Sondaże nie są dla Zjednoczonej Prawicy łaskawe – tzw. efekt flagi związany z wojną został zapewne zniesiony przez obawy Polaków o to, czy władza poradzi sobie z kryzysem. W efekcie rządzący mogą dziś liczyć na ok. 36-37 proc. poparcia. To dużo, ale nie daje wielkich szans na pozostanie u władzy. Zwłaszcza że w kilku niedawnych sondażach jedyny możliwy koalicjant, Konfederacja – balansował na granicy progu. Inna sprawa, czy taki sojusz byłby w ogóle możliwy. Konfederacja wydaje się czekać na koniec karnawału przyjaźni polsko-ukraińskiej i na ewentualnych konfliktach chce budować poparcie. To zaś stoi w sprzeczności z mocno proukraińską polityką rządu.

PiS nie może sobie pozwolić na rozwód z Solidarną Polską, bo wie, że oznaczałoby to mniejszościowy rząd i wybory, a przy ostrej antyunijnej kampanii Ziobro może zebrać nawet 2-3 proc. głosów. Na to Jarosław Kaczyński nie może sobie pozwolić, tak samo jak szef SP, który wie, że samodzielnie raczej nie przekroczy progu. Stąd też, w zamian za poparcie dla wygaszenia Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, Ziobro otrzymał nominacje dla kilku „swoich" sędziów w neo-KRS. Spór w koalicji zażegnano, zaś UE ustąpi zapewne w kwestii polskiej praworządności (cóż, przynajmniej wypłacą nam te miliardy).

Nawet przy pieniądzach z Krajowego Planu Odbudowy kryzys będzie postępował, co umocni opozycję. PO notuje ostatnio od 19 do 27 proc. poparcia, Polska 2050 ma regularne 8-10 proc., ale już Lewica – czasem przegania Szymona Hołownię, a czasem spada pod próg. Nic dziwnego, partia skupiła się na szlachetnej walce o prawa mniejszości, ale oddała PiS-owi troskę o biednych ludzi – elektorat jest więc trochę zdezorientowany. Na dokładkę mamy PSL, który balansuje na progu, ale sporo już razy z podobnych kłopotów wychodził.

Partie opozycyjne mogą dziś dojść do władzy tylko z Donaldem Tuskiem na czele, a jednocześnie prawie wszystkie boją się jego dominacji. Nie wygląda też, by Tusk zrozumiał, iż nie jest już hegemonem i musi iść na kompromis. Dobrze wychodzą mu ostatnio bon moty o czereśniach, ale ostentacyjne ignorowanie pytań o program staje się nieznośne. Jakby nie rozumiał, że PiS nie rządzi przypadkiem, a Polacy – jeśli mają zmienić władzę – chcą wiedzieć, co ta nowa dla nich szykuje. ©℗

Ukraińcy nie chcą polskich egzaminów

DO MATURY na poziomie podstawowym zgłosiło się 41 młodych uchodźców z Ukrainy, z czego jeden ostatecznie się nie stawił. Do egzaminu ósmoklasisty, który odbędzie się w przyszłym tygodniu (24-26 maja), podejdzie nieco ponad 7 tys. uczniów zza wschodniej granicy. Perspektywa polskiego egzaminu na zakończenie szkoły podstawowej sprawiła, że większość ukraińskich uczniów w wieku pasującym do klasy ósmej trafiła w ostatnich miesiącach do klas siódmych.

Część oświatowych ekspertów skrytykowało zasady, na jakich Ukraińcy kończą nasze podstawówki. Po pierwsze, za niespójność: absolwenci ukraińskich szkół podstawowych mogą dostać się do naszych liceów bez dodatkowych testów, zaś ich rówieśnicy, którzy mieli szczęście (nieszczęście?) trafić na kilka miesięcy do klasy ósmej nad Wisłą, muszą też podejść do tutejszych egzaminów. W dodatku – to drugi punkt krytyki – na surowych zasadach: co prawda z poleceniami podanymi w języku ukraińskim i wydłużonym czasem zdawania, ale też z koniecznością pisania w naszym języku.

W polskim systemie oświatowym zarejestrowanych jest już 200 tys. dzieci, które uciekły przed wojną. Kolejne pół miliona przebywających w Polsce korzysta z nauki zdalnej w ramach ukraińskiego systemu.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Miliardy na geotermię

KRZYSZTOF STORY

W Polsce zbiorniki geotermalne znajdują się pod połową powierzchni kraju. Jednak do tej pory nie wykorzystywaliśmy odpowiednio tego stabilnego, niskoemisyjnego źródła energii. Geotermia stanowi dziś zaledwie 0,3 proc. polskiego miksu (średnia unijna jest 10 razy większa), pozyskujemy 5-krotnie mniej tej energii, niż zakładaliśmy w 2010 r. w Krajowym Planie Działania w zakresie wykorzystania Odnawialnych Źródeł Energii.

Teraz ma się to zmienić. 11 maja Ministerstwo Klimatu i Środowiska opublikowało „Wieloletni Program Rozwoju Wykorzystania Zasobów Geotermalnych w Polsce". To mapa rozwoju sektora do 2050 r. Planowane koszty siegają 49 mld złotych, z czego 12 mld to dotacje z publicznych pieniędzy. Już w tym roku wsparcie dla samorządów wzrośnie z 300 do 480 mln złotych.

Polską geotermię w kwietniu 2022 r. skontrolował NIK. Raport można streścić jako „zmarnowany potencjał": mamy dobrze rozpoznane zasoby, z którymi niewiele robimy – od 2015 r. lista sześciu polskich ciepłowni geotermalnych powiększyła się tylko o Toruń (w przyszłym roku dołączy Sieradz). Długoletnia strategia jest szansą na zmianę, o ile nie zostanie, jak wiele innych podobnych programów, budżetowo zapomniana po kilku latach. ©℗

Sanepid trochę odleciał

KRAKOWSCY INSPEKTORZY sanitarni zarzucili firmie Good Lood, że w swej aplikacji, za pomocą której dokonuje się zakupów, brak jest odpowiedniego opisu oferowanych produktów, czyli... lodów. Brzmi to dość absurdalnie, ale sprawą musiał zająć się Wojewódzki Sąd Administracyjny, w którym rozpatrywane są zazwyczaj dużo poważniejsze spory, choćby wokół pozwoleń na budowę albo przepisów podatkowych. Tym razem musiał zająć się troskami sanepidu, który uznał, że opis w aplikacji Good Looda mógł być mylący. Tymczasem firma jest producentem najpopularniejszych w mieście lodów rzemieślniczych, co oznacza, że klienci doskonale rozumieją jej przekaz.

Również WSA uznał, że firma nikogo nie wprowadza w błąd. Sanepid miał jednak rację zarzucając Good Loodowi brak w aplikacji informacji o alergenach. Dobre i to.

©℗ MAREK KĘSKRAWIEC

KRAJ W SKRÓCIE

UKARANIE

Policyjna grupa Speed zatrzymała w Grudziądzu 21-latka, który pędził na hulajnodze elektrycznej 50 km/h, przekraczając dopuszczalną prędkość o 30 km/h. Kara za naruszenie przepisów nie była wysoka: 400 zł mandatu.

MATERIAŁY PRASOWE POLICJI

UNIEWAŻNIANIE

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Lublinie unieważnił uchwałę Rady Powiatu w Rykach na temat „powstrzymania ideologii gender i LGBT", a także stanowisko Sejmiku Województwa Lubelskiego dotyczące „wprowadzania ideologii LGBT do wspólnot samorządowych". Tym samym sądy administracyjne uwzględniły wszystkie skargi składane na podobne uchwały przez RPO.

UBOLEWANIE

„Wydarzenie, do którego doszło podczas składania wieńców przy grobach poległych żołnierzy sowieckich przez ambasadora Federacji Rosyjskiej, stanowi incydent, który nie powinien mieć miejsca, incydent ze wszech miar godny ubolewania" – skomentował szef MSZ oblanie rosyjskiego dyplomaty czerwonym sokiem przez ukraińską aktywistkę.

WYBIERANIE

Sejm wybrał nie tylko prezesa NBP, ale także członków Krajowej Rady Sądownictwa, mimo iż opozycja podkreślała niekonstytucyjność wprowadzonej przed kilkoma laty reformy tego ciała i fakt, że jego stan jest jednym z przedmiotów sporu rządu z instytucjami europejskimi.

Kryzys paliwowy na Ukrainie

DŁUGIE KOLEJKI przed stacjami benzynowymi, a jeszcze częściej zamknięte puste stacje: to skutek rosyjskiej inwazji, który uderza w gospodarkę Ukrainy i zwykłych ludzi.

Tego dnia Borys, dziennikarz z powiatowego miasta zachodniej Ukrainy, wstał wcześnie. Liczył, że gdy ustawi się z rana w kolejce na pobliskiej stacji, uda mu się kupić choćby te limitowane 10 litrów dla prywatnej osoby (w niektórych sieciach z kartą klienta wolno kupić nieco więcej). Odstał wiele godzin, aby na koniec usłyszeć, że paliwa zabrakło.

Podobne sceny rozgrywają się od paru tygodni na całej Ukrainie. Spośród kilkunastu stacji, które minąłem jadąc w ubiegłym tygodniu po Ziemi Lwowskiej, otwarta była tylko jedna, a przed nią długa kolejka. Braki dotyczą głównie benzyny i ropy, lepsza sytuacja jest z autogazem. Wzrosły też ceny: dziś są podobne jak w Polsce lub wyższe. Z kolei kupując na wtórnym rynku (o ile ktoś chce sprzedać), trzeba płacić nawet dwukrotną cenę. Za to wojsko oraz służby ratunkowe i komunalne mogą kupić paliwo na talony (wydaje je administracja).

Deficyt paliw to skutek wstrzymania dostaw z Rosji i Białorusi, a także nalotów na ukraińską infrastrukturę: na magazyny paliw i rafinerie – tę w Krzemieńczuku (największą w kraju) i Łysyczańsku. Tymczasem, jak podaje Ośrodek Studiów Wschodnich, Ukraina produkowała dotąd tylko 50 proc. potrzebnej benzyny i 15 proc. oleju napędowego, a dwie trzecie importowanych paliw sprowadzano z Białorusi i Rosji.

Kraj rozbudowuje teraz import z Unii i innych regionów, ale logistycznie to trudne. Portal Radio Svoboda cytował 13 maja minister gospodarki Julię Swiridenko, która mówiła, że rezerwy benzyny starczą na pięć dni, a oleju napędowego na trzy. Kwestię paliw nazwała drugą najważniejszą po dostawach broni.

Trudno ocenić, jak sytuacja przełoży się na gospodarkę, w tym rolnictwo. Choć żółte pola rzepaku ciągną się miejscami po horyzont, to jeśli brak paliw potrwa, trudno będzie prowadzić prace polowe. Byłby to kolejny problem dla branży, która za sprawą blokady portów nie może wyeksportować zeszłorocznych zapasów zbóż i olejów.

Brak paliw uderza też w wolontariat, który odgrywa istotną rolę we wsparciu dla armii i cywilów dotkniętych wojną. Aby zawieźć pomoc do ostrzeliwanych miast i frontowych szpitali, wolontariusze dokonują cudów. Stąd ich prośby: aby jadący z Polski zabierali – prócz pomocy humanitarnej – także choćby jeden kanister z paliwem.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK z Ziemi Lwowskiej

Więcej na
TygodnikPowszechny.pl/atak-na-ukraine

AMMAR AWAD / REUTERS / FORUM

SHIREEN ABU AKLEH stała się nową „twarzą" tego konfliktu, Palestyńczycy nazywają ją „głosem pokolenia": 51-letnia dziennikarka telewizji Al-Dżazira (Palestynka urodzona w Jerozolimie, grekokatoliczka i obywatelka USA) zginęła 11 maja od strzału w głowę, gdy relacjonowała wymianę ognia między armią izraelską a Palestyńczykami w Dżeninie. Obie strony obwiniają się o śmiertelny strzał. Izrael proponuje wspólne śledztwo, Autonomia Palestyńska odmawia wydania kuli i chce oddać sprawę do Międzynarodowego Trybunału Karnego (Izrael go nie uznaje). Pogrzebowi w Jerozolimie 13 maja (na zdjęciu) towarzyszyły gwałtowne starcia. Sytuacja w Izraelu i Palestynie jest od wielu tygodni napięta; w dzień pogrzebu Abu Akleh w Dżeninie zginął zastrzelony izraelski żołnierz. ©℗ WP / SZ, FAZ, DPA

Chiny: dyktatura w czasach zarazy

NAJPIERW BYŁ SHENZHEN, potem Szanghaj, teraz widmo całkowitego lockdownu krąży nad Pekinem. W pięć dni przetestowano niemal całą ludność 22-milionowej stolicy Chin. Zamknięte są szkoły i restauracje, praca biurowa trwa zdalnie, a do autobusu wsiąść wolno tylko po okazaniu wyniku testu na covid. Wystarczy jeden przypadek infekcji, by zamknąć blok mieszkalny, a kilkanaście, by odizolować dzielnicę. Kwarantanna czeka każdego zakażonego, nawet bez symptomów: dwumiesięczne dziecko, 90-letniego starca i osobę z zaawansowanym nowotworem.

Wbrew opiniom WHO słuszność chińskiej strategii walki z wirusem, zwanej „covid-zero", nie podlega dyskusji – tak bowiem zadekretował przywódca kraju Xi Jinping, który jest nieomylny. Chiny nie zejdą z tej drogi przynajmniej do jesieni, gdy Xi, podważając dotychczasowe reguły, zostanie wybrany na trzecią kadencję (*de facto* dożywotnio). Linia partii musi więc pozostać niewzruszona.

Podejście Pekinu do pandemii już wcześniej budziło kontrowersje na świecie, ale skuteczność metody gwarantowała poparcie chińskiego społeczeństwa: dotąd na covid zmarło tu oficjalnie 5,2 tys. ludzi. Jednak sytuacja zmieniła się, gdy lockdown objął aglomeracje i tamtejszą klasę średnią, skłonną akceptować brak politycznych swobód, ale pod warunkiem zachowania uroków konsumpcyjnego modelu życia.

Teraz okazało się, że ta strefa komfortu zależy od jednej odgórnej decyzji. Własny dom mógł zostać nagle otoczony płotem lub zaanektowany na szpital, a kwarantanna, często w opłakanych warunkach sanitarnych, też nie należy do przyjemności. Z okien zakłódkowanych wieżowców lokatorzy wołali o jedzenie i leki. Tylko w Szanghaju z powodu lockdownu spodziewano się przedwczesnej śmierci tysiąca cukrzyków. Dochodziło na tym tle do starć z policją – zjawisko dotąd nieznane w zamożnych dzielnicach. Z kolei zamrożenie gospodarki przełożyło się na problemy bytowe ludzi i relacje Chin ze światem. Chęć opuszczenia miejscowego rynku, choćby częściowo, deklaruje 79 proc. firm z USA.

Takie skutki niesie przymus podążania społeczeństwa za wizją jednego człowieka. Tym większą trwogę budzą więc wieści o fali covidu uderzającej dziś w Koreę Północną. Biorąc pod uwagę zapaść tamtejszej gospodarki i sposób traktowania obywateli, kraj ten czekać może humanitarna katastrofa. © PIOTR BERNARDYN z Tokio

Ekspresem do NATO

TO BĘDZIE najszybsze w historii Sojuszu przyjęcie nowych członków. Po tym, jak polityczni przywódcy Finlandii i Szwecji zarekomendowali złożenie wniosków o członkostwo, powszechny jest pogląd, że taką decyzję podejmą wkrótce oba parlamenty, a Sojusz zaakceptuje je ekspresowo. Cytowany przez niemiecki „FAZ" urzędnik NATO ocenia, że od wniosku do podpisu pod protokołem akcesyjnym miną „jakieś dwa tygodnie". Potem ratyfikacja przez wszystkie 30 krajów Sojuszu może trwać parę miesięcy (dotąd standardem było kilkanaście).

Gdy idzie o aspekt praktyczny, oba kraje mogą być włączone w strukturę wojskową z dnia na dzień. Po aneksji Krymu i wojnie w Donbasie obie armie zintensyfikowały współpracę z NATO i spełniają standardy. Niektórzy politycy zachodni uważają, że już na etapie akcesji Finlandię i Szwecję powinny objąć gwarancje.

Jeszcze parę miesięcy temu taki zwrot był nie do pomyślenia: Finowie i Szwedzi byli przywiązani do neutralności, która w pierwszym przypadku datuje się od 1944 r., a w drugim od 200 lat. Zmieniło się to radykalnie, gdy Rosja w grudniu 2021 r. zażądała od Sojuszu i USA przyjęcia nowych traktatów o bezpieczeństwie w Europie (rosyjskie projekty dotyczyły nie tylko Ukrainy i gdyby je przyjęto, także Szwecja i Finlandia znalazłyby się w szarej strefie bezpieczeństwa), a potem 24 lutego uderzyła na Ukrainę. W efekcie Rosja osiągnęła odwrotność tego, czego oczekiwała. Jej granica z NATO wydłuży się o 1340 km (tyle wynosi granica fińsko-rosyjska), a Morze Bałtyckie będzie niemal wewnętrznym morzem Sojuszu, co cieszy zwłaszcza kraje bałtyckie.

NATO spodziewa się, że Rosja podejmie teraz prowokacje: cyberataki, naruszanie przestrzeni itd. Tuż po wystąpieniu prezydenta i pani premier Finlandii rosyjski koncern wstrzymał eksport prądu – a 10 proc. zużywanej energii Finowie importowali dotąd z Rosji.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK / FAZ, NZZ

RDC POLSKIE RADIO

MARTA ALICJA TRZECIAK, autorka tekstu o autyzmie u zwierząt (str. 58), będzie gościem Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

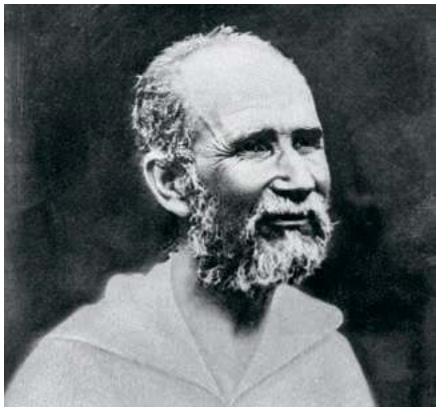

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

De Foucauld: prostota, kontemplacja, wdzięczność

OTO PRZEPIS na szczęśliwą świętość, jaką 116 lat temu ostatecznie osiągnął brat Karol de Foucauld, kanonizowany w niedzielę przez papieża Franciszka.

Zostań sierotą w wieku 6 lat. Strać wiarę w czasie edukacji szkolnej. W poszukiwaniu mocnych przeżyć wstąp do wojska. Zostań wyrzucony za brak dyscypliny i niemoralne prowadzenie się. Wstąp ponownie, by brać udział w walkach w Afryce. Wystąp z wojska i poznawaj Maroko, podróżując po kraju w przebraniu żyda. Nawróć się na wiarę ojców pod wpływem podziwu dla spotkanych pobożnych muzułmanów. Wstąp do trapistów. Odkryj, że to nie to. Z trudem i z kłopotami uzyskaj zgodę na wystąpienie i własną, ubogą, pustelniczą formę życia. Szukaj swojego miejsca najpierw w Palestynie, a potem w Algierii.

Napisz regułę dla wymarzonego zakonu, do którego za twojego życia nikt nie wstąpi. Mieszkaj ubogo wśród Tuaregów, modląc się w ciszy, próbując ich zrozumieć i być dla nich dobrym. Opracuj słownik tuaresko-francuski i przetłumacz na tuareski ewangelie. Głoś Tuaregom Jezusa, w ogóle ich nie nauczając, a jedynie się z nimi zaprzyjaźniając. Próbuj żyć w pokoju ze wszystkimi i zgiń podczas konfliktu zbrojnego, zastrzelony trochę przypadkowo, w zamieszaniu, przez nerwowego wojownika z plemienia wrogich Tuaregom Senussów.

Innymi słowy: całe życie idź za głosem, który rozbrzmiewa w twojej głębi i nie pozwala ci zadowolić się zwykłym, przeciętnym życiem, lecz pcha do poszukiwania czegoś większego. Idź nie zważając na żadne społeczne schematy. Ale bądź gotowy rozpoznać, że owo Największe i Nieskończone leży przed tobą w tym, co najprostsze, pozornie pozbawione znaczenia. W zwykłym chlebie kryje się boskość.

©℗ PIOTR SIKORA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PUSTO

W Olsztynie po raz pierwszy od długiego czasu nie będzie święceń kapłańskich. „Z kilku kandydatów, którzy się zgłosili sześć lat temu, nie pozostał ani jeden" – przyznał rektor seminarium ks. Hubert Tryk.

KRYTYCZNIE

Aż 79 proc. Polaków źle oceniło wypowiedź papieża Franciszka o „NATO szczekającym pod drzwiami Rosji", które padły w wywiadzie dla włoskiej gazety. Równocześnie tylko 9 proc. z tych osób twierdzi, że wpłynęło to na osłabienie ich religijności – wynika z sondażu IBRiS.

STANOWCZO

Abp Wacław Depo zagroził ekskomuniką ks. Danielowi Galusowi, jeśli w prowadzonym przez niego ośrodku nadal będą sprawowane sakramenty. Na zbuntowanego księdza została nałożona kara suspensy, a „pustelnia" w Czatachowej została wyłączona z użytku liturgicznego. Mimo to ks. Galus sprawuje msze, podczas których nie wymienia imienia miejscowego biskupa. To symptom schizmy.

W SZOKU

Słynny francuski kompozytor i reformator muzyki liturgicznej dominikanin o. André Gouzes został oskarżony o gwałt na kilkuletnim chłopcu. Francuska prokuratura bada wydarzenia sprzed kilkunastu lat. Polscy dominikanie zawiesili wykonywanie jego 28 utworów.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

KRZYSZTOF STORY, autor tekstu o wolontariacie (str. 20), będzie gościem Pawła Sulika w radiu TOK FM w środę 18 maja o godzinie 16.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

List do osób LGBT

ARTUR SPORNIAK

Amerykański jezuita o. James Martin, założyciel portalu outreach.faith, wspierającego osoby czujące się marginalizowane w Kościele, zadał Franciszkowi w liście trzy pytania, które najczęściej słyszy od katolików LGBT i ich rodzin. Po trzech dniach otrzymał odręcznie napisaną odpowiedź papieża, z podziękowaniem za to, co robi. Oto ten miniwywiad:

Co Twoim zdaniem najważniejszego osoby LGBT powinny wiedzieć o Bogu?
Bóg jest Ojcem i nie wyrzeka się żadnego ze swoich dzieci. A styl Boga to bliskość, miłosierdzie i czułość. Na tej ścieżce znajdziesz Boga.

Co chciałbyś, aby osoby LGBT wiedziały o Kościele?
Chciałbym, żeby przeczytali księgę Dziejów Apostolskich. Tam odnajdą obraz żywego Kościoła.

Co powiesz katolikowi LGBT, który doświadczył odrzucenia przez Kościół?
Chciałbym, żeby rozpoznali to nie jako „odrzucenie przez Kościół", tylko „przez ludzi w Kościele". Kościół jest matką i zwołuje wszystkie swoje dzieci. Weźmy np. przypowieść o zaproszonych na ucztę: sprawiedliwi, grzesznicy, bogaci i biedni, itd. Kościół „selektywny", „czystej krwi" nie jest Świętą Matką Kościołem, ale sektą.

Te odpowiedzi powinni wziąć sobie do serca wszyscy katolicy, także biskupi. ©℗

Oskarżony kardynał Zen

TO GROŹNA WIEŚĆ dla chrześcijan w Hongkongu: chińska policja bezpieczeństwa zatrzymała w minionym tygodniu 90-letniego kard. Josepha Zen Ze-kiuna, emerytowanego biskupa tego miasta, który wspierał miejscowy ruch demokratyczny. Wprawdzie po paru godzinach Zena zwolniono za kaucją, ale kardynałowi i kilku związanym z nim osobom postawiono zarzut udziału w „spisku", który zagraża bezpieczeństwu Chin. „Spisek" w istocie polegał na tym, że Zen i inni oskarżeni zarządzali fundacją, która pomagała prześladowanym: płaciła za leczenie rannych demonstrantów i za adwokatów.

Kręgi kościelne przyjęły zatrzymanie Zena z konsternacją: za kilka miesięcy ma zostać przedłużona umowa z 2018 r. między Chinami a Watykanem. Jest ona krytykowana także w samym Kościele, gdyż w ostatnich latach sytuacja katolików nie tylko nie poprawiła się, ale skala represji jeszcze się zwiększyła. Także Zen krytykował zbyt ugodową – jego zdaniem – politykę Franciszka wobec Chin.

©℗ WP / FAZ, DOMRADIO

KULTURA W SKRÓCIE

Z POEZJI

Marcin Sendecki został laureatem tegorocznej Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius za całokształt pracy twórczej. Gala wręczenia, podczas której zostaną ogłoszeni również zwycięzcy w kategoriach „książka roku" i „debiut roku", odbędzie się 15 października.

Z TEATRU

Grand Prix 62. Kaliskich Spotkań Teatralnych – Festiwalu Sztuki Aktorskiej otrzymała aktorka Maja Pankiewicz. Wyróżniona została za rolę Soni w sztuce Antoniego Czechowa „Wujaszek Wania" w reż. Małgorzaty Bogajewskiej z Teatru Ludowego w Krakowie.

Z MUZYKI

Kompozytor i pianista Jerzy Kornowicz oraz krytyczka muzyczna „Tygodnika" Dorota Kozińska zostali laureatami dorocznych Nagród Związku Kompozytorów Polskich.

Z MUZEUM

W Brukseli powstaje jedno z największych muzeów sztuki najnowszej, a jego dyrektorką artystyczną będzie polska historyczka sztuki Kasia Redzisz. Instytucja będzie kupować wyłącznie dzieła sztuki powstałe w XXI w.

Z FESTIWALU

Wyreżyserowana przez studentkę łódzkiej Szkoły Filmowej Olgę Kłyszewicz animowana etiuda „Jutro nas tam nie ma" zaprezentowana zostanie w studenckim konkursie festiwalu w Cannes.

Z AUKCJI

Obraz „Portrait of a Lady (After Louis Leopold Boilly)" Ewy Juszkiewicz został sprzedany na aukcji charytatywnej Christie's w Nowym Jorku za ponad półtora miliona dolarów. Artystka jest laureatką m.in. Grand Prix na Biennale Malarstwa Bielska Jesień i nagrody specjalnej konkursu Artystyczna Podróż Hestii.

GRAŻYNA MAKARA

JERZY TRELA, wielki aktor, umarł 15 maja w wieku 80 lat. Po liceum plastycznym pracował jako lalkarz w krakowskiej Grotesce i tam namówiono go, by zdawał do szkoły teatralnej. Od 1970 do 2014 r. w Starym Teatrze, u Swinarskiego był Gustawem/Konradem w „Dziadach" i Konradem w „Wyzwoleniu", u Jarockiego – Ojcem w „Ślubie". Grał u Grzegorzewskiego, Wajdy, Lupy, we wspaniałych spektaklach Kutza w Teatrze Telewizji, w „Wielkim kazaniu księdza Bernarda" Leszka Kołakowskiego w Teatrze STU. Do tego mnóstwo ról filmowych – a także rola rektora PWST. Zostanie z nami na zawsze jego wyrazista twarz, niesamowity głos i aktorskie mistrzostwo. ©℗ TF

W rozmowie, którą opublikowaliśmy na naszych łamach w 2017 r., mówił: „Niepewność w aktorze będzie tkwić zawsze. Nawet jeśli niektórzy ją mocno kamuflują, pokazując, jacy są potężni, to tli się w nich wrażliwość". Wywiad można czytać pod adresem **powszech.net/trela**

W co grają Dukaj i Tokarczuk

NOLENSUM, nowa spółka technologiczna Jacka Dukaja, ma zająć się przekładaniem jego książek na język produkcji audiowizualnych i gier. Sam Dukaj jest już zaangażowany w tworzenie scenariusza pierwszej gry „Hardware Dreams", opartej na powieści „Starość aksolotla". Na jej podstawie Netflix zrealizował dwa sezony serialu pt. „Kierunek: noc", który doczekał się tureckiego spin-offu „Yakamoz S-245". Reżyserem gry, odpowiedzialnym także za jej stronę wizualną, jest Maciej Jackiewicz, dyrektor artystyczny i współtwórca m.in. „Cyberpunka 2077" oraz „Wiedźmina".

Tymczasem w studiu Sundog trwają prace nad grą na podstawie powieści Olgi Tokarczuk „Anna In w grobowcach świata" – współscenarzystką „Ibru" jest sama noblistka. Krakowskie studio Starward Industries kończy z kolei grę „Niezwyciężony" opartą na prozie Stanisława Lema. Gracz trafia tam na pustynną planetę Regis III, gdzie musi zbadać sprawę zaginionego statku. Premiera jeszcze w tym roku. ©℗ MOCH

Oto nasza czarna dziura

PO PIĘCIU LATACH analizy petabajtów danych z ośmiu radioteleskopów rozsianych po świecie od Hiszpanii po Antarktydę – zbiorczo zwanych Teleskopem Horyzontu Zdarzeń – astronomowie zaprezentowali obraz supermasywnej czarnej dziury kryjącej się w centrum naszej Galaktyki. To drugie w historii „zdjęcie" tego typu obiektu. Podobnie jak na tym sprzed trzech lat, które przedstawiało monstrualną czarną dziurę w odległej galaktyce M87, widać na nim pierścień rozgrzanej materii opadającej spiralnie do mrocznego wnętrza, z którego nic – nawet światło – nie może się wydostać.

„Nasza" czarna dziura znajduje się 27 tys. lat świetlnych od Ziemi na tle gwiazdozbioru Strzelca i jest stosunkowo niewielka. Choć ma masę 4 milionów Słońc, to jest od naszej gwiazdy ledwie 30-krotnie większa. Dla porównania, jej kuzynka z galaktyki M87 skupia w sobie masę 6,5 miliarda Słońc. Tak ogromna rozpiętość mas to jednak świetny prezent dla astrofizyków, który pozwoli im bardziej przekrojowo zbadać zachowanie materii, światła i samej czasoprzestrzeni w ekstremalnych warunkach.

© TOMASZ MILLER

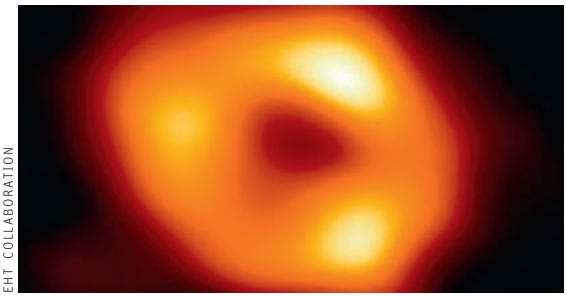

EHT COLLABORATION

TEMAT TYGODNIKA

POLSKA DO ZMIANY

Wojna przynosi złudne nadzieje, ale też uczy, że świata nie buduje się dla coraz większych przyjemności. Wojna przywraca społeczeństwom horyzont, jakim jest katastrofa. Będzie on nam potrzebny w zmaganiu z nadchodzącymi wyzwaniami.

RAFAŁ MATYJA

Wszystko miało wyglądać inaczej. Mieliśmy obudzić się w świecie, po którym krążą autonomiczne samochody, a lodówka wysyła zamówienia do sklepu internetowego po to, by już nigdy nie powtórzył się dramat braku mleka do porannej kawy. Na horyzoncie majaczyło społeczeństwo mające sporo wolnego czasu i gwarantowany dochód podstawowy, a notoryczni pesymiści budowali swoje dystopijne narracje jako świetnie sprzedające się produkty rozrywkowe dla znudzonej publiczności. Wkrótce jednak przyszły wyraźne sygnały zmian klimatycznych, COVID-19, a wreszcie – atak Rosji na Ukrainę.

Początek historii

To oznacza, że przyszłość planują wraz z nami odwieczne żywioły: zaraza i wojna. Że wizję niepohamowanego rozwoju zastępują skromniejsze i bardziej praktyczne wyobrażenia o sobie. A przede wszystkim: że czas nauczyć się nowego sposobu kształtowania instytucji publicznych. To powrót do starej gry w nowoczesność – szukania rozwiązań, których nikt nie testował, tworzenia nowych i poprawiania istniejących planów, wymyślania się na nowo. Na drodze, o której znakomicie pisze Joanna Erbel w niedawno wydanej książce „Wychylone w przyszłość. Jak zmienić świat na lepsze". Jej rekomendacja to rezygnacja z utopijnych fantazji i dystopijnego przygnębienia – wybór protopii jako zbiorowego poszukiwania stanu, który jest „lepszy niż dzisiaj i niż wczoraj, nawet jeśli jest tylko trochę lepszy".

W ten sposób można przekształcać instytucje, zmieniać miasta, szukać nowej społecznej energii. Już nie tyle w indywidualistycznym modelu neoliberalnego społeczeństwa przenikniętego duchem przedsiębiorczości i sukcesu, ale bardziej solidarnego wobec wyzwań i ceniącego umiejętności współpracy, wyrównywania szans, mobilizowania dodatkowych zasobów. To wszystko będzie miało nowe szaty: instytucjonalne, ideowe, z czasem nawet architektoniczne i symboliczne. Może powstawać nawet w niedługiej przyszłości – na tyle, na ile pozwoli nam na to wojna.

Ta ostatnia zmieniła świat już w pierwszych tygodniach trwania. A jest dość oczywiste, że jej wpływ stanie się tym głębszy, im dłużej będzie prowadzona. Militarny, polityczny i ekonomiczny wynik zmagań na wschodzie będzie szczególnie ważny dla krajów takich jak Polska. Ale już dziś prowadzi do przewartościowań w myśleniu o tym, jakie mogą być istotne czynniki naszego bezpieczeństwa.

Ostatnie dwa lata dostarczyły przesłanek do poważnej rewizji tego, co myślimy o własnej przyszłości. I o tym narzędziu jej kształtowania, jakim jest państwo. Pandemia była nie tylko testem sprawności rządów i sektora publicznego, ale przyczyniła się też do nowych sposobów rozumienia siebie jako społeczeństwa. To pierwsza globalna epidemia przeżyta w warunkach szerokiego dostępu do internetu, efektywnych mediów społecznościowych, narzędzi pracy zdalnej i możliwych do przeprowadzenia lockdownów. Pandemia dostarczyła wielkiego mate-

riału do analizy porównawczej jakości działań państw i ich rządów, postaw społeczeństw, ukrytych wad porządków instytucjonalnych.

Sporo też wiemy o pierwszych miesiącach reakcji wojennych Zachodu. Tak jak brexit pozbawił Zjednoczone Królestwo nimbu państwa sprawnego i racjonalnego, tak obecnie pada wizerunkowa potęga Niemiec, niezdolnych do szybkiej i efektywnej korekty polityki pomimo wojennych działań Putina. Z kolei reportaż z (dotkniętych mocno covidem) Stanów Zjednoczonych świetnie pokazywałby ogromne słabości tego supermocarstwa. A przecież – parafrazując Fukuyamę – historia dopiero się rozpoczyna.

Stare instytucje i nowa mapa

Ta historia to nie tylko konflikt Zachodu z Rosją, wojna o niepodległość i granice Ukrainy, ale też wszystko, co może wydarzyć się później i przy okazji. To również rewizja sposobu funkcjonowania euroatlantyckiej części świata. Zarówno na poziomie współpracy między państwami, jak i samego sposobu ich działania. Instytucjonalna inercja okazała się jednak – co sprawdziliśmy w początkach pandemii – możliwa do przełamania w warunkach kryzysu, gdy rządy starały się osiągnąć poziom elementarnej skuteczności, gdy poszukiwały wiedzy i rozwiązań. Później bywało różnie, trochę w myśl powiedzenia „do wszystkiego można się przyzwyczaić”.

To nic dziwnego, że instytucje publiczne próbują przy pierwszej możliwej okazji „otrzepać się” ↦

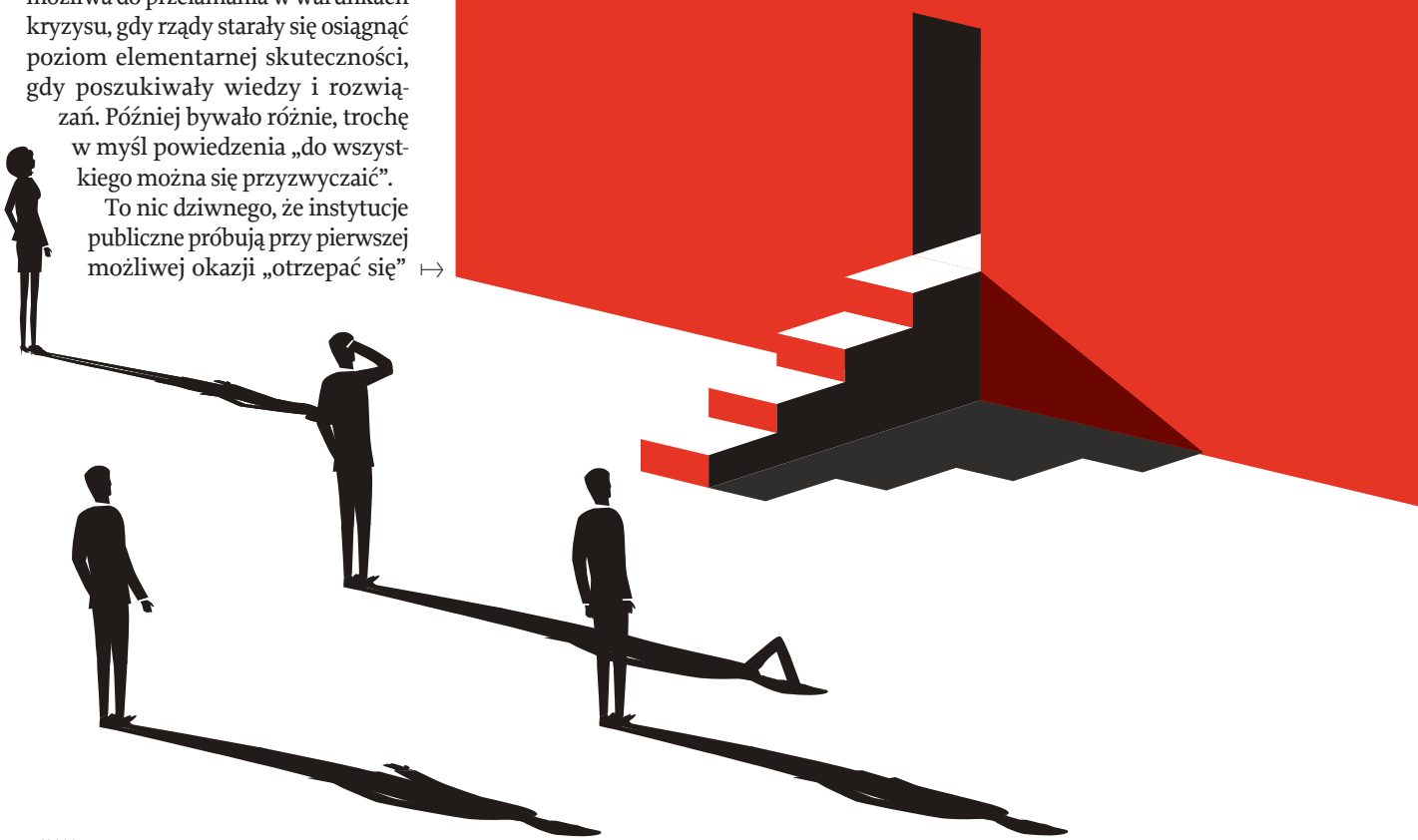

JOZEF MICIC / ADOBE.STOCK.COM

↦ z lockdownu i wrócić do starej rutyny. A szkoły i uczelnie nie pytają, czego dowiedzieliśmy się o sobie podczas zajęć zdalnych. Nie słyszymy o konieczności zasadniczej rewizji funkcji sanepidu.

Nieco inaczej jest z wojną. Tu retoryka władz państwowych pozostaje głównie w starym stylu, choć lekcja komunikacji, jakiej udzielają nam władze Ukrainy, jest warta zastanowienia. W przesłaniu Zełenskiego jest żywe państwo i naród walczący w jego obronie. Nie ma historycznych kostiumów, patosu „przeszłych pokoleń". Nie tylko dlatego, że Ukraina jest młodszym państwem, ale także z powodu świetnego opanowania przez Zełenskiego reguł nowoczesnej komunikacji. W tym samym czasie nasi liderzy państwowi próbują swoich sił w parodiowaniu jakiegoś dziwnego miksu PRL i Sanacji.

Szczęśliwie to, co mają do zrobienia w tym konflikcie Polacy, nie polega na wsparciu retorycznym. Ta wojna ze wszystkimi jej aspektami – humanitarnymi, ekonomicznymi, technologicznymi – stawia nas w nowej sytuacji. Najlepiej byłoby ją opisywać językiem wziętym z „Poruszonej mapy" Przemysława Czaplińskiego. Mimo iż jest to esej o kulturze i literaturze, stanowi też znakomity rezerwuar obserwacji geopolitycznych. Ale nie w tym sensie, o którym mówią dziś chętnie eksperci od rywalizacji mocarstw. „Poruszona mapa" zwraca naszą uwagę na zmiany, które na mapie mogłyby oddać lepiej korekty barw poszczególnych państw niż konturów granic. Wraz z europejską orientacją Ukrainy i dość jednoznacznym poparciem Zachodu dla jej niezłomnej obrony – zmienia się także barwa państw ościennych, które podkreślają swoją euroatlantycką orientację. Wyłom węgierski dodaje tej mapie jedynie kontrastu. Zmienia się nastawienie społeczeństw do form współpracy międzynarodowej oraz celów instytucji unijnych i atlantyckich.

Zmiany te nie zatrzymają się w miejscu, które widzimy obecnie. Przebieg działań wojennych, a szczególnie ich koszt, może prowadzić do kolejnych przewartościowań. Wojna zawsze przynosi ze sobą złudne nadzieje. Ale uczy także, że świata nie buduje się jedynie po to, by dostarczał coraz większych przyjemności. Wspólnym mianownikiem wojny i pandemii jest przywrócenie społeczeństwom horyzontu, jakim jest katastrofa, ryzyko niepowodzenia, porażka. Horyzontu, który będzie nam potrzebny w zmaganiu z problemami klimatycznymi i społecznymi nadchodzących lat. Bez którego trudno myśleć o państwie inaczej niż tylko o wielkiej machinie redystrybucyjnej.

> Istotą wielkich planów nie musi być to, jak poskładają się wielkie liczby na poziomie makro. Myślenie o państwie trzeba zacząć od poziomu ulicy.

Jeżeli wszystko skończy się w miarę dobrze, to znaczy wojna nie nadwyręży zanadto wspólnoty euroatlantyckiej – to nowe plany będziemy musieli snuć do pewnego stopnia razem.

Wymaga tego nie tylko logika konfliktu z Rosją czy konieczność wsparcia odbudowy Ukrainy, ale także wyzwania ekonomiczne, klimatyczne czy społeczne. To wspólne planowanie dokonywać się będzie pod dyktando sytuacji, na którą planujący nie będą mieli większego wpływu: radzenia sobie z kosztami lockdownów, odzyskiwania energii po pandemii, mierzenia się z realiami wywołanej przez Rosję wojny czy wreszcie sprostania wyzwaniom klimatycznym. W tle będzie się toczyć walka z rosnącymi po pandemii gigantami nowej cyfrowej gospodarki, gra z bankami i instytucjami finansowymi, próba przebudowy łańcuchów dostaw i odbudowania sprawności przemysłu.

Będziemy planować inaczej – ale jakoś planować musimy, zwłaszcza wiedząc, że są to wyjątkowo kruche narracje i niepewne kalkulacje.

Społeczne konkrety i władza miast

Istotą nowych planów musi być jednak nie to, jak poskładają się wielkie liczby na poziomie makro, ale jak poskłada się poziom mikro. To oznacza obserwowanie przez władze świata społecznych konkretów: sposobu funkcjonowania szkoły, instytucji opieki zdrowotnej, efektywnej pomocy dla najsłabszych. Obserwowanie tego, jak aplikowane są rozwiązania mające ograniczyć transport indywidualny na rzecz zbiorowego, lotniczy na rzecz kolejowego, jak poszczególne miasta i regiony radzą sobie z ograniczaniem emisji dwutlenku węgla. I przyglądanie się społecznym i technologicznym innowacjom.

Większość ważnych operacji – od radzenia sobie z kryzysem uchodźczym po skuteczną walkę ze smogiem czy emisją CO_2 – ma swój „odcinek miejski", często decydujący o powodzeniu całości. A właściwie należałoby powiedzieć „metropolitalny", bo zarówno kwestia transportu zbiorowego, jak też wymiana pieców, to operacje, których nie da się ograniczyć do administracyjnych granic miasta. W zasadzie niczego nie da się w ten sposób postrzegać. A zatem także optyka samorządów musi ulec przebudowie.

Pandemia pokazała, że miasta wiedzą dziś więcej niż rządy o „realnych procesach" i mają bliższy kontakt z tym, co nazywa się *street-level bureaucracy*. Nawet jeżeli nie zawsze potrafią sprostać wyzwaniom, to znają ich konkretny wymiar. Jeszcze wyraźniej widać to w czasie kryzysu migracyjnego.

Ale miasta dowiedziały się jeszcze jednego: ich siła nie da się sprowadzić do sprawności magistratu. Tak mogło być jeszcze w poprzednim okresie, gdy stawkę stanowiło skuteczne pozyskiwanie środków europejskich. Ale dziś zdolność reagowania na kryzys to przede wszystkim jakość instytucji trzeciego sektora, ich skala, kooperatywność i możli-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**
faniMani.pl

wość korzystania z synergii z działaniami władz publicznych.

Po latach koncentrowania się na technokratycznie rozumianej sprawności miasta potrzebują raczej odbudowy lokalnej opinii publicznej, własnych mediów i obiegów informacji. Zamiast rozbudowy administracji – raczej form jej współpracy z sektorem pozarządowym. Muszą nauczyć się cenić wysiłek wolontariuszy, ofiarność mieszkańców, zdolność mobilizacji energii, która leży poza zasięgiem władz miejskich. Gdzieniegdzie będzie to wymagało stworzenia nowego modelu urzędu, w którym jego pracownicy są partnerami mającymi dostęp do zasobów publicznych: środków finansowych, pomieszczeń, środków transportu itp. Ale już dziś wiedzą, że sprawczość wymaga współpracy z organizacjami trzeciego sektora.

Być może będzie to oznaczało coś więcej – tworzenie przestrzeni coworkingowych dla tych, którzy sprawdzili się w momencie kryzysu uchodźczego, wspieranie ich rozwoju poprzez oddawanie im do dyspozycji kosztownej infrastruktury. Sektor publiczny znajduje się bowiem w kryzysie, którego przełamanie w warunkach permanentnego niedofinansowania będzie bardzo trudne.

Siedem lat temu Dawid Sześciło opublikował książkę „Samoobsługowe państwo dobrobytu" z umieszczonym w podtytule pytaniem: „czy obywatelska koprodukcja uratuje usługi publiczne?". Mimo solidnej pozycji autora na rynku akademickim i eksperckim – jego rekomendacje nie stały się przedmiotem dyskusji. Warto do tej książki wrócić i pomyśleć o takiej przebudowie miast, która stworzy mechanizmy angażowania nowych zasobów. Także energii tych, którzy w mieście pracują i działają, choć w nim nie mieszkają lub tylko nie są zameldowani. Obywateli gorszej kategorii – niemal niewidocznych z okien ratusza czy magistratu. Podobnie jak gminami gorszej kategorii są dla wielu silnych władz samorządowych ościenne jednostki samorządu terytorialnego.

Tak rozumiane miasto – zżyte ze swoim otoczeniem, a nie szukające okazji do wyrwania się z niego ku lepszej sieci światowych metropolii – może być dodatkowym poziomem podejmowania gry z globalnym kapitalizmem. Czasami stawiania mu wyraźnego i skutecznego oporu. Przed rokiem 2019 było to niemożliwe, bo wyobraźnią miejskich władz rządził imperatyw walki o jak największy poziom „zglobalizowania", ↦

Rząd wie najlepiej, czyli rozwój centralnie sterowany

CPK.PL

Wstępna koncepcja CPK autorstwa Zaha Hadid Architects

CENTRALNY PORT KOMUNIKACYJNY, przekop Mierzei Wiślanej, program polskiej elektrowni atomowej oraz rozbudowa polskiej armii – to tylko kilka z najgłośniejszych zapowiedzi rządu PiS z ostatnich lat. Prężenie strategicznych muskułów to cecha całej naszej klasy politycznej, ale w przypadku obecnie rządzących kreślenie dalekosiężnych planów stało się ulubioną figurą w komunikacji z elektoratem.

W PRZYPADKU PIS wiele wskazuje jednak na to, że chodzi nie tylko o polityczny marketing, ale również o przekonanie, że rząd powinien wyjść poza bieżące administrowanie i stać się demiurgiem kształtującym przyszłość. Pod tym względem ostatnie dwie kadencje PiS stoją w wyraźnej opozycji do ośmiu lat koalicji PO-PSL, które w duchu końca historii trzymały się polityki „ciepłej wody w kranie", czyli zarządzania doraźnością.

JEŚLI COŚ może budzić wątpliwości w strategii PiS, to wykonanie. Apele ekspertów, którzy przypominają, że w centrum planów inwestycyjnych winna stać edukacja i ochrona zdrowia, na razie nie spotykają się ze zrozumieniem rządzących, którzy nadal wolą inwestycje w „twarde" zasoby infrastrukturalne. Państwo w roli głównego pomysłodawcy, inwestora, a nierzadko także wykonawcy może faktycznie sprawniej realizować wielkie projekty w rodzaju elektrowni atomowej. Efektem ubocznym jest jednak postępująca marginalizacja samorządów, którym nierzadko – jak w przypadku CPK – władza centralna po prostu narzuca rozwiązania i lokalizacje. Rząd właściwie nie zbiera już z terenu informacji o potrzebach lokalnych wspólnot, aby po przesianiu ich przez sito budżetowych możliwości wybrać do realizacji najpilniejsze. Coraz częściej zjawia się za to w roli sponsora, który płaci, ale w zamian oczekuje poklasku i posłuszeństwa (jak choćby przy przekopie Mierzei Wiślanej, gdzie głosy lokalnych środowisk ekologicznych próbowano sprowadzić do prób sabotażu ze strony rosyjskich agentów wpływu). Albo wprost uszczęśliwia ludzi na siłę, jak w przypadku sześciu kilometrów linii kolejowej, która za ponad 300 mln zł ma domknąć połączenie Krakowa z Niepołomicami. Oba miasta są już dziś dobrze skomunikowane, dlatego lokalne władze sygnalizowały pilniejsze potrzeby. Na próżno.

RZĄD PO PROSTU wie lepiej. Wielkie projekty wymagają oczywiście miliardowych nakładów, ale w sferze wydatków PiS również zerwał z „imposybilizmem" poprzednich władz. Mamy dziś do czynienia z nasilającym się procederem ukrywania rosnącego długu publicznego poza budżetem (i poza kontrolą parlamentu). Tylko w ciągu dwóch ostatnich lat wzrósł on z 55 do 260 mld zł. ©℗ MR

↦ włączenia w gospodarkę światową – przyciągnięcia inwestycji, lokalizacji oddziałów światowych koncernów, zwiększenie ruchu na lotnisku, wzrostu dochodów z turystyki i usług hotelarskich.

Z faktu, że miasta widzą niektóre procesy i zjawiska lepiej, nie wynika to, że reagują na nie w sposób adekwatny. Czasami wiedzą, że powinny redukować ruch samochodów w centrum, poszerzać obszary miejskiej zieleni, tworzyć mechanizmy dialogu społecznego. Czasami wiedzą też, że nie da się utrzymać usług publicznych na tym samym poziomie, w warunkach przerzucania na samorządy deficytu finansów publicznych. Ale do konkluzji systemowej daleko. Konkluzji, którą jest instytucjonalny reset. Odejście od modelu sektora publicznego przeregulowanego na wszystkie możliwe sposoby: postweberowską obsesją kontroli dokumentów, neoliberalną pasją pilnowania wydatków, mechanizmami udawanej często partycypacji społecznej i dialogu.

Wielka redukcja złożoności

To samorządy powinny dać znać, że bez redukcji ogromnej złożoności mechanizmów zarządzania sektorem publicznym nie da się dalej funkcjonować. Że trzeba zupełnie nowej dystrybucji mechanizmów zaufania, by dało się

Szkoła przyszłości

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Inauguracja roku akademickiego na UJ. Kraków, 1 października 2021 r.

NAWET TROJE NA CZWORO uczniów dzisiejszych podstawówek będzie za dekadę i więcej pracowało w zawodach, które dopiero powstaną. Nie znamy ich nazw, ale znane są kompetencje, które będą potrzebne do ich wykonywania. Infuture.institute oraz Collegium da Vinci, twórcy raportu „Przyszłość edukacji. Scenariusze 2046", wymieniają ich pięć: współpraca w zespole, kompetencje cyfrowe i techniczne, analizowanie danych, rozwiązywanie złożonych problemów, kreatywność. Co je jeszcze łączy? Ich rozwijaniem dzisiejsza szkoła zajmuje się albo powierzchownie, albo wcale.

EDUKACJA PRZYSZŁOŚCI to też inaczej kształcony nauczyciel. Wśród wymienianych przez autorów raportu wizji zawodu są – poza długoterminową perspektywą nauczyciela-robota – „mentor skoncentrowany na człowieku" i „multidyscyplinarny koordynator". Ten pierwszy, w obliczu łatwego dostępu do wiedzy, „wskazuje raczej ścieżki i możliwości niż je jasno określa. Istotny jest tu powrót do korzeni edukacji, wzorów starożytnych i koncepcji nauczyciela jako osoby, która jest w stanie zarazić pasją, nauczyć myśleć". Drugi uczy współpracy, daje „konstruktywny feedback" zamiast ocen.

W DYSKUSJI nie sposób też uciec od pytań o sensowność utrzymywania szkoły w wymyślonym dekady, a nawet wieki temu kształcie: z dogmatem, że nauka musi się odbywać w podobnych do siebie budynkach, z nieśmiertelną i niezmieniającą się od lat salą, podziałem na klasy, roczniki i przedmioty. Szkoła przyszłości albo radykalnie się zmieni, albo przestanie być potrzebna.

©℗ PW

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

w miarę efektywnie wypełniać zadania publiczne. Pandemia pokazała, że nie da się dłużej odmawiać zaufania rodzicom i nauczycielom: że jak coś ma pójść dobrze, to trzeba poprosić ich grzecznie o to, by na swoim sprzęcie, przy użyciu własnego dostępu do internetu, zorganizowali choćby namiastki edukacji.

Redukcja złożoności wymaga również opowiedzenia sobie szkoły na nowo, z prostym pytaniem, czego oczekujemy od nauczyciela, jakie przedmioty i jakie umiejętności są w nauczaniu kluczowe, a które są zupełnie zbędne. Czy społeczeństwu obarczonemu analfabetyzmem prawnym i medyczno-higienicznym naprawdę przyda się wiedza o organizmie pantofelka, przyczynach wojny stuletniej lub głównych rzekach Afryki? A z drugiej strony: czy chcemy mieć dyrektora szkoły jako kogoś, kto ma na uwadze dobro uczniów jako osób z wieloma różnymi kłopotami, czy jako przestraszonego urzędnika państwowego nękanego kolejnymi okólnikami i rozporządzeniami, dbającego o porządek w papierach?

To samo dotyczy zresztą szkolnictwa wyższego, które wydatkowało nieprawdopodobną energię na organizację nowej sprawozdawczości po to tylko, by ktoś tam mógł ogłosić nową kategoryzację uczelni i odnotować jakieś przesunięcie w rankingu szanghajskim. Prosty audyt sprawdzający sposób dystrybucji nakładów sił i środków w świecie akademickim wykazałby z pewnością, że czas poświęcany studentom z roku na rok się kurczy, bo presja skierowana została ku innym celom. Redukcja złożoności to powrót do kluczowej misji szkół, jaką jest dydaktyka. Co nigdy nie oznacza zaniechania badań naukowych ani nie wymusza tego, by na uczelniach pracowali ludzie zwolnieni z obowiązków dydaktycznych. Ale przywraca proporcje i redukuje wymuszane przez logikę wygodnej kontroli procedury.

> Pandemia pokazała, że miasta wiedzą dziś więcej niż rządy o „realnych procesach". I o ile nie zawsze potrafią sprostać wyzwaniom, to znają ich konkretny wymiar.

Redukcja złożoności może oznaczać też inne myślenie o roli polityki kulturalnej. Pandemia pokazała, że istotną funkcją szkoły są zadania czysto opiekuńcze i związane ze wspieraniem rozwoju osobowości uczniów. Może jest to okazja, by powiedzieć, że szkołę uratuje wzmocnienie jej funkcji związanych z inną niż tradycyjna dydaktyka. Gdyby można było część rozrośniętych treści encyklopedycznych zastąpić tworzeniem kompetencji kulturowych, włączeniem do pracy szkół animatorów gotowych na twórcze spędzanie czasu z uczniami, poza zwykłym reżimem szkolnych ocen...

Ze szkołami mogłoby się stać to samo, co stało się z bibliotekami, które cicha i oddolna rewolucja przekształciła w wielowątkowe lokalne instytucje kultury. To zaś oznacza, że także na różnego rodzaju budynki publiczne spojrzymy jako na potencjalne miejsca „obywatelskiej kooperacji" (jak chce Sześciło) czy obszary wspólnie zaprojektowanej „protopii" (do której namawia Erbel).

Kolejna faza nowoczesnych porządków nie musi być jedynie odtwórczą aplikacją nowych technologii informatycznych. Myślenie o państwach i miastach może się zacząć od konkretu i poziomu ulicy. Od poszukiwania sposobów naprawy szkoły, wzmocnienia transportu zbiorowego, tworzenia kooperatywnych urzędów. Skoro nawet wojna opowiada nam o sile zaangażowania społecznego, wartości morale broniącego swego terytorium społeczeństwa, to powrót do myślenia kategoriami machiny państwowej, wzmacniania kontroli kosztem kooperacji, centralnego kierowania kosztem zdecentralizowanych sposobów organizacji prostych funkcji – byłby błędem nie do naprawienia. © RAFAŁ MATYJA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Post

Skończył się ramadan. Zwykle 30 dni bez jedzenia, picia i seksu od świtu do zachodu słońca – oto jeden z pięciu filarów islamu. Wprowadza go ta *sura*: „O wy, którzy wierzycie! Przepisany jest wam post, tak jak był przepisany tym, którzy byli przed wami. Być może, będziecie wytrwali!" (Koran 2:183; tł. Musa Czachorowski, 2018). Kiedy Mahomet przybył z Mekki do Medyny, zetknął się tam z poszczącymi w Dzień Pojednania Żydami. Obowiązek poszczenia w ramadanie pojawił się w drugim roku po jego emigracji. „Ci, którzy byli przed Wami" – to Żydzi?

Pismo poucza nas odnośnie Jom Kipur: „Sabbat – wielki odpoczynek to u was, i udręczać będziecie dusze wasze: dziewiątego tegoż miesiąca wieczorem; od wieczora do wieczora święcić będziecie Sabbat wasz!" (Kpł 23, 32; tł. Cylkow). Święto Pojednania zwane jest szabatem szabatów. To jedyny zbiorowy żydowski post w ciągu roku – a jest ich sześć – nieprzenoszony na inny dzień tygodnia, gdy wypadnie w szabat. Po niewoli babilońskiej pojawiły się cztery kolejne posty, wymienione w jednym wersie przez proroka Zachariasza: „Tak rzecze Wiekuisty zastępów: post czwartego i post piątego i post siódmego i post dziesiątego miesiąca obróci się dla domu Judy w rozkosz i wesele i w święta radosne; ale prawdę i pokój miłujcie!" (Za 8, 19). W Biblii pierwszy miesiąc to *nisan* – w nim nastąpiło wyjście z Egiptu. Według takiej rachuby dziesiąty będzie *tewet* (10. dnia tego miesiąca wspominamy początek oblężenia Jerozolimy przez wojska Nabuchodonozora); czwarty – *tamuz* (17. zrobiły one pierwszy wyłom w miejskich murach); piąty – *aw* (9. nastąpiło zburzenie Świątyni); siódmy – *tiszri* (3. zamordowany został Gedaliasz, gubernator Judei z nadania babilońskiego). Posty biblijne dopełnia post Estery, wypadający dzień przed świętem Purim.

Jak mamy podczas postu „udręczać [nasze] dusze"? Rabini wyłowili z wersetów biblijnych niejedzenie i niepicie (np. Ezd 10, 6) – i to dotyczy czterech postów, które trwają od wschodu do zachodu słońca. W Jom Kipur i 9 *aw* praktykujący Żydzi poszczą przez ok. 25 godzin oraz obowiązują ich dodatkowe ograniczenia: niemycie się, nienamaszczanie, nienoszenie skórzanego obuwia oraz zakaz seksu (zob. np. 2 Sm 12, 20). Jednak samym umartwianiem się niewiele osiągniemy. Jak rzecze prorok Izajasz: „Czyż taki by miał być post, który upodobałem Sobie? Dzień, w którym trapi człowiek duszę swoję, czyż aby zgiął jak trzcina głowę swą, a wór i popiół podesłał sobie – czyż to nazwiesz postem i dniem pożądanym Wiekuistemu? Czyż nie raczej: ułamać łaknącemu chleba twojego, i abyś biednych tułających się wprowadził do domu, gdy zobaczysz nagiego, abyś go przyodział, a przed powinowatym twoim się nie ukrywał" (Iz 58, 5 i 7). ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Najświętszy Sakrament

Jan, autor Apokalipsy, mówi: „Ujrzałem nowe niebo i nową ziemię, pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminęły. (...) I zobaczyłem, że z nieba od Boga zstępuje Miasto Święte, nowe Jeruzalem (...). Świątyni w mieście nie widziałem, gdyż jego świątynią jest Pan, Bóg Wszechmocny, i Baranek. Miastu nie potrzeba też słońca ani księżyca, bo oświetla je chwała Boża, a Baranek jest jego lampą". Oto jesteśmy świadkami wielkiego pojednania, jak się wydawało, dwu przeczących sobie i chcących siebie zdominować, stąd walczących ze sobą rzeczywistości: *sacrum* i *profanum*.

Idąc kiedyś z Kasprowego na Świnicę, spotkałem grupę nastolatków z zakonnicą, pewnie katechetką, odmawiających różaniec. Kiedy skończyli ostatni dziesiątek, siostra zaczęła grupę pospieszać, chcieli jeszcze przed zejściem do stacji kolejki zjeść kanapki. Młodzi siedzieli cały czas odwróceni plecami do Świnicy, Kościelca, Orlej Perci, Krywania i wielu innych piękności na co dzień niedostępnych. Zamiast tego musieli patrzeć na siostrę, na stację kolejki linowej i wyciąg krzesełkowy. Ale cóż, przecież najważniejsze jest dawanie świadectwa, walka z tym zeświecczałym światem, pozbawionym łaski Bożej. Ale może się mylę, może po prostu tak jakoś wyszło, jakoś nikt nie pomyślał, że można by usiąść inaczej, że „całe stworzenie głosi chwałę Pana" i nie wiadomo, kiedy znowu nadarzy się taka okazja, a wreszcie, co się pan czepiasz jak pijany płota?

Jan mówi, że na nowej ziemi i w nowym niebie, w nowym Jeruzalem nie będzie świątyni, gdyż świątynią jest Bóg, a światłem, wieczną lampką wskazującą Jego obecność, jest Chrystus. Skoro tak, to Kościół i świątynie, liturgia, instytucje kościelne, włącznie z rzymską kurią, zwłaszcza gdy mają w nazwie „święte", już teraz powinny pamiętać, że nie są lampami, a jeśli świecą, to świecą nie tyle światłem odbitym, co wydobywającym się z głębin dziejącego się w nich jedynego *sacrum*, jakim jest Bóg.

Paweł Apostoł przemawiając na Areopagu powiedział: „Ateńczycy! Kiedy się przechadzałem, oglądając wasze świątynie, natrafiłem też na ołtarz z napisem: »Nieznanemu Bogu«. Ja wam głoszę to, co czcicie, nie znając. Bóg (...) jest władcą nieba i ziemi. Dlatego nie mieszka w świątyniach zbudowanych przez ludzi. Nie oczekuje żadnej posługi od człowieka, jak gdyby czegoś potrzebował, gdyż On sam każdemu daje życie, tchnienie i wszystko. (...) W Nim bowiem żyjemy, poruszamy się i jesteśmy. »Jesteśmy z Jego rodu« – jak to powiedzieli niektórzy wasi poeci".

Jeśli tak, to Najświętszy Sakrament nie „ukrywa", ale ujawnia Chrystusa, a prawda o życiu duchowym odsłania się zarówno w dziełach mistyków, jak i na wysypisku śmieci. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Początki Kościoła w Antiochii

W ostatnim czasie liturgia postawiła nam przed oczy narodziny Kościoła w Antiochii syryjskiej – jednego z ważniejszych w całej historii Kościoła. Odnośna perykopa kończy się stwierdzeniem: „W Antiochii po raz pierwszy nazwano uczniów chrześcijanami" (Dz 11, 19-26). „Nazwano ich"! To znaczy: nie nazwali się sami. To ludzie nienależący do „uczniów" mieli potrzebę jakoś ich nazwać. Uczniowie stanowili więc najwyraźniej grupę, która w społeczności miasta stała się widoczna i ważna – na tyle, że trzeba ją było jakoś opisać. I opisano ją jako „chrystusowych". Właśnie to ich wyraźnie definiowało, że „przynależą do Chrystusa". Jak się rodzi taki Kościół?

Dzieje podpowiadają trzy elementy. Pierwszy: Kościół wyrasta z uczniów, których rozproszyło prześladowanie, jakie wybuchło w Jerozolimie po śmierci Szczepana. Kluczowe wydaje się tu słowo „rozproszeni", greckie: *diasparéntes* – *dia* („przez") i *speiro* („rozpraszać"), które może znaczyć również „siać". Wtedy *diaspeiro* oznaczać by mogło „rozsiać". Prześladowanie nie tyle „rozprasza", co „rozsiewa" uczniów. To odsyła nas do Mt 13, czyli cyklu przypowieści o ziarnie. Tym ziarnem jest najpierw „Słowo królestwa" (Mt 13, 19), ale potem również „synowie Królestwa" (Mt 13, 38). Kościół wyrasta z ziarna, którym stali się ludzie: w Irlandii – z Patryka, w Niemczech – z Bonifacego, w Polsce – z Wojciecha i Stanisława. Oni są ziarnem najwyższej jakości, a najdobitniej ich wartość odsłania moment prześladowania. Oni nie uciekają, tylko ogłaszają jako dobrą nowinę (!) to, co stało się powodem ich cierpienia.

I tu pojawia się drugi ważny element odpowiedzi: „głosili Dobrą Nowinę o Panu Jezusie". W greckim oryginale czytamy: *euaggelizomenoi ton Kyrion Jesoun* (co Hieronim przetłumaczył dosłownie: *evangelizantes* Dominum Jesum). A więc: oni przepowiadają Jezusa. Nie przekazują „nowiny"; pokazują Osobę. Można by oddać owo zdanie następująco: „Jako Dobrą Nowinę ogłaszali Jezusa Chrystusa"!

Niemal w tym samym czasie, gdy odczytywaliśmy ową perykopę, prowadziłem trzydniową sesję rekolekcyjną w Centrum Formacji Duchowej w Krakowie. Uczestnicy – ludzie zazwyczaj zaangażowani w Kościół ponadprzeciętnie – kilkukrotnie zadali mi pytanie: „W jaki sposób można spotkać Jezusa w Kościele?". Czy nie oznacza to, że żyjemy w Kościele, który o Jezusie wiele opowiada, ale nie otwiera przestrzeni do spotkania z Nim?

A właśnie wtedy – i to jest trzeci element odpowiedzi – kiedy głosimy Jezusa, „Ręka Boża jest z nami, i wielka liczba pozyskiwana jest dla Pana" (por. Dz 11, 21). „Ręka Boża" – to znaczy Duch Święty – „uwolniona" w kerygmacie, przygarnia ludzi do wspólnoty wierzących. I wtedy rodzi się Kościół, którego nie sposób nie zauważyć. ©

Oby twoje czyny wychodziły z twojej wewnętrznej głębi.

MISTRZ ECKHART

Człowiek spokojnego umysłu nie idzie z tłumem ani nie ucieka w samotność – w każdej chwili i każdym miejscu ten sam.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (22-29 V)

6. Niedziela Wielkanocna: Dz 15, 1-2. 22-29; Ps 67; Ap 21, 10-14. 22-23; J 14, 23-29;
Poniedziałek: Dz 16, 11-15; Ps 149; J 15, 26 – 16, 4a;
Wtorek: Dz 16, 22-34; Ps 138; J 16, 5-11;
Środa: Dz 17, 15. 22 – 18, 1; Ps 148; J 16, 12-15;
Czwartek: Dz 18, 1-8; Ps 98; J 16, 16-20;
Piątek: Dz 18, 9-18; Ps 47; J 16, 20-23a;
Sobota: Dz 18, 23-28; Ps 47; J 16, 23b-28;
Uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego: Dz 1, 1-11; Ps 47; Hbr 9, 24-28 i 10, 19-23; Łk 24, 46-53.

RZECZPOSPOLITA WOLONTARIUSZY

Zadanie do wykonania przesłoniło nam podziały polityczne. „Dwie Polski" od pierwszego dnia wojny rzuciły się na pomoc Ukraińcom. Czy cokolwiek przetrwa z tej nowej solidarności?

KRZYSZTOF STORY

Weronika, harcerka, na długie lata zapamięta pracę na Dworcu Głównym w Krakowie. Marta – dyżury na przejściu granicznym Zosin-Uściług, na które zrywała się z pracy. A 10-letnia Agata nie zapomni, jak drugiego dnia wojny pakowała do kartonu ubrania, zabawki, brystol, pędzle i kredki dla Wiki, swojej rówieśniczki z Ukrainy, choć pewnie nigdy się nie zobaczą. Wtedy było ważne tylko jedno: Wika lubi malować, a przed Rosjanami uciekła tylko z jednym pluszowym misiem.

Takich historii są miliony. W badaniu przeprowadzonym przez pracownię IBRiS

ANDRZEJ GRYGIEL / EAST NEWS

Wolontariusze fundacji Wolne Miejsce przygotowują upominki na Metropolitalne Śniadanie Wielkanocne dla Samotnych, Katowice, 15 kwietnia 2022 r.

zaledwie tydzień po rozpoczęciu inwazji, 62 proc. pełnoletnich Polaków zadeklarowało, że zaangażowało się w pomoc Ukrainie. Nie postem na Facebooku, nie zdjęciem flagi na Instagramie, tylko własnymi pieniędzmi, czasem, pracą. – Polska robi dla Ukrainy to, czego w 1939 r. nikt nie zrobił dla Polski – mówił niejeden z nas.

Moment jedności

– Nieważne, czy ktoś jeździł na granicę, czy przyniósł parę butów na zbiórkę – mówi Marcin Duma, badacz opinii, prezes IBRiS. – Ten moment jedności jest realny i bezprecedensowy. Nikt nam nie kazał tego robić. Po prostu uznaliśmy, że tak trzeba.

3 kwietnia przed południem na przejście graniczne w Zosinie podjeżdża grupa samochodów – cztery stare dostawczaki, jedna osobówka. Panowie koło pięćdziesiątki wysiadają do kontroli. Nie pasują do stereotypu aktywisty, raczej do stereotypowego wizerunku właściciela komisu samochodowego. Zresztą dwóch trochę samochodami handluje. Teraz jednak nie jadą na handel. Po prostu dowiedzieli się, że w Ukrainie brakuje aut dla wojska i medyków. Kupują w Polsce używane, remontują i wiozą w darze na ukraińską stronę. Do Polski wróci tylko osobówka. Rozmawiamy szeptem, żeby nie podsłuchali nas celnicy.

Oddolne zrywy są domeną mniejszości. Gromadzą grupy ludzi o podobnych poglądach, w podobnej sytuacji. Ten zgromadził zdecydowaną większość narodu. Widać to nie tylko na granicy, ale też w badaniach IBRiS-u. Po równo zaangażowały się wszystkie grupy wiekowe, spadek widać dopiero w grupie 70+. Niewielkie znaczenie miały: płeć, miejsce zamieszkania (przewaga dużych miast wynika raczej z tego, że to tam docierało najwięcej uchodźców), a nawet zarobki. W granicach błędu statystycznego mieści się różnica w zaangażowaniu ateistów i tych gorliwie wierzących (co przeczy popularnemu przekonaniu, że Kościół zignorował pomoc uchodźcom z Ukrainy).

– Zadanie do wykonania przysłoniło nawet podziały polityczne. Obydwie Rzeczpospolite wzięły się do pracy. Ta opozycyjna trochę bardziej, ale różnice są niewielkie – mówi Marcin Duma. – Co więcej: zaangażowanie w pomoc deklaruje 95 proc. wyborców Konfederacji. To najwyższy wynik ze wszystkich partii.

Nie ma, że się nie da

– Wolontariusz to taki człowiek, który ma zdolności organizacyjne i umie długo ustać na nogach – mówi po swoim piątym dyżurze w Zosinie Marta Sitkiewicz, działaczka Polskiej Akcji Humanitarnej.

Mocne nogi były potrzebne. 6 marca o godz. 20 liczba uchodźców z Ukrainy przekroczyła milion, 18 marca – dwa, 28 kwietnia – trzy miliony. – Na coś takiego nie da się być przygotowanym – mówi Marta. – A przynajmniej nie w tym sensie, że stworzymy idealny plan, którego potem będziemy się kurczowo trzymać.

Oś czasu od 24 lutego można podzielić na kilka etapów. Pierwsze trzy tygodnie nazwijmy Recepcją. Podstawowe zadanie: zapewnić nocleg, transport i jedzenie tłumom przerażonych ludzi (tylko 6 marca Straż Graniczna odprawiła 142 tys. uchodźców). Główne miejsca akcji: przejścia graniczne i dworce w dużych miastach. To był czas improwizacji i pospolitego ruszenia. Czas skoku na głęboką wodę. PAH po raz pierwszy działała na taką skalę i potykała się o rozmaite przeszkody, Straż Graniczna po raz pierwszy musiała pracować na takich obrotach, a korytarze dworców po raz pierwszy były pełne śpiących na podłodze ludzi i odblaskowych kamizelek wolontariuszy.

Ten chaos nie zawsze wyglądał dobrze i pewnie z dzisiejszej perspektywy łatwo byłoby zrobić listę rzeczy, które dałoby się przeprowadzić sprawniej. Ale i tak dzięki ogromnemu zaangażowaniu udawało się rozwiązywać wszystkie problemy. – To, co wczoraj wydawało się niemożliwe, następnego dnia było zrobione – mówi Jakub Wygnański, socjolog, prezes Fundacji Stocznia.

Pomoc na dworcu w Krakowie (i w wielu innych miastach Polski) zaczęła się od zwykłych ludzi: ktoś przyniósł gar zupy, ktoś kanapki, a ktoś koce. Ale już dzień po wybuchu wojny ruszyła oficjalna zbiórka na stadionie miejskim. Kolejnego dnia: darmowa stołówka dla uchodźców, punkt informacyjny i noclegownia na dworcu. 28 lutego: darmowa komunikacja, 5 marca: nowe miejsca do spania przygotowane przez miasto w dawnym szpitalu. Tydzień później dużą noclegownię urządzono też w zamkniętej od dawna galerii handlowej. W międzyczasie miasto zaczęło rejestrować dane kierowców, którzy oferowali transport dla uchodźców. *Ad hoc* powstawały bazy danych, arkusze Excela i grupy na Facebooku. Centrum Wielokulturowe do dziś zresztą publikuje aktualną listę potrzeb. Wystarczyło napisać, że na dworcu potrzeba kanapek, a za godzinę obok punktu żywnościowego stała góra kanapek.

Wolontariusze często zwracają uwagę na jeszcze jeden aspekt. Nazywają to często „wymieszaniem mundurów". – Wymienialiśmy się sprzętem, zapasami, kompetencjami. Nie miało znaczenia, skąd jesteś – mówi Marta Sitkiewicz. – PAH, Caritas, wojsko, a może tylko grupka kolegów z kuchnią polową i grillem? Nieistotne. Ważny był wspólny cel, a nie sztandary. ↦

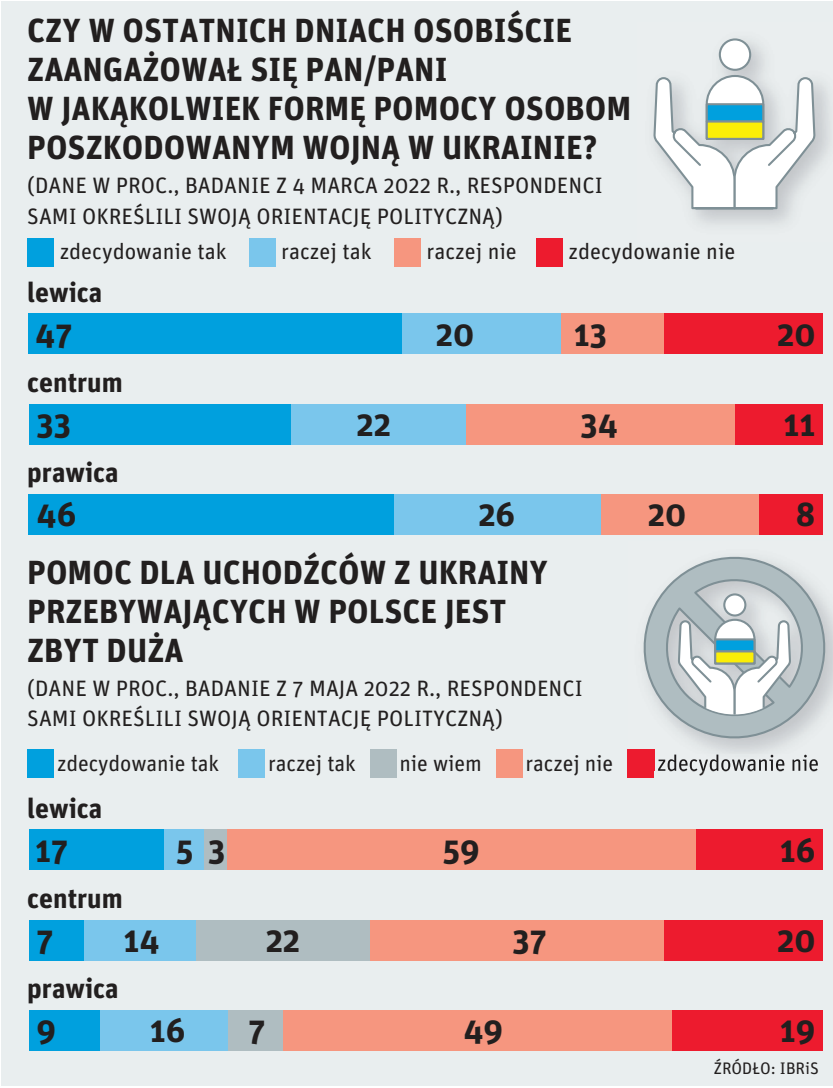

LECH MAZURCZYK

Drugi etap na osi czasu można nazwać: Bajpas. Moment, w którym mija pierwszy szok. Z każdym kolejnym dniem można coś robić odrobinę sprawniej, lepiej, ucząc się na błędach i omijając problemy. To też czas, w którym coraz mocniej obowiązki pospolitego ruszenia przejmują większe organizacje, samorządy, państwo. Na dworcu we Wrocławiu miasto najpierw przejmuje zarządzanie noclegami, później weryfikację kierowców, a na końcu wyżywienie.

– Bez tego narodowego zrywu byśmy sobie nie poradzili: ani jako państwo, ani społeczeństwo – mówi Marcin Duma. – Tak samo teraz oczekujemy wsparcia instytucji. Bez niego też nie damy sobie rady.

Pierwszy etap przetestował jedną z naszych najmocniejszych stron: umiejętność mobilizacji w kryzysie, jednorazowej akcji. Do tego wychowała nas historia, a ostatnio także WOŚP, podstawowa forma wolontariatu w Polsce. I ten egzamin zdaliśmy. Dużo większym zaskoczeniem jest to, jak Rzeczpospolita Wolontariuszy radzi sobie z kolejnym rozdziałem, w którym potrzeby są bardziej subtelne i rozproszone, emocje opadają, a pomoc staje się trudniejsza, bo nie każdy ma siłę, czas i odporność psychiczną, by po 2,5 miesiącach wojny wciąż się angażować. Mimo to od wszystkich koordynatorów słyszę: „nie brakuje nam wolontariuszy".

Nowe partnerstwo

Biblioteka miejska w Raciborzu, województwo śląskie. Za ścianą kończy się lekcja polskiego dla uchodźców. Zajęcia odbywają się prawie codziennie dla ok. 80 osób. Kiedy uczestnicy opuszczają salę, patrzę na zapisaną tablicę. „Widelec, nóż, łyżka, durszlak, jajko na miękko, jajko na twardo". Najbardziej podstawowe słowa i potrzeby.

– Oczywiście pomagamy, bo po prostu trzeba pomóc – mówi z kolei Krzysztof Zacharzewski, burmistrz Złocieńca w woj. zachodniopomorskim. – Ale ja wiem, że to też jest dla nas szansa. Miasto od lat się wyludnia. Myślę sobie, że im lepiej będzie u nas ludziom z Ukrainy, tym chętniej zostaną. Bardzo bym chciał, żeby mogli tu budować nowe życie.

W Złocieńcu skala wyzwań była ogromna, więc od razu powstało Centrum Wolontariatu przy ul. Czaplineckiej. Przez 13-tysięczne miasto przejechało ponad 500 uchodźców. Zostało około 200 osób. Na początku burmistrz zwrócił się o pomoc do właścicieli ośrodków wypoczynkowych, wszyscy użyczyli noclegów.

– Teraz staramy się ich zapraszać do naszej wspólnoty, organizować pracę, angażować. Ukraińcy powoli przenoszą się do wynajmowanych mieszkań, ktoś zaprosi do domu, ktoś wynajmie pokój – mówi Zacharzewski, który dużą część swej aktywności prowadzi prywatnie, a nie jako burmistrz.

Na swoim profilu na Facebooku wrzuca posty takie jak ten: „Mamy ludzi gotowych pracować w ogrodzie lub przy sprzątaniu. Minimalna stawka 20 zł/h. Są chętni?". I zawsze się znajdują.

– Dostaliśmy zastrzyk inności, ale też energii – komentuje Jakub Wygnański. – Na dłuższą metę musimy to potraktować jako szansę. Zbudować inny język niż tylko ten związany z pomocą, który na dłuższą metę jest krępujący. Dużo lepsze będzie wzajemne wsparcie, partnerstwo.

Na płocie biblioteki w Raciborzu dostrzegam jeszcze jeden szczegół: mały plakat informujący o zbiórce dla ukraińskiej Tyśmenicy – miasta partnerskiego. Idea miast partnerskich, którą przywykliśmy traktować jako nieznaczącą dekorację, od 24 lutego spełnia bardzo ważną funkcję. Takich zbiórek w Polsce są dziesiątki. Jasło zbiera dla Sambora, Giżycko dla Dubna, Mińsk Mazowiecki dla Borodianki, a Ciechanów dla Chmielnickiego.

– Słowo „partnerstwo" nabrało prawdziwego znaczenia – rzuca jeden z pracowników biblioteki.

W badaniach IBRIS-u działania samorządów na rzecz pomocy uchodźcom dobrze ocenia 84 proc. Polaków (dane

z 9 marca). Obywateli i organizacji pozarządowych – 97 proc. Najniższe noty zbiera rząd – 56,6 proc. pozytywnych ocen.

– Każdy angażował się tak samo. 70-letni Amerykanin na równi z polską studentką i wolontariuszem z Singapuru zamiatali, zmywali naczynia, opiekowali się ludźmi. Dla wielu z nich to najważniejszy moment w życiu – mówi Dariusz Karwiński.

Rozmawiamy przez telefon, Darek właśnie wraca do domu w Ostrowcu Świętokrzyskim. Ostatnie 2,5 miesiąca spędził na przejściu w Hrebennem, był koordynatorem akcji PAH. Łącznie przez „jego ręce" przewinęło się ponad 500 wolontariuszy, w tym wielu harcerzy. W najgorętszych momentach pięć punktów na przejściu obsługiwało 35 wolontariuszy.

– Filmy i zdjęcia, które widzieliśmy na telefonach uchodźców, to zderzenie z upiorem teraźniejszości. To nie jest odległa susza, katastrofa klimatyczna z przyszłości, tylko ludzka tragedia. Tu i teraz. I łzy w oczach. Nasze, ich – Darkowi łamie się głos. Jego wolontariusze też czasem musieli odejść na bok, uwolnić emocje. To doświadczenie zmieniło ich życie, ale też nadało mu głębszy sens.

Darek spotkał kiedyś na przejściu starszego mężczyznę, trzymającego małą walizkę.

– Płakał jak bóbr. Podszedłem, a on pokazał na tę walizkę i powiedział: „to jest moje życie". Myślę, że wszyscy, którzy tam byli, wiedzą, że trudniejszego wolontariatu już nie będzie. I chętnie zaangażują się w kolejny. Bo zobaczyli, ile to daje. Na pewno już nie powiedzą: „nie dam rady".

Marta Sitkiewicz, wolontariuszka Polskiej Akcji Humanitarnej, przejście graniczne Zosin/Uściług, kwiecień 2022 r.

KRZYSZTOF STORY

Inny ma dobre intencje

Jak dalej potoczy się historia Rzeczpospolitej Wolontariuszy? Co zostanie po największym pomocowym zrywie w nowej historii Polski? Na pewno zostaną umiejętności.

– Ostatnie trzy miesiące były ogromnym treningiem dla wszystkich: od rządu po panią, która przyniosła parę lizaków – mówi Darek. – Dla nas również.

– Do końca życia zapamiętam, że wolontariusz musi mieć przy sobie igłę do wyciągania kart SIM z telefonu – dodaje Marta Sitkiewicz.

Na wyrost jest nadzieja, że przejdziemy jakąś gigantyczną społeczną przemianę albo zasypiemy na stałe polityczne podziały. Z taką samą nadzieją patrzyliśmy na wspólnie maszerujących po śmierci Jana Pawła II kibiców Wisły i Cracovii, którzy parę miesięcy później znów okładali się pięściami.

Co nie znaczy, że wrócimy do tej samej „ligowej szarzyzny".

– Pojawiła się zupełnie nowa grupa obywateli – mówi Jakub Wygnański. – Grupa, która odłożyła pracę, swoją codzienność i potraktowała wolontariat jako ważną część życia. Niektórzy – jako sens tego życia. Zapamiętajmy siebie w tym momencie.

Wygnański mówi o braterstwie broni. O tym, by pamiętać, kto się sprawdził, a kto nie. Z kim można działać dalej przy następnej potrzebie. Siatki kontaktów formowały się w ogromnych emocjach, pośpiechu. Istotne było jedno – zaufanie.

– To bardzo ważny rodzaj kapitału społecznego: wiara w to, że ten „inny" ma dobre intencje. W czasach PRL to było pewnie pytanie: „u kogo można bezpiecznie zostawić bibułę?" – mówi Wygnański. – W Polsce powstaje właśnie ochotnicza rezerwa humanitarna.

– 30 proc. wolontariuszy wracało na przejście po kilka razy – mówi Dariusz Karwiński. – Jestem pewny, że przy każdym następnym kryzysie to oni pierwsi wyciągną rękę do ludzi.

Nasza pomoc to też początek nowych relacji polsko-ukraińskich. Od pierwszego dnia wojny wszystkie przejścia graniczne są dostępne dla pieszych: zmiana, o którą organizacje pozarządowe walczyły od kilkunastu lat, zaszła w kilka godzin. W dniu, gdy piszę ten tekst, Ukraina opublikowała wzruszający film dziękujący Polsce za pomoc, ale wymiar instytucjonalny wcale nie jest tu najważniejszy. Kluczowe będą relacje nawiązane po drodze i to, że skala wzajemnej współpracy („współ", bo przecież Ukraina walczy także o nasze bezpieczeństwo) będzie w stanie przeważyć wiele wzajemnych krzywd, o których pamiętają oba narody.

– Ukraińcy, którzy już myślą o odbudowie kraju po wojnie, mówią jasno: „będziemy was potrzebować" – mówi Wygnański.

W Rzeczpospolitej Wolontariuszy trwa więc dyskusja, co dalej. 8 maja we Wrocławiu odbył się Okrągły Stół Samorządowy. Dane pokazują, że Polacy mimo gotowości do pomocy obawiają się przeciążenia rynku mieszkaniowego, szkolnictwa czy systemu ochrony zdrowia. Trudno się zresztą dziwić.

– W wielu miejscach to mogą być ciekawe impulsy modernizacyjne. Może to jest np. czas, żeby wyremontować wszystkie strychy w Polsce? – zastanawia się Wygnański. – Wiele organizacji, ludzi, instytucji pokazało olbrzymią elastyczność. Teraz jesteśmy w takim churchillowskim momencie. Widzimy, że „łatwo już było", że przed nami kolejne wyzwania, a jednocześnie wydaje mi się, że mamy większe poczucie sensu i własnego wpływu na życie niż kiedykolwiek wcześniej w XXI w.

Dariusz Karwiński na koniec rzuca: – Każdy z wolontariuszy będzie miał moment refleksji, myślę, że za dwa, trzy miesiące. Na razie refleksja jest jedna. Pomogliśmy bardzo wielu ludziom.

Przejście graniczne w Hrebennem przez 2 miesiące od początku rosyjskiej inwazji przekroczyło 412 tys. osób.

©℗ KRZYSZTOF STORY

STRINGER / ANADOLU AGENCY / EAST NEWS

Zajęcia dla dzieci ukraińskich w Centrum Młodzieży im. dr. Henryka Jordana, Kraków, marzec 2022 r.

Lekcja pokoju w czasie wojny

MICHAŁ PALUCH, PEDAGOG:

Na długo przed wojną, a nawet przed pandemią, wygłaszałem kontrowersyjną wówczas opinię, że coś się musi niezwykłego wydarzyć, żeby zakończyło się to nasze udawanie życia, także w edukacji.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Ta opowieść może się zaczynać od SMS-a.

MICHAŁ PALUCH: „Tata zginął" – taką wiadomość otrzymał na lekcji w polskiej szkole ukraiński chłopiec. Nauczycielka – zgodnie z relacjami świadków – zareagowała szokiem: snuła się po korytarzach szkoły bez kontaktu. To scena, o której opowiedziała jedna z koordynatorek programu wsparcia pedagogiczno-psychologicznego dla uczniów i nauczycieli, jaki realizujemy już od czasów pandemii.

Inny autentyczny przypadek: matka ukraińskiego ucznia zadzwoniła do dyrekcji szkoły z prośbą o przekazanie dziecku informacji o śmierci taty. Uznano sytuację za „zbyt trudną, żeby się mieszać"...

Jak powinno się reagować w takiej sytuacji?

Przebywający w Polsce ukraiński psycholog Aleksander Tereszczenko, z którym przeprowadzamy cykliczne, otwarte spotkania z nauczycielami z całej Polski [współtworzy je również doradczyni metodyczna Beata Sapiejewska-Dąbrowska – red.] opowiadał mi o rodzinie, która dostała SMS-a, że tata i mąż nie żyje, a potem się okazało, że jest ranny... Dlatego pierwszą reakcją na najtragiczniejszą wiadomość powinno być włączenie „hamulca" dającego promyk nadziei: „Musimy to sprawdzić", „To jeszcze nic pewnego".

Jeśli wiadomość się potwierdzi, musimy być świadomi reakcji lękowych uczniów: ktoś może krzyknąć, wybiec z klasy, nerwowo się zaśmiać albo włączyć komórkę z głośnym bitem... To jednak nie zwalnia nas z odpowiedzialności za całą grupę. Nie możemy nikogo wypuścić z klasy ani sami opuszczać stanowiska.

Dalsze postępowanie powinno odbywać się zgodnie z opracowaną wcześniej procedurą. My proponujemy, aby szkoły – od początku obecności uczniów z Ukrainy – wybrały spośród swojego grona asystenta do spraw trudnych oraz asystenta rówieśniczego z grona empatycznych uczniów. To pierwsze osoby, które prosimy o pilną obecność w klasie w razie pojawienia się tragicznej wiadomości.

A zanim się pojawią?

Trudno o jakąkolwiek adekwatną reakcję... Ale na pewno będzie o nią łatwiej, jeśli wcześniej – odkąd ukraiński uczeń pojawił się w naszej szkole – zadbaliśmy o poznanie jego rodzinnej historii. Pogadanka o bliskich, zapamiętanie ich imion, zainteresowań, to wiedza, która może się przydać w sytuacjach trudnych. To wszystko są – niezależnie od losów dziecka i jego walczącego taty – formy upodmiotowienia ucznia i jego rodziny, stworzenia poczucia przynależności do społeczności szkolnej.

A wracając do tragicznej wiadomości, słowa, jakie mogą pomóc w tej odbierającej mowę sytuacji, są słowami nadającymi śmierci sens.

Na przykład?

Twój tata (tu imię) zginął śmiercią bohatera. *Twi tato zachinął smierciu hieroja.* Dla niektórych może to brzmieć naiwnie i patetycznie, ale w takiej chwili może przynieść ukojenie i pozostawić krzepiący ślad na resztę życia nie tylko osieroconemu uczniowi, ale wszystkim świadkom tego wydarzenia. To odpowiednik naszego: „poległ na polu chwały". Możemy poprosić klasę o bliską nam kulturowo minutę ciszy, modlitwę. Po ukraińsku: *chwylyna mowczania.*

W tym czasie w klasie pojawiają się asystenci?

W naszej propozycji tak właśnie zakładamy. Prosimy ich o stworzenie bliższego kontaktu, a jeśli to konieczne, przestrzeni dotyku. Dbamy też o samych siebie i resztę klasy, by każdy był pod opieką i miał kontrolę nad wydarzeniem. Przykładowe dalsze zadania dla asystentów to poproszenie innych uczniów z Ukrainy o dołączenie do stworzonego kręgu troskliwości, poproszenie gospodarzy polskich domów o przyjazd po dziecko do szkoły lub zorganizowanie transportu do domu. Bądźmy czuli i doceniający również dla członków goszczącej rodziny.

A co z klasą?

Przez kolejne dni możemy akcentować współprzeżywanie trudnej sytuacji przez wyłączenie szkolnego dzwonka, użycie symboliki żałobnej w wyznaczonych miejscach. Po kilku miesiącach możemy zorganizować spotkanie upamiętniające ofiary wojny, wedle uznania oddając hołd wybranym osobom. Możemy wręczyć swojemu uczniowi specjalne świadectwo. Nie chodzi o to oficjalne, ale takie podpisane przez nauczyciela i wszystkie dzieci. To się wpisuje w najważniejsze zadanie polskiej szkoły wobec ukraińskich dzieci: zrobić wszystko, by poczuły się tu jak w domu przyjaciół, a nie jak w hostelu.

Muszę się przyznać do dyskomfortu: próbujemy od początku tej rozmowy ubrać w słowa sytuacje, do których najlepiej pasuje milczenie.

Od początku wojny wiedziałem, że będziemy mieli do czynienia – także w szkołach, do których trafią ukraińskie dzieci – z sytuacjami, które odejmują mowę. Przyszło mi na myśl, by werbalną niemoc, którą sam odczuwam podczas spotkań, przełamać ilustracją. Usłyszałem przypadkiem w radio, że Akademia Sztuk Pięknych w Gdańsku przyjęła grupę uchodźców – artystów z ASP we Lwowie. Jeszcze tego samego dnia byłem w kontakcie z przedstawicielką tej grupy – dwudziestoletnią Milą Naumenko.

Stworzyliście album, który jest częścią szkoleń dla nauczycieli „Lekcje pokoju w warunkach wojennych". Rysunki funkcjonują pod hasłem „Przestrzeń dotyku".

Bo jeśli jakaś sytuacja odbiera mowę, to musi coś innego uruchamiać: łzy,

MILA NAUMENKO / MATERIAŁY PRASOWE X 2

dotyk. Te rysunki, z powtarzającym się motywem bliskości dorosłej kobiety – w domyśle nauczycielki – i dziecka, są właśnie o tym.

Dotyk – wyjąwszy przestrzeń prywatną, domową – to w XXI wieku coś raczej podejrzanego.

Pandemia to zjawisko nasiliła, ale już wcześniej przestaliśmy być „dotykalni". Pomimo tego wiedziałem, że będzie trzeba do tego wrócić; że wykładnią naszego serca w sytuacji tak ciężkiego kryzysu będzie właśnie spojrzenie i dotyk.

Rysunek pierwszy: „Pocałunek pokoju".

Kobieta obejmuje dłonią głowę dziecka, a równocześnie całuje je delikatnie w czubek głowy. Tu nie chodzi wyłącznie o wojnę, ukraińskie dzieci i tragiczne wiadomości z frontu. Chodzi o powrót z kulturą bliskości do szkoły, która stała się całkowicie użytkowa, transakcyjna, a przestała opierać się na wkraczaniu w czyjąś przestrzeń doświadczenia człowieczeństwa.

Opiszmy kilka innych rysunków.

Kobieta i dziecko stykają się głowami, najbliżej jak się da. To doświadczenie współmyślenia, jakby coś przenikało z jednego umysłu do drugiego.

Następny: zetknięcie wewnętrznych części dłoni. Nie chodzi tylko o głaskanie, ale też o danie dziecku podstawy, na której ono może położyć ciężar swoich myśli.

Kolejny, jeden z najintensywniej przeze mnie doświadczanych, też ilustrujący sytuację będącą w kontrze do naszej kultury. Kobieta delikatnie dotyka łzy dziecka. A przecież my się na łzy generalnie nie godzimy, wolimy komunikaty typu: „Nie płacz", „Wszystko będzie dobrze".

To wygląda na szkolenie oparte w dużej mierze na obrazach, symbolach. Nauczyciele nie domagają się metodycznych konkretów?

Bywa, że się domagają, czasami dość gwałtownie. Jedna pani powiedziała: „Jestem upośledzona humanistycznie, ja żądam konkretów, a nie filozofii", wywołując konsternację wśród pozostałych uczestników. W tym szkoleniu rzeczywiście mniej chodzi o przygotowanie metodyczne, o które specjalnie się nie martwię, a bardziej o zasoby egzystencjalne i antropologiczną orientację, w którą stronę iść. Tadeusz Sławek pisał, że jeśli edukacja ma być akademią sztuki istnienia, musi „stanąć oko w oko z »boleścią«, »krzywdą«, niesprawiedliwością i przygotować język, by przeprowadził człowieka przez tę próbę".

Kryzysy, i to poważne, były także przed wojną.

Dlatego na długo przed wojną, a nawet przed pandemią, wygłaszałem kontrowersyjną wówczas opinię, że coś się musi niezwykłego wydarzyć, coś „musi pier...", żeby zakończyło się to nasze udawanie życia, także w edukacji.

Udawanie, czyli?

Czyli zatracenie przez pokolenie moje, dzisiejszych czterdziestolatków i kolejne generacje, aspiracji do odkrywania w sobie głębi człowieczeństwa. Czyli godzenie się na rolę – tak to nazywam – płaskoziemców, spłaszczających codzienną egzystencję. Czyli pogodzenie się z tym, że szkoła służy wyłącznie do zdawania egzaminów, a nie do spotkania i wychowania; że najpierw sowietyzacja naszej oświaty, a później jej westernizacja stworzyły edukację, w której wszystko – testy, egzaminy, lektury – odbywa się na skróty, ↦

↦ podlegając tyranii „efektywności" i „funkcjonalności".

Gdy wybuchła wojna, powiedziałem, że być może czeka nas przebudzenie polskiej myśli pedagogicznej.

Na jakiej podstawie?

Na podstawie doświadczenia: cała era nowożytna nam o tym przypomina. Doniosłe pedagogicznie idee pojawiały się w następstwie traumatycznych zdarzeń. Komensky tworzy w czasach Kontrreformacji, rewolucja francuska idzie z duchem teorii Rousseau, Pestalozzi tworzy po zawieruchach wojen napoleońskich, a twórczość Deweya symbolizuje ruch Nowego Wychowania, wzniecony po tragicznej dla Europy I wojnie światowej.

Nie inaczej byłoby u nas, ale sowietyzacja polskiej pedagogiki i jej aktualna westernizacja pozbawiły nas możliwości odrodzenia transgresywnego, wychodzącego poza standardy. Co nie znaczy, że nie mamy zasobów w polskiej myśli humanistycznej drugiej połowy XX wieku. Wtedy powstaje „Osoba i czyn" Wojtyły, znakomity wykład z antropologii. Następnie Tischner formułuje swoją „logikę zawieszenia odwetu", znakomitą kategorię do radzenia sobie w każdej sytuacji. Całe pokolenie przedwojennych gimnazjalistów – Kamiński, Bartoszewski, Karski, Wojtyła – daje przykład wykształcenia jako zdolności człowieka do radzenia sobie z tragizmem losu.

Podczas szkoleń rozwija Pan motyw, który promował Pan i popularyzował na długo przed wybuchem wojny – kompetencji głębokich. A więc takich, które odnoszą się do naszych zasobów egzystencjalnych.

To odpowiedź na sytuację, w której kompetencje kluczowe, a jeszcze bardziej tzw. miękkie są traktowane w polskiej edukacji jak bożyszcze. Mają kuszące hasła, np. obalanie barier komunikacyjnych, asertywność, empatię i poczucie własnej wartości – tyle tylko, że po trzydziestu latach mówienia o nich nasza szkoła wygląda niemal dokładnie tak samo, jak wyglądała wówczas, z jedną tylko różnicą: autorytet nauczyciela jest jeszcze mniejszy, a wypalenie zawodowe większe.

Kompetencje głębokie to wiedza i umiejętności, które równoważą presję dwu wymienionych wyżej kategorii kompetencyjnych. To zaproszenie do zreflektowania się: czy to, co robię, jest dobre, i czy ja jestem dobrem? Czy jestem przejawem wolności? To przejście – idąc za myślą Olgi Tokarczuk, cytującą zresztą Nabokova – ze stanu ego do stanu non-ego.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR MICHAŁ PALUCH jest adiunktem w Katedrze Filozofii i Socjologii Wychowania na UKSW w Warszawie. Interesuje się pedagogiką personalistyczną, dydaktyką ogólną. Jest wieloletnim działaczem społecznym, propagatorem edukacji nieformalnej. Wydał m.in. (wraz z prof. Bogusławem Śliwerskim) książkę „Uwolnić szkołę od systemu klasowo-lekcyjnego" (Impuls, Kraków 2021).

W Pana szkoleniu jest też mowa o trudnych relacjach. „Musimy się przygotować do pracy na rzecz integracji międzykulturowej i międzyreligijnej" – czytam w jednym z opisów. Jak się do tego przygotować?

Chciałbym mocno podkreślić coś, co wyszło przy okazji konsultowania szkoleń z historykami – prof. Antonim Dudkiem czy prof. Janem Żarynem. Przez najbliższe miesiące integracja musi się sprowadzać do najprostszych rzeczy: opieki, troski, sąsiedztwa, braterstwa. Tu na razie nie ma miejsca na dyskusję o kulturowych czy historycznych różnicach.

Ale trudne tematy, choćby Wołynia, już się gdzieniegdzie pojawiają.

Do wywołania nieporozumień nie trzeba Wołynia. Zdarza się, że rodzice protestują przeciw obecności ukraińskich dzieci w szkole.

Protestują?

Tak. „Bo mogą obniżyć poziom".

Jak Pan radzi w takich sytuacjach reagować?

Radykalnie. „Jak pan/pani śmie?". To teraz nie jest czas na myślenie, co będzie, jeśli moje dziecko dostanie na egzaminie dwa punkty mniej. Mówiąc językiem kompetencji głębokich – to nie czas na pytanie, jakie masz świadectwo, ale jakie świadectwo dajesz.

„Musimy zapobiec zjawiskom występującym po konfliktach zbrojnych, jak podniesiony poziom gniewu i potrzeba zemsty" – to kolejna obietnica z opisu szkolenia. Ważna również z tego powodu, że dziś nastroje antyrosyjskie wyszły daleko poza poziom polityczno-militarny.

Zdarza mi się pokazywać na warsztatach taki zestaw: Szymborska, Wojtyła, Tischner, Baczyński plus Bułat Okudżawa. „Czy pan oszalał, wie pan, co będzie, jak ja pokażę jakiemuś Ukraińcowi Bułata i język rosyjski?" – spytał oburzony nauczyciel. Całkowity bojkot wszystkiego, co rosyjskie, można uzasadnić pierwszą emocją, szokiem. Ale ten moment już minął. Nauczyciel ma dziś po prostu stanąć po stronie człowieczeństwa. A wtedy nie będzie mu przeszkadzał Okudżawa czy Nabokov – emigrant, humanista.

Od nauczycieli wymaga się dziś głównie jednego: mają jak najlepiej przygotowywać do testów i egzaminów. Kompetencje głębokie nie są w cenie.

Być może gdybyśmy w latach 90. docenili innowatorów klas autorskich i działaczy edukacji alternatywnej, dziś mielibyśmy szkołę elastyczną i skłonną, by samodzielnie adaptować się do nagłych, kryzysowych sytuacji. Tymczasem polska szkoła jest nieustannie w trybie demotywującym. Seria kryzysów – od strajków, przez pandemię, aż po wojnę – zawęża perspektywę. Nic dziwnego, że w tych warunkach większość nauczycieli patrzy tam, gdzie patrzeć najbezpieczniej. Na podstawy programowe i tzw. cele kształcenia. Czyli na to wszystko, co nie jest ich.

Nie możemy się na to godzić. Musimy pokazywać inną drogę, nawet jeśli pójdą nią tylko nieliczni – mimo wszystko i ponad wszystko.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Warszawa, ul. Marszałkowska, maj 2021 r.

Porządki w szafie

ALEKSANDRA BOĆKOWSKA

Pandemia przyniosła ogromne zmiany w modzie. To, co nosiliśmy w weekend, teraz nosimy na co dzień. Komfort stał się priorytetem, więc kupujemy dresy.

Moda jest ważna, gdy o coś walczy – powiedziała mi kiedyś Barbara Hoff, słynna w czasach PRL projektantka. W ostatnich latach moda walczyła o przetrwanie i, jak się wydaje, wygrała. Warto zastanowić się, czy może zdziałać coś więcej. I jak to się ma do naszych szaf.

Katastrofa

„13 marca okazało się, że nie potrzebujemy już nowych ubrań" – napisał w 2020 r., na początku pierwszego lockdownu, dziennikarz i ekspert mody Michał Zaczyński. Pamiętamy tamtą wiosnę pewnie lepiej niż późniejszy lockdown, który trwał – w różnym natężeniu – od listopada do maja. Wtedy naprawdę zamknięto wszystko, nawet parki, lasy i plaże. Media donosiły o czystym niebie nawet nad Pekinem i wydawało się przez chwilę, że wprawdzie z ludźmi może być różnie, ale planeta odetchnie.

Przemysł odzieżowy ma w katastrofę klimatyczną poważny wkład – odpowiada za 10 proc. emisji gazów cieplarnianych, znaczne zużycie i zanieczyszczenie wody, cierpienie zwierząt. Prawie 40 mln ton ubrań trafia rokrocznie na wysypiska śmieci. Prognoza Zaczyńskiego brzmiała więc w sumie optymistycznie. I nie była bez szans na spełnienie. Z przygotowanego w lecie 2020 r. raportu firmy konsultingowej Accenture i redakcji Fashionbiznes.pl wynikało, że 43 proc. respondentów zrezygnowało z planowanych zakupów odzieżowych, z tego co trzeci dlatego, że miał już zbyt dużo ubrań.

Dwa lata później kupowanie ciuchów znów traktujemy jak przyjemność. W badaniu przeprowadzonym w marcu 2022 r. dla aplikacji bankowej Klarna ponad połowa Polek i co trzeci Polak zadeklarowali, że kupują ubrania po to, by poczuć się lepiej. Według danych GUS sprzedaż detaliczna odzieży i obuwia w marcu 2022 r. wzrosła wobec poprzedniego marca (wtedy akurat były czynne galerie handlowe) aż o 41,9 proc. – najwięcej ze wszystkich kategorii.

Z drugiej ręki

– A jednak nie potrzebujemy nowych ubrań – przekonuje Michał Zaczyński. – Zaczęliśmy nosić używane. Według badań Accenture ponad połowa Polaków kupuje i sprzedaje ubrania z drugiej ręki. Są prognozy, które mówią, że za 10 lat będzie więcej sklepów z używaną odzieżą niż z nową.

Przyczyn jest kilka. Pierwsza to porządki w szafach, które robiliśmy w trakcie pandemii. Wielu z nas próbowało sprzedawać niepotrzebne i prawie nowe rzeczy, co poprowadziło do odkrycia w internecie miejsc wyspecjalizowanych w handlu ubraniami *vintage*. Sprzedając, zobaczyliśmy też, że można przy okazji coś fajnego kupić. Druga przyczyna to świadomość klimatyczna. Wśród młodych jest ona powszechna, sprawia, że nie chcą przykładać ręki do rozwoju szkodliwego dla Ziemi przemysłu. W lumpeksach ponadto znajdują rzeczy, które pozwalają im wyglądać oryginalnie. Trzecia – to niestety bieda. Równolegle do optymistycznych danych o handlu ↦

detalicznym nadchodzą bowiem coraz gorsze wiadomości o inflacji i kryzysie.

– Niezależnie od powodów, używane ubrania są dziś powodem do dumy – podkreśla Zaczyński. – 20 lat temu modnie było powiedzieć, że znalazło się coś w sieciówce, było stylowo i niedrogo. Dziś wokół internetowych platform tworzą się całe społeczności, a kupowanie z drugiej ręki staje się częścią stylu życia.

I zaprzecza obawom, że po pandemii pozostaniemy w dresach na zawsze. W secondhandach szukamy raczej rzeczy, które pozwolą nam się wyróżnić, niż wtopić w tłum.

Więcej luzu

Wiemy, że pandemia zmieniła obyczaje zakupowe, ale czy zmienił się styl ubierania? Pobieżne badania terenowe podpowiadają, że wyluzowaliśmy. Prawie codziennie spaceruję Świętojańską – w czasach, gdy moda była ważna, jednym z zakupowych centrów Polski, obecnie po prostu główną ulicą Gdyni. Od czasu do czasu bywam w Warszawie, a skoro już jestem, odwiedzam też modne kawiarnie. Rzadziej, ale zaglądam również do Krakowa, gdzie przemierzam modowy szlak. I dostrzegam różnice w witrynach. W Gdyni – mało znanych marek, dużo kolorów i odważnych fasonów. W Warszawie właściwie nie ma witryn, cały handel przeniósł się do centrów handlowych. W Krakowie – trochę lumpeksów, więcej księgarni, reszta w blaszakach galerii handlowych. Ludzie wyglądają podobnie. Sportowe buty do sukienek i marynarek, dresowe bluzy do spódnic, w Warszawie może więcej ekstrawagancji, w Gdyni czapek i lekkich puchówek (maj, nie maj, zawsze trochę wieje), w Krakowie – gołe nogi. O wspólny mianownik nietrudno – ubrania wydają się tłem dla reszty życia.

To zasługa wynikłych z pandemii dobrodziejstw – pracy zdalnej i ograniczenia dużych wyjść, na które trzeba się wystroić. Iwona Kossmann, prezeska Deni Cler, zauważa to w wynikach sprzedaży. – To, co nosiliśmy w weekend, teraz nosimy na co dzień – mówi. – Komfort stał się priorytetem. Klientki najchętniej kupują dresy, spodnie i swetry. Jeśli coś bardziej eleganckiego, to na górę – mogą to być bluzki, biżuteria, nawet okulary ze sztucznymi szkłami. Tak zwany „zoom look" wciąż ma się dobrze.

Choć na ulicach tego nie widać, ze strojeniem się nie jest najgorzej. Mimo wszystkich katastrof przetrwał system polegający na tym, że wielkie firmy co sezon proponują trendy na nadchodzące wiosnę i lato lub jesień i zimę. Światowi projektanci podpowiadają, by w lecie 2022 ubierać się szałowo: łączyć kolory i wzory (czerwony z różowym, tiule ze sztucznym futrem), odsłaniać brzuchy. Krótko mówiąc: odreagować otaczającą nas miesiącami opresję.

> Ponad połowa Polaków kupuje ubrania z drugiej ręki. **W secondhandach szuka raczej rzeczy, które pozwolą się wyróżnić,** niż wtopić w tłum.

– W kwietniu zaprosiliśmy gości na galę Elle Style Award – opowiada Marcin Świderek, redaktor mody w magazynie „Elle". – Ubrali się bardziej jak na czerwony dywan, a nie koktajl. Odniosłem wrażenie, że chcieli nadrobić trudny czas, wreszcie się pokazać – mówi.

Na bankiety w świecie mody zazwyczaj większość gości ubiera się po prostu na czarno. Tym razem była feeria kolorów i pełen przegląd fasonów.

Konieczne są zmiany

Barbara Hoff, mówiąc o tym, że moda jest ważna, gdy o coś walczy, miała na myśli PRL. Wtedy ubranie bywało manifestacją poglądów, dawało – jak w jej przypadku – poczucie bycia Europejką niezależną od sowieckich wzorców. Bez wątpienia, jeśli moda ma sens, to właśnie w trudnych czasach. W dobrobycie jest nudna, a – jak pokazał początek XXI w. – może być również szkodliwa.

W kryzysie moda może jednak więcej i choć pandemia spowszedniała, to na naszych oczach pogłębia się inny kryzys: ekonomiczny, klimatyczny, no i wojenny.

– Liberalny kapitalizm wychował nas w przekonaniu, że ubranie to jedynie produkt, który należy kupować i pozbywać się go wedle kaprysu czy trendu – mówi Karolina Sulej, kulturoznawczyni i autorka nagradzanej książki „Rzeczy osobiste", o roli ubrań w obozach koncentracyjnych. – Pandemia dała nam czas do namysłu, a wojna w Ukrainie i kryzys uchodźczy podbiły refleksję nad tym, czym jest strój.

Jej zdaniem – czymś o wiele ważniejszym niż chwilową przyjemnością, zdobyczą z przeceny, lumpeksu czy też drogiego sklepu z rzeczami od projektantów. Karolina jest teraz koordynatorką w Centrum Pomocy Mokotów – warszawskim free shopie dla uchodźców z Ukrainy. – Widzę, jak wielkie znaczenie dla naszych gości ma to, że strój jest czysty, nienoszony, uprasowany, jak ważna jest nowa i ładna bielizna, kosmetyki, które przypominają o pięknie. Ubranie staje się wyrazem miłości, opieki, kotwicą, symbolem nadziei, darem – opowiada. – W czasie pandemii było często pocieszycielem, schronieniem, kostiumem. Mam nadzieję, że choć czasy są trudne, to są także rewolucyjne i za kilka lat będziemy inaczej patrzeć nie tylko na przemysł mody, ale także na kapitalizm.

Na razie badania na to nie wskazują. Wciąż najczęściej kupujemy ubrania dla przyjemności i tylko 21 proc. klientek i klientów zwraca uwagę, czy marka stosuje się do zasad zrównoważonego rozwoju (według raportu dla Klarny). Jeśli przyjazna dla środowiska produkcja oznacza cenę wyższą o 20 proc., to o 62 proc. spada zainteresowanie zakupem (badanie Boston Consulting Group i „Vogue Polska"). Jaskółką zmiany są zakupy w sklepach z używaną odzieżą.

By rewolucja wydarzyła się na dobre, zdaniem Karoliny Sulej konieczny jest inny sposób mówienia o modzie: zamiast o trendach, fasonach i kolorach, trzeba opowiadać o tym, co osobiste. – Tylko zmiana narracji prowadzi do zmiany nawyków – przekonuje.

Moda przetrwała już niejedną rewolucję i do każdej prędzej czy później dopisała dobrą opowieść, np. o tym, jak rozluźnienie gorsetów wyzwoliło kobiety, a zachodnie fasony w Europie Wschodniej pomogły rozmontować komunizm. Z każdej z nich w pamięci historyków zostały też jakieś tendencje charakterystyczne dla epoki.

Co zobaczą historycy badając lata 20. XXI w.? – Chyba to, że nie ma już trendów. Ludzie noszą to, co im się podoba, a nie to, co dyktuje rynek – przewiduje Michał Zaczyński.

A to dobry początek zmiany.

© ALEKSANDRA BOĆKOWSKA

Autorka jest dziennikarką, napisała m.in. książki: „To nie moje wielbłądy. O modzie w PRL" oraz „Księżyc z peweksu. O luksusie w PRL".

JACEK

Podsiadło: „*Przedstawił się jako Jack*”

Jeszcze o czarno-białym świecie, który wojna dzieli krechami prostymi i grubymi. Dotknięci nią muszą przyjąć taki obraz, żeby po prostu przetrwać, obserwatorzy najczęściej robią to dla własnej wygody. Prawdy niewygodne usuwane są podczas wojny w cień. Bo czynią wybory mniej jednoznacznymi, bo są na rękę Putinowi, bo kłócą się z naszą „racją stanu”... Żeby obraz wojny był przekonujący, musi być spójny. I taki do nas dociera: żołnierze ukraińscy ratują z ruin i pogorzelisk dzieci, psy i książki, które żołnierze rosyjscy gwałcą, jedzą i palą. I tak ma być.

Polityka jest nudna i powtarzalna jak serial, którego tylko jeden odcinek udało się nakręcić. Nigdy nie potrafiłem się nią zainteresować, w związku z czym nie mam ustalonych poglądów politycznych. Tym łatwiej je kształtować, a może nawet urabiać. Za kształtowanie moich poglądów politycznych odpowiedzialna jest „Gazeta Wyborcza” – wiecie, że jest jedyną, której abonament od lat opłacam. 14 kwietnia Konstanty Gebert napisał w niej: „Wojna, co równie nieuchronne, jak nieakceptowalne, zawęża swobodę wypowiedzi”. Również w tym zdaniu pobrzmiewa echo tezy o grubych, czarno-białych podziałach. Owszem, Gebert zgrabniej ode mnie wyostrzył jej wewnętrzną sprzeczność, ale było mu łatwiej, gdyż zdanie to umieścił w felietonie pożegnalnym, a kiedy felietonista odchodzi, muza bzyka mu około ucha szczególnie natarczywie. Gebert pożegnał się ze swoją gazetą po 33 latach z powodu jednego słowa. „Ukraiński batalion Azow, walczący bohatersko w obronie Mariupola, określiłem mianem »neonazistowskiego«, co Redakcja uznała za niedopuszczalne. Ja z kolei nie zgodziłem się na zastąpienie tego terminu słowami »skrajnie prawicowy« itp., a za niedopuszczalną uznałem samą taką ingerencję”. Pod spodem Redakcja „z żalem przyjmuje do wiadomości”, a jej szloch słychać aż w Neobrandenburgii. Sześć dni później o Azowie napisał w tej samej gazecie Paweł Smoleński. Zakazane Gebertowi słowo pada u Smoleńskiego 22 razy, ale po to, żeby wykazać, iż Azow n i e j e s t nazistowski czy neonazistowski.

Już tytuł artykułu jest przekonujący: „»Byłem białym radykałem, ale mi przeszło«. Kim są żołnierze pułku »Azow«, który broni Mariupola”. Azowcy nie są neonazistami, ponieważ w książce Tomáša Forró z 2019 r. Smoleński znalazł wypowiedź „ukraińskiego rozmówcy, który przedstawił się jako Jack”: „Też byłem radykałem. Ale potem wielu z nas w »Azowie« bardzo się zmieniło. Jak mogę nienawidzić jakiegoś Gruzina czy na przykład czarnego Amerykanina, skoro oni przebyli tysiące kilometrów po to, żeby wraz ze mną walczyć w okopach o ten kraj?”. Wzruszony Smoleński nie cytuje pointy rozdziału o trudnej miłości Azowa do czarnoskórych i Gruzinów, a jest nią świadectwo innego niż „Jack” żołnierza: „Nasza jednostka sąsiaduje z jakimś oddziałem »Azowa«, który akurat kończy poranną gimnastykę. A wiesz, jak ją zaczęli? Wszyscy na komendę zahajlowali!”. Wspomina o tym półgębkiem i użyciem eufemizmu, który mało mu zębów nie wybija: „Ktoś zobaczył, jak witają się rzymskim salutem”.

W ogóle Smoleński przeczytał Forró bardzo nieuważnie. Dostrzega na przykład rysunki przekreślonej gwiazdy Dawida, przekreślonego półksiężyca i przekreślonej czarnej twarzy w samochodzie Prawego Sektora, ale przegapia umieszczoną nad nimi naklejkę z nieprzekreślonym esesmanem. Krótko mówiąc, widzi symbolikę skrajnie prawicową, natomiast neonazistowska pozostaje dla niego, jak dla całej redakcji, niewidzialna. Dość mętnie wywodzi, że Azow są to w zdecydowanej większości niewinni kibole, którzy spotykali się z bratnimi duszami z zagranicy na neonazistowskich forach tylko dlatego, że tęsknili, a nie mieli się gdzie spotykać. No tak, „w chuligańskim dorobku mieli ataki na ukraińskich Romów czy aktywistów LGBT”, ale to kilka lat temu, teraz natomiast oczyścili swe szeregi i „opromienia ich mołojecka sława”. Tak, był w 2019 r. amerykański pomysł wpisania Azowa na listę organizacji terrorystycznych, ale był to pomysł chybiony.

Mój obraz wojny na Ukrainie nie jest tak spójny, jak propagandowe przekazy, ale przynajmniej nie grozi mi pęknięcie tego obrazu, kiedy rzekomo czarno-biały świat okaże się czarno-czerwony. Podziwiam bojowników z Mariupola i kiedy z podziemi wrzucają do sieci filmik, na którym śpiewają „Baťko nasz Bandera”, nucę razem z nimi. Podziwiam ich nie za hajlowanie i nie za prześladowanie mniejszości seksualnych. Jeśli są neonazistami, nie przestaję ich podziwiać za to, za co podziwiam, ale też nie zaczynam ich podziwiać za to, za co nie podziwiam. Brak poglądów politycznych nie oznacza braku jakichkolwiek poglądów. Przeciwnie: z poglądów ogólnych można wysnuwać osobiste wytyczne, jak się ustawić względem wiatrów polityki, kiedy zawiewają szczególnie mocno. I tak ogólnie to ja widzę, że jak się zaczyna wojna, to bohaterami zostają najbardziej bitni żołnierze. A najbardziej bitni są zazwyczaj ci, którzy lubili bić (się) jeszcze w czasie pokoju, w końcu Zełenski nie jest pierwszym, który w obliczu wojny wypuścił z więzień przestępców gotowych walczyć za ojczyznę. A jak wojna się kończy, to w partyzantce zostają, owszem, ci, którzy chcą walczyć do końca w przegranej sprawie, ale zwykle są to ci sami, którym posmakowało lenistwo, wolne leśne życie na koszt okolicznego chłopstwa, którym wygodnie w łóżku z mchu pod dachem z gałęzi i kompasem z gwiazd. A wojna to jedna straszna niewygoda, tyle Wam powiem. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Mińsku Mazowieckim pod sygn. akt I Ns 209/21 toczy się sprawa z wniosku Ewy Rybackiej o zezwolenie na złożenie do depozytu sądowego na okres 10 lat kwoty stanowiącej przedmiot spłaty na rzecz Katarzyny Przybicień z tym zastrzeżeniem, że odbiór tego świadczenia może nastąpić przez Katarzynę Przybicień po przedstawieniu prawomocnego postanowienia o dział spadku po Stanisławie Mucha.

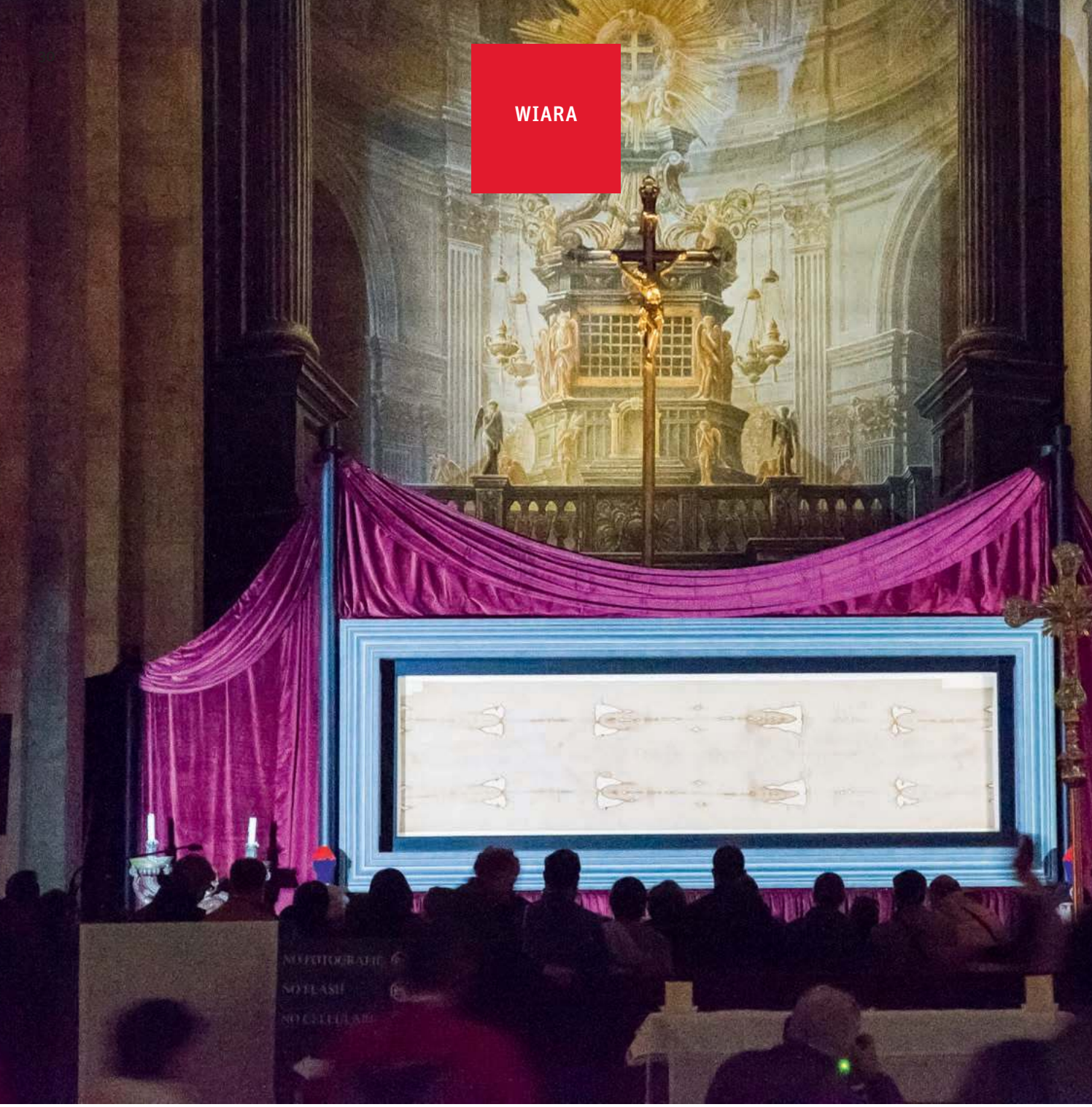

NIEPRZEDSTAWIENIE

Całun Turyński nie jest obrazem – to paradoksalna zasłona ukazująca nieobecność tego, co można zobaczyć, i zarazem inicjująca świadczenie o tym, czego się nie doświadczyło.

DARIUSZ KOSIŃSKI

STEFANO GUIDI / CORBIS / GETTY IMAGES

Wystawienie Całunu Turyńskiego, kwiecień 2015 r.

Ogłoszenie przez prof. Liberato de Caro, że przeprowadzone przez jego zespół z Istituto di Cristallografia w Bari badania próbek Całunu Turyńskiego dzięki zastosowaniu nowej metody szerokokątnego rozpraszania promieni rentgenowskich (WAXS) dowiodły, iż płótno Całunu może pochodzić sprzed 2 tysięcy lat, rozpoczęło kolejny akt wieloletniego sporu między osobami przekonanymi o autentyczności turyńskiej relikwii a tymi, którzy uznają ją za falsyfikat. Ustalenia zespołu z Bari są o tyle ważne, że przynoszą pierwszy od dawna nowy zestaw naukowych argumentów podważających wyniki słynnych badań radioizotopami węgla ^{14}C z 1988 r., według których Całun powstał między rokiem 1260 a 1390. Wszyscy, którzy od kilkudziesięciu lat podnoszą kolejne wątpliwości wobec tamtego datowania, otrzymali właśnie do ręki dodatkowe atuty.

Nie mam zamiaru wchodzić w ten spór. Jego historia jest dobrze znana i łatwo dostępna, a ja nie posiadam kompetencji, by móc cokolwiek nowego w tej sprawie powiedzieć. Jeśli ośmieliłem się przyjąć zaproszenie Redakcji do napisania o Całunie, a nawet się z niego ucieszyłem, to dlatego, że z perspektywy dyscypliny, którą reprezentuję i którą usiłuję uprawiać – badań nad przedstawieniami – *sindón* przechowywany w Turynie to prawdziwe arcydzieło, zachwycające swoją spójnością i – jeśli można tak powiedzieć o przedmiocie materialnym – mądrością. Nie rozstrzygając o jego pochodzeniu, można bez wahania przyjąć tradycyjne określenie greckie odnoszone także do niego – *acheiropoietos*, nie ludzką ręką utworzony. Całun jako przedstawienie powstał (i wciąż powstaje) dzięki temu, co o nim wiemy i czego nie wiemy, dzięki opisującym jego dzieje dokumentom i pobudzającym wyobraźnię legendom. A przede wszystkim dzięki tajemnicy, na którą wskazuje (nie)przedstawiając.

Cristo velato

Podstawowy paradoks Całunu polega na tym, że czczony jako wizerunek jest *de facto* zasłoną. Całun to przecież nic innego jak płótno, w które zawinięto umarłe ciało, by je przykryć, zasłonić, uchronić ludzki wzrok przed nim, a je – uczynić niedostępnym dla ludzkich zmysłów. Jako taki odsyła do wielu zasłon i odsłon, do całej wielkiej „gry" widzialnego i niewidzialnego, tak fundamentalnej dla życia duchowego i religijnego.

W naszym myśleniu o zasłonie działa mechanizm, którego kulturową reprezentacją i realizacją jest niegdyś podstawowa akcja teatralna – odsłonięcie kurtyny. Oto zasłona niepozwalająca zobaczyć, jak wygląda to, co znajduje się za nią, podnosi się lub rozsuwa i wreszcie, po długim okresie oczekiwania, możemy ujrzeć widok, po który przyszliśmy. Ten sam mechanizm znany jest też z życia religijnego, choćby z akcji odsłaniania czczonych wizerunków, ukrywanych na pewien czas pod nasuwanymi na nie, zazwyczaj ozdobnymi „kurtynami", które podnoszone są uroczyście, z towarzyszeniem fanfar (najbardziej znany polski przypadek to oczywiście ikona jasnogórska, której odsłonięcie z całym patosem rozegrał w „Potopie" Jerzy Hoffman).

Jednym z podstawowych wzorów tych wszystkich ukryć tego, co czczone, jest Świątynia Jerozolimska i jej Święte Świętych, którego nikt – poza arcykapłanem – nie mógł zobaczyć, bo zasłonięte było „kurtyną" z fioletowej i czerwonej purpury, z karmazynu i kręconego bisioru, szczegółowo opisaną w Księdze Wyjścia (Wj 26, 31). Ta właśnie „zasłona przybytku" rozdarła się w momencie śmierci Jezusa (Mt 27, 51), co interpretowane jest jako znak przełomowej zmiany w relacjach między ludźmi a Bogiem, między rzeczywistością ludzką a nie. Całun Turyński można interpretować jako subtelny, paradoksalnie materialny i obrazowy symbol owej zmiany.

Nie polega ona wszak na tym, że po rozerwaniu zasłony widzimy wyraźnie i w pełni. Nawet św. Paweł, przemieniony tym, co ujrzał w drodze do Damaszku, pisze w słynnym fragmencie, że „teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno" (1 Kor 13, 12a). I tak właśnie jest. Ale chrześcijaństwo dokonuje w tym widzeniu niejasnym fundamentalnej zmiany – przyjęcie nauki o wcieleniu Syna Bożego sprawia, że to, co przemijające i śmiertelne – postać tego świata i ludzkie ciało – przestaje być „kurtyną", którą należy całkowicie usunąć, by móc zobaczyć „ciało duchowe", a staje się paradoksalną zasłoną ukazującą.

W innym włoskim mieście, w Neapolu, oglądać można uczyniony ręką ludzką, choć prawdziwie w swoim mistrzostwie niewiarygodny wizerunek, który tę mądrość zasłony-całunu pozwala lepiej zrozumieć. To „Cristo velato" – nieprawdopodobnie mistrzowska rzeźba złożonego w grobie, umęczonego Jezusa dłuta Giuseppego Sanmartina, ukończona w roku 1753. Leżące ciało umarłego mężczyzny wykute w olśniewająco ↦

↦ świetlistym marmurze spoczywa na kamiennym postumencie w centrum Capella Sansevero – kaplicy grobowej, programowo skomponowanej wokół tematu zasłaniania i odsłaniania przez tajemniczego Raimonda di Sangro (1710-1771), uczonego, literata, okultystę i alchemika. Choć, zgodnie z tytułem, rzeźba Sanmartina przedstawiać ma Chrystusa, to w rzeczywistości artysta nie wyrzeźbił jego ciała, ale właśnie okrywający je całun. Ani jeden fragment ciała nie jest odsłonięty, co nie znaczy, że nie widzimy go ze wszystkimi szczegółami, także ze szczegółami męki, zgodnymi z opisami ewangelicznymi (dokładnie tak jak na Całunie Turyńskim, choć pozycja Umarłego jest zupełnie inna).

Przez swoiste podwojenie – rzeźba przedstawia całun, który (nie) przedstawia ciała – „Cristo velato" pozwala lepiej zrozumieć, czym jest „zasłona" turyńska jako wizerunek wystawiający rewelację nieobecności umarłego. Pod całunem nie ma ciała. Jezus nie spoczywa w grobie i nie ma powodu, by go tam szukać. W grobie – wiemy z Ewangelii – zostały tylko płótna. U początków teatru chrześcijańskiej Europy jest odgrywany jako kulminacja dramatyzacji Visitatio Sepulchri (Nawiedzenia Grobu) akt ich ukazania przez trzy Maryje, które poszły do Grobu w niedzielę rano. Tyle i tylko tyle zrobić można – pokazać płótno.

Widzialność niewidzialnego

Na stronie najpopularniejszego współczesnego źródła wiedzy, Wikipedii, czytam opis turyńskiej relikwii: „Na całunie widnieje wizerunek nagiego mężczyzny o atletycznej budowie, ma on brodę i długie włosy zaplecione w wiele luźnych warkoczy. Jego ciało znaczą liczne rany oraz pojedyncza rana kłuta między 5. i 6. żebrem". Podstawowy paradoks, który decyduje o doskonałości Całunu jako przedstawienia, polega na tym, że ten oczywisty, wydawałoby się, opis nie jest prawdziwy.

> Ukrzyżowanie zostało dane do oglądania i miało wielu widzów. Wydarzenie Zmartwychwstania ma zupełnie inny charakter: **jest radykalnie niewidziane i nie do zobaczenia.**

Wbrew oznajmującej formule użytych zdań, ten „mężczyzna o atletycznej budowie" nie „ma" brody i długich włosów, a jego ciała nie „znaczą liczne rany". Bo przecież tego ciała nie ma. Podstawowa cecha sprawiająca, że Całun Turyński jest przedmiotem szczególnego zainteresowania i kultu, dotyczy właśnie tego, że ciało, którego wizerunek na nim widnieje – ciało zamęczonego i zabitego na krzyżu mężczyzny – nie istnieje. I jeśli Całun coś przedstawia, jeśli jest czegoś wizerunkiem, to właśnie tego – że to ciało przestało być cielesne na sposób ludzki.

Dla chrześcijaństwa, religii opartej na wierze w Boga niewidzialnego, który stał się człowiekiem i żył w ciele, relacja między widzialnym a niewidzialnym, poznawalnym zmysłowo i nie, ma szczególne znaczenie. Każdy system wierzeń wykorzystuje tę relację na różne sposoby, tworząc przedstawienia transcendencji, otwierając możliwość kontaktu z innym światem. Nie mówię o rytuale jako o wzorze zachowań i scenariuszu, ale o przedstawieniach i doświadczeniach przekroczenia granicy tego, co uznaje się za „przyrodzone".

W wielu religiach ciałem, które to przekroczenie ukazuje, jest ciało kapłana – specjalnego wysłannika wspólnoty, który w jej imieniu jednorazowo (jako natchniony prorok, objawiciel, wizjoner, mistyk) lub regularnie (jak szaman, praktyk kultów opętania, jurodiwy) nawiązuje kontakt z innym, niedostępnym dla pozostałych światem. W chrześcijaństwie to sam Bóg staje się ciałem, które istnieje w codzienności tego świata jako (nie)przedstawienie Boga z nami, Boga-człowieka. To jego paradoksalne istnienie w sposób decydujący odmienia chrześcijańską relację między widzialnym a niewidzialnym, stanowiącą też swoisty wzorzec dla paradoksu Całunu, który w tym właśnie aspekcie okazuje się materialnym znakiem jednej z najważniejszych cech decydujących o performatywnej swoistości chrześcijaństwa.

Widowisko i Wydarzenie

O tym, jak wielkie znaczenie ma relacja widzialnego i niewidzialnego, przedstawienia i nieprzedstawienia dla chrześcijaństwa, nic nie przekonuje tak jasno jak fakt, że odnosi się ona w sposób bezpośredni i podstawowy do dwóch najważniejszych wydarzeń tej religii – Ukrzyżowania i Zmartwychwstania. To pierwsze było masowo oglądane, było – podobnie jak tysiące kaźni i rzezi, które ludzie urządzają ludziom – widowiskiem. Tak właśnie pisze o nim św. Łukasz, który w zakończeniu opisu Męki mówi o „tłumach, które zbiegły się na to widowisko" (Łk 23, 48). W wersji greckiej użyte jest słowo *theōrian* kojarzące się brzmieniowo z teatrem, bo wywodzące się od *théa* – „widok" – i niekiedy tak właśnie na polski tłumaczone (np. przez Jakuba Wujka). Niezależnie jednak od możliwych wariantów, nie ulega wątpliwości, że Ukrzyżowanie zostało dane do oglądania i miało wielu widzów, choć niewielu świadków, czyli tych, dla których stało się doświadczeniem – początkiem działania, wiodącego niektórych z nich do składania jako świadectwa swojego życia.

Wydarzenie Zmartwychwstania ma zupełnie inny charakter – jest radykalnie niewidziane i nie do zobaczenia. Nie znaczy to oczywiście, że nie było przedstawiane, choć jego ikonicznych reprezentacji jest zdecydowanie mniej niż obrazów Męki. Ale nawet przedstawienia istniejące posługują się raczej sugestiami i ukazują to, co może sobie czło-

POŻEGNANIE

W niedzielę 29 maja o godz. 10.30
w kościele pw. bł. Anieli Salawy przy ul. Kijowskiej 29 w Krakowie
zostanie odprawiona Msza św. za dusze

Ś.† P.

Jacka i Józefy Hennelów

wiek wyobrazić: moment tuż po, gdy Chrystus ukazuje się w chwale i „wychodzi z grobu dnia trzeciego z rana". Także relacje ewangeliczne nie zawierają opisu tego najważniejszego przecież Wydarzenia o kluczowym dla chrześcijaństwa znaczeniu, bez którego „daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara" (1 Kor 15, 14). Relacjonują jedynie kolejne ukazania się Zmartwychwstałego, jego kolejne – użyję świadomie tego słowa, nawet jeśli może się ono wydać komuś deprecjonujące – występy, wskazujące jedynie na wydarzenie, którego nikt nie widział.

Całun Turyński znajduje się dokładnie w samym centrum tej relacji między widowiskiem i Wydarzeniem. Wizerunek na nim dostrzegany ukazuje ciało człowieka zamęczonego i ukrzyżowanego. Ale to, co naprawdę relikwia przedstawia, rzucając zarazem wyzwanie ludzkim zmysłom, to nieobecność tego ciała, jego dematerializacja, która nie tylko wizerunku nie naruszyła, ale może – jak twierdzą niektórzy – wręcz go wywołała. Ukazując skutki Męki, Całun zarazem przedstawia Zmartwychwstanie w jedyny po ludzku możliwy sposób – wskazując na jego całkowitą nieprzedstawialność. Jest materialnym, widocznym, obrazowym ukazaniem tego, czego żadne ludzkie oko nie widziało i nie zobaczy. Przedstawia – czyli dosłownie: stawia przed – prawdę o tej niemożliwości zobaczenia, tym samym powołując widza – tego, który patrzy – na paradoksalnego świadka.

Nie ludzką ręką uczyniony

Zmartwychwstanie nie jest doświadczeniem ludzkim. Żaden człowiek nie doświadczył zmartwychwstania, także tego, które opowiadane jest jako zmartwychwstanie historyczne, mające miejsce w Jerozolimie 2 tysiące lat temu. A jednak jest ono dane do świadczenia, powołuje wciąż nowych świadków, a nawet więcej – świadczenie o niedoświadczonym przez żadnego człowieka Wydarzeniu stanowi rdzeń chrześcijaństwa jako wiary i praktyki milionów. W cytowanym wyżej pierwszym liście do Koryntian św. Paweł pisze wszak, że jeśli nie ma zmartwychwstania, to „okazuje się (...), żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga" (1 Kor 15, 15). W tej perspektywie spory toczące się wokół autentyczności Całunu są co najmniej dwuznaczne i nie dziwi wcale, że Kościół się do nich i do samej relikwii nieco dystansuje, a niektórzy jego przedstawiciele (począwszy od biskupa Troyes, Pierre'a d'Arcis, który już w 1358 r. domagał się zakazania kultu Całunu) wręcz przeciwstawiają się jego czci. Wszak błogosławieni są „ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli" (J 20, 29b). Kościół konsekwentnie i logicznie głosi, że cokolwiek zostanie naukowo wykazane w kwestii pochodzenia i wieku Całunu, nie ma znaczenia dla najważniejszej prawdy wiary – prawdy o Zmartwychwstaniu.

> Całun nie jest ikoną, ale indeksem – wskazuje na coś poza nim samym, co pozostaje tajemnicą, wiążąc się bezpośrednio z tym, **co wszyscy dobrze znamy: ze śmiertelnym ciałem.**

W historii Całunu byli przecież już i tacy ważni „aktorzy", którzy akceptowali jego związek z historią Jezusa z Nazaretu opisaną w Ewangeliach, co jednak w niczym nie zmieniało ich sceptycznego stosunku do podstawowych prawd i istotnego nauczania chrześcijaństwa. Zgoda na to, że tkanina wykonana około 2 tysięcy lat temu okrywała ciało „mężczyzny o atletycznej budowie" zabitego w okrutny sposób, może co najwyżej potwierdzić, że istniała taka postać historyczna. Nawet to, że ów człowiek miał na imię Jezus i został ukrzyżowany w Jerozolimie, nie dowodzi tego, że był Synem Bożym, który powstał z martwych.

To właśnie w tym punkcie szczególnego znaczenia nabiera to, co określa się jako *acheiropoietos* – nie (ludzką) ręką uczyniony. Widoczny na Całunie obraz ciała ma niejako dwa warianty: pierwszy powstał poprzez odciśnięcie, wsiąknięcie w tkaninę krwi, potu i innych płynów ustrojowych, drugi – poprzez utlenienie włókien lnu, które spowodowało ich zaciemnienie, opisywane niekiedy (nieco metaforycznie) jako „fotografia w negatywie". Ten drugi obraz stanowi jak dotąd największą tajemnicę Całunu.

Wprawdzie nie udało się wyjaśnić także, w jaki sposób można by zachować obraz odciśnięty bez odrywania ciała i naruszania plam wytworzonych przez kontakt z płynami ustrojowymi, ale trudność tej zagadki blednie w porównaniu z całkowitym brakiem naukowego objaśnienia tego, co wywołało ową „fotografię" ujawnioną przez Seconda Pię, autora pierwszego zdjęcia relikwii.

Znów – nie rozstrzygając niczego, powiedzieć można, że *sindón* z Turynu jest śladem, echem, pozostałością jakiegoś wydarzenia, na które wskazuje jako na tajemnicę, rzucającą wyzwanie temu, co wiadomo. Istnieje, jest poznawalny, ale w swoim najważniejszym aspekcie poznaniu wciąż się wymyka. Będąc zasłoną, jest zarazem przejściem ku tajemnicy.

Przejść takich i scen wkraczania w nie zna kultura współczesna mnóstwo. Od kilkudziesięciu lat mnożą się one zwłaszcza w kulturze popularnej – od tylnej ściany starej szafy wiodącej do Narnii, po mgliste kurtyny, za którymi znajdują się areny walk z bossami w grach wideo. Przenikanie przez nie stało się banałem i oczywistością. Co ciekawe, w tym samym czasie teatr zrezygnował praktycznie z kurtyny, pozostawiając ją przede wszystkim jako historyczny rekwizyt, przywoływany, gdy nostalgicznie wskazuje się na dawne konwencje. W centrum świata widowisk miejsce kurtyny zajął ekran – zasłona, która znika w swojej podstawowej materialności, by posłużyć jako miejsce ukazywania tego, czego na niej nie ma i co z nią nie ma nic wspólnego.

W tak przekształconym, odsłoniętym i wystawionym świecie Całun Turyński staje się szczególnym wyzwaniem – przedstawieniem tylko pozornie ukazującym to, co w nim najważniejsze. W odróżnieniu od spektakli obiecujących zaspokojenie wszelkich form wojerystycznego pragnienia, ale też w odróżnieniu od ikon czczonych jako prawdziwe obrazy, nie ukazuje on tego, co na nim widoczne. Całun nie jest ikoną, ale indeksem – wskazuje na coś poza nim samym, co pozostaje tajemnicą, jednocześnie wiążąc się bezpośrednio z tym, co wszyscy znamy tak dobrze, tak bezpośrednio – ze śmiertelnym ciałem. Wydarzenie, którego śladem materialnym jest turyńska relikwia, dotyczy ciała i czegoś, co się z nim stało, a więc czegoś, co może stać się też naszym udziałem.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Tytus Brandsma, 1932 r.

Mistyk, dziennikarz, święty

SEBASTIAN DUDA

Nie wahał się publicznie nazywać nazizmu „nowym pogaństwem". Miał za to zapłacić najwyższą cenę. O. Tytus Brandsma, karmelita, został właśnie kanonizowany.

26 LIPCA 1942 R. Z SALI SZPITALNEJ obozu koncentracyjnego w Dachau strażnik wywołał krzykiem jednego z więźniów. Był nim pewien Holender. Od kilkunastu dni dokonywano na nim zbrodniczych eksperymentów medycznych, które wycieńczały go coraz bardziej. Do obozu trafił w kwietniu tego samego roku.

Nazistowscy oprawcy wiedzieli, że jest księdzem, karmelitańskim zakonnikiem. Wysyłali go do najcięższych robót. Ze spokojem znosił obelgi i bicie, co bardzo ich irytowało. Po dwóch miesiącach był już tak bardzo skatowany, że nie mógł wykonywać żadnej pracy fizycznej. W szpitalu zajęli się nim specjaliści nazistowskiej medycyny, którzy oczywiście nie zamierzali go leczyć. Wkrótce okazało się, że więzień jest już bezużyteczny dla hitlerowskich naukowców-zbrodniarzy. Wydali wyrok: śmierć przez zastrzyk fenolu.

Tamtego lipcowego dnia poprowadzono go do izolatki, gdzie strzykawkę z trucizną szykowała już obozowa pielęgniarka. Wiedział, co go czeka. Uśmiechnął się do morderczyni, chwycił jej dłoń i powiedział: „Biedna dziewczyno, bardzo się za ciebie modlę". Wzruszyła ramionami. Była ateistką, której jedyną wiarą od pewnego czasu (fanatycznie zresztą wyznawaną) był narodowy socjalizm. Więzień uwolnił jej dłoń, by wyciągnąć z kieszeni drewniany różaniec. „Weź go" – rzekł do swej oprawczyni. Przyjęła ten nic nieznaczący dla niej podarek i schowała go do pugilaresu. Następnie wykonała do końca zleconą jej procedurę. Przytknęła igłę do klatki piersiowej skazańca i wstrzyknęła fenol prosto do komory serca. Śmierć nastąpiła szybko. Zwłoki spalono w obozowym krematorium.

Zabitym więźniem był ojciec Tytus Brandsma. W ostatnią niedzielę ów holenderski karmelita został kanonizowany przez papieża Franciszka.

Zafascynowany mistyką

Urodził się 23 lutego 1881 r. w wiosce Oegeklooster we Fryzji w północnych Niderlandach. Na chrzcie nadano mu imię Anno (po żyjącym w XI w. świętym arcybiskupie Kolonii). Rodzice prowadzili małe gospodarstwo. Mieli sześcioro dzieci.

W kalwińskiej Fryzji katolicy byli mniejszością. Dbali o swoją wyznaniową tożsamość. Wielu z nich wyróżniała intensywna pobożność. W rodzinnym domu przyszłego męczennika także wiele czasu poświęcano na wspólną modlitwę i religijną edukację. Trzy siostry Annona zostały zakonnicami. Jego brat również wybrał stan duchowny. Nic dziwnego, że

i Anno wstąpił do franciszkańskiego niższego seminarium duchownego.

Franciszkaninem jednak nie został. Słabego zdrowia (cierpiał na chorobę jelit), był wątły i niewysoki, co odróżniało go od wielu rodaków. Przez całe życie nazywano go „krótkim". Franciszkanie uznali, że Anno nie bardzo się nadaje do życia w aktywnej wspólnocie. Skłonili go, by wybrał zgromadzenie kontemplacyjne. Mając lat 17, Anno wstąpił zatem do nowicjatu karmelitów w Boxmeer.

W zakonie przyjął imię Tytus – na cześć swego ojca, któremu, jak mówił, przede wszystkim zawdzięczał kapłańskie powołanie. Został wyświęcony na księdza w 1905 r., później przez kilka lat studiował w Rzymie, gdzie w 1909 r. uzyskał doktorat z filozofii.

Pasjonował go średniowieczny niderlandzki i flamandzki mistycyzm, w którym wielką rolę odgrywało kontemplacyjne poszukiwanie Boga przez poczucie jedności z całym stworzonym światem. Podobne tropy odnajdywał Tytus w XVI-wiecznej hiszpańskiej literaturze mistycznej. W 1916 r. z jego inicjatywy karmelici holenderscy rozpoczęli pracę nad tłumaczeniem głównych dzieł św. Teresy z Avila na język niderlandzki. Brandsma przez wiele lat był kierownikiem tego projektu. W środowiskach katolickich Holandii popularne stały się pisane przez niego rozważania, np. do obrazów Drogi Krzyżowej autorstwa belgijskiego ekspresjonisty Alberta Servaesa, które na początku lat 20. ubiegłego wieku wzbudzały zgorszenie u wielu duchownych i wiernych jako „brzydota nieprzystająca do katolickiej świątyni".

Dziennikarz

Na medytację i kontemplację Tytus nie miał jednak w zakonie zbyt wiele czasu. Przełożeni szybko odkryli jego talent nauczycielski i organizacyjny. W 1919 r. polecono mu założenie nieopodal klasztoru w miejscowości Oss (Brandsma mieszkał tam po powrocie z Rzymu) szkoły średniej. Z zadania wywiązał się znakomicie. Liceum istnieje do dziś, nosi imię swojego założyciela i uważane jest za jedną z najlepszych szkół w Holandii.

Jednocześnie o. Tytus zaangażował się w działalność dziennikarską. Pisał do gazety miejskiej w Oss. Publikował też artykuły na temat duchowości i doświadczenia mistycznego w periodykach karmelitańskich (był zresztą założycielem jednego z nich – pismo „Karmelrozen", czyli „Róże Karmelu", miało kilkunastotysięczny nakład). Został aktywnym członkiem Katolickiego Stowarzyszenia Dziennikarzy. Jeździł po całym kraju (nazywano go nawet „mistykiem z długookresowym biletem kolejowym"). Był kierownikiem duchowym całkiem sporej grupy redaktorów.

Akademik

Jego talenty zostały zauważone również przez holenderskich biskupów. Hierarchowie martwili się, że w Niderlandach katoliccy intelektualiści funkcjonują na marginesie życia akademickiego (co przekładało się na słabą obecność w instytucjach politycznych kraju). Stopniowo zaznaczały się też w społeczeństwie holenderskim tendencje sekularyzacyjne. Uznano, że potrzebne jest powołanie katolickiej uczelni. Do zespołu organizacyjnego powołano o. Tytusa Brandsmę.

Gdy w 1923 r. powstał wreszcie Katolicki Uniwersytet w Nijmegen (dziś Uniwersytet im. Radbouda), karmelita przeniósł się tam z Oss. Znalazł się w gronie pierwszych dwudziestu siedmiu profesorów uczelni. Wykładał filozofię i historię chrześcijańskiej literatury mistycznej. Bardziej był jednak znany ze swej działalności duszpasterskiej, choć jego wykłady cieszyły się popularnością wśród studentów.

W jednym z nich mówił: „Naprzód musimy rozpoznać Boga jako najgłębszą zasadę naszego bytu ukrytą w głębi naszej natury, ale mając przekonanie, że zasadę tę można dojrzeć i ją kontemplować. (...) Jeśli z mistyki uczynimy zwyczajny dla nas sposób myślenia, staniemy się zdolni zobaczyć Boga jak gdyby intuicyjnie, bez żadnego intelektualnego wysiłku, i tak oto doświadczymy ciągłej kontemplacji Boga nie tylko w nas, ale we wszystkim, co istnieje: na początek szczególnie w naszych braciach, potem także w naturze, we wszechświecie; to obecność przenikająca wszystko, która jest dziełem Jego rąk".

W 1932 r. został wybrany na jednoroczną kadencję rektorem. W tym czasie dostrzegał już zagrożenie, jakim nie tylko dla Niemiec, ale i dla całej Europy stał się narodowy socjalizm. W inauguracyjnym wystąpieniu po objęciu urzędu rektorskiego Brandsma powiedział: „Wśród wielu pytań, które sobie zadaję, jedno szczególnie mnie niepokoi. To zagadka człowieka, który znajduje własne drogi rozwoju i czuje się dumny ze swych osiągnięć, a jednocześnie odchodzi od Boga w tak ostentacyjny sposób. Czy to tylko błąd tych, co w ten sposób działają? Czy nie jesteśmy zobowiązani, by uczynić coś, aby Bóg raz jeszcze zajaśniał w świecie czystym światłem?".

Antyfaszysta

Przyjmując to zobowiązanie, nie wahał się publicznie nazywać nazizmu „nowym pogaństwem". Miał za to zapłacić najwyższą cenę. Gdy w 1941 r. niemieccy okupanci nakazali wyrzucenie z katolickich szkół wszystkich żydowskich uczniów, o. Tytus ostro się temu przeciwstawił. Działania nazistów określił w opublikowanym przez siebie tekście jako „rażącą niesprawiedliwość" i „atak na misję Kościoła, która nie uznaje różnicy płci, rasy czy narodowości". Aresztowano go 19 stycznia 1942 r. w klasztorze w Nijmegen. Zdążył jeszcze klęknąć przed przeorem, by go poprosić, jak to jest u karmelitów w zwyczaju, o błogosławieństwo. W drzwiach uśmiechnął się do współbraci i powiedział: „Memento mei i módlcie się za mnie".

Najpierw przewieziono go do więzienia w Scheveningen koło Hagi. Mógł tam jeszcze prowadzić dziennik. Rozpoczął też pracę nad książką o św. Teresie, której nigdy nie ukończył. W dzienniku zanotował: „Błogosławiona samotność. Jestem w tej celi jak w moim własnym domu. (...) Jestem sam, to prawda, ale Pan jest bliżej mnie niż kiedykolwiek wcześniej w klasztorze. (...) Czuję, że powinienem krzyczeć z radości, bo Pan zechciał, abym odkrył Go właśnie tu w całej Jego pełni (...). On jest moim jedynym spoczynkiem. Czuję się szczęśliwy. Jeśli On mi każe, zostanę tu na zawsze. Tylko kilka razy w życiu czułem się tak szczęśliwy jak tutaj".

Gdy o. Tytus pisał te słowa, nie wiedział, że zostało mu tylko kilka miesięcy życia. Po kolejnych przesłuchaniach w więzieniach w Amersfoort i Kleve został przez Gestapo wysłany do Dachau. Pielęgniarka, która uśmierciła go zastrzykiem fenolu, nie mogła o nim zapomnieć. W 1956 r. zdała relację o zgonie o. Brandsmy jego karmelickim współbraciom. „Zabiłam świętego człowieka" – powiedziała, przekazując ofiarowany jej przez o. Tytusa różaniec. Nie wierzyła już w narodowy socjalizm. Została katoliczką. 3 listopada 1985 r. Jan Paweł II wyniósł Tytusa Brandsmę na ołtarze. ©

Płeć w Kościele

ARTUR SPORNIAK

Przewodniczący niemieckiego episkopatu otrzymuje kolejne listy od biskupów z całego świata. We wszystkich pada ten sam zarzut, że chce zmieniać Kościół, by przypodobać się światu.

Nie milknie krytyka niemieckiej Drogi Synodalnej. Nie jest to zaskakujące, bo ten kościelny eksperyment – podjęty w odpowiedzi na kryzys pedofilski – przyjął strategię niezbyt często w Kościele katolickim widywaną: faktów dokonanych. Na przykład przez wezwanie do błogosławienia par żyjących w związkach nieregularnych, w tym homoseksualnych.

„W krajach takich jak Sri Lanka na co dzień konfrontujemy się z ludźmi, którzy nawet nie znają Jezusa Chrystusa. Dlatego musimy dbać o wierność Jego nauczaniu", a Niemcy nie mogą tego nauczania zmieniać wedle własnego uznania – ubolewał niedawno metropolita Kolombo kard. Malcolm Ranjith w rozmowie z konserwatywnym amerykańskim portalem „National Catholic Register".

Biskupi się spierają

To jeden z wielu głosów. Po opublikowaniu 22 lutego listu abp. Stanisława Gądeckiego do bp. Georga Bätzinga (omawianego przeze mnie na tych łamach w artykule „Doktryna do remontu") przewodniczący niemieckiego episkopatu w marcu otrzymał list także od biskupów krajów nordyckich, a w kwietniu kolejny – podpisany przez czterech kardynałów i 70 biskupów z całego świata. Wszystkie stawiają podobne zarzuty, z których podstawowy jest taki: naruszenie niezmiennego depozytu wiary, powodowane chęcią przypodobania się światu, co jest prostą drogą do schizmy – nie pierwszej zresztą w Kościele.

Dlatego odpowiedzi bp. Bätzinga na te listy (i wyłącznie na nie, bo zapowiedział, że na ewentualne kolejne już nie będzie odpowiadał) też brzmią podobnie: oczywiście członkowie Drogi Synodalnej najpierw przyzywają Ducha Świętego jako Przewodnika („Nikt nie może zagarniać Ducha Świętego dla siebie ani odmawiać innym poważnej próby słuchania Go"), w rozeznawaniu zaś odpowiedzi na współczesne problemy kierują się Pismem Świętym, Tradycją, Magisterium, „a także zmysłem wiary wiernych i znakami czasu interpretowanymi w świetle Ewangelii". Natomiast straszenie schizmą jest bezpodstawne, gdyż w dokumentach „drogowicze" starają się wyraźnie rozróżniać, co można rozstrzygnąć na poziomie lokalnym, a co tylko na poziomie Kościoła powszechnego.

Co ciekawe, do tych pierwszych – lokalnych – kwestii niemiecka Droga zaliczyła błogosławienie par osób tej samej płci, „na podstawie ponownej oceny homoseksualizmu jako normalnego wariantu ludzkiej seksualności". Głosując za tym wezwaniem, niemieccy biskupi już zobowiązali się to robić. Z kolei do tych drugich kwestii odnosi się m.in. dokument o nauczaniu Magisterium na temat miłości małżeńskiej. Postulując przeredagowanie siedmiu punktów Katechizmu Kościoła Katolickiego dotyczących płodności małżeńskiej tak, by to małżonkowie wybierali odpowiednie dla siebie metody regulacji poczęć (w tym antykoncepcję), Droga Synodalna „zwraca się do Papieża, ponieważ w tym przypadku porozumienie ma być osiągnięte na poziomie Kościoła powszechnego".

Zapewne wielu nie zgodziłoby się uznać za lokalny problem błogosławienia związków nieregularnych. Nie uznała go za taki np. Kongregacja Nauki Wiary, która niedawno wypowiedziała się krytycznie: nie można błogosławić życia niezgodnego z wolą Bożą (a Jego wolą jest heteroseksualne małżeństwo kobiety i mężczyzny). W Niemczech takie spojrzenie traktowane jest jednak jako zbyt ciasne. „Odmowa błogosławienia [które przecież nie jest sakramentem – AS] dwojga ludzi chcących żyć w partnerstwie, w miłości, oddaniu i odpowiedzialności wobec siebie nawzajem i wobec Boga okazuje się bezlitosna, a nawet dyskryminująca w społeczeństwie, które zaczęło traktować ludzką godność i swobodne samostanowienie jako maksymy norm moralnych" – odpowiada Droga Synodalna.

Rzeczywiście, jakąś drażniącą konfuzję wywołuje przekreślanie dobra w życiu milionów kochających się par przez bezwzględny osąd: żyjecie w stanie grzechu śmiertelnego! Dogmatyczne „okulary", przez które Magisterium patrzy na ludzkie życie, gubią wiele ważnych szczegółów. Droga Synodalna próbuje sporządzić dokładniejszy „instrument optyczny". Czy to się może udać?

Wątpliwość może wzbudzać jeden szczegół – w krytycznych listach pobrzmiewa refren: Kościół nie może uzależniać nauczania od teorii socjologicz-

PHILIPPE LISSAC / GODONG / GETTY IMAGES

Witraż „Adam i Ewa w ogrodzie Eden". Bazylika w Nicei, Francja.

nych i ideologii politycznych. Na co przewodniczący niemieckiego episkopatu szybko odpowiada: broń, Panie Boże, z socjologicznymi teoriami nie chcemy mieć nic wspólnego! Tymczasem to właśnie rozwój wiedzy naukowej najmocniej pokazuje, jak anachroniczne jest w wielu kwestiach kościelne nauczanie.

Co jest Bożą wolą

Na podstawie Biblii Kościół naucza, że Bóg stworzył człowieka jako mężczyznę i jako kobietę. Oboje są równi w godności, ale różnica płci jest istota. Pozwala obojgu założyć rodzinę, płodzić i wychowywać potomstwo, i w ten sposób budować ludzkość. Wartość tej różnicy nie sprowadza się jednak do biologicznej płodności. Magisterium uważa, że płciowość ma wpływ na całego człowieka: kobiety i mężczyźni mają nie tylko różne ciała, ale też różne charakterystyczne cechy osobowości i odpowiadające im naturalne pragnienia. Spełniają się w ich realizacji. Kobieta jest „receptywna", nastawiona na osobowe relacje, mężczyzna jest aktywny, nakierowany na działanie w świecie. Jej powołaniem jest dawać życie, jego – chronić je. Oni nie przeszkadzają sobie nawzajem, gdyż Bóg tak pomyślał tę różnicę, by męskość i kobiecość wzajemnie się dopełniały – pomagały się spotkać i stworzyć nową rzeczywistość: miłosną wspólnotę całego życia. Ona jest oblubienicą, on oblubieńcem. Kościół mówi o komplementarności płci. Tę harmonię zaburza jedynie grzech.

Jest to piękna, optymistyczna, lecz mało realistyczna wizja. Problem w tym, że Magisterium z takiej biblijnej antropologii wyciąga silne normatywne wnioski stawiane katolikom jako moralne wymagania. Istnieje właściwy (chciany przez Boga) naturalny wzorzec mężczyzny i naturalny wzorzec kobiety. Powinniśmy dążyć w życiu do realizacji tych wzorców. Działanie niezgodne z nimi jest moralnie naganne. Za tym podejściem kryje się filozoficzna koncepcja zwana esencjalizmem. Dobrym jego przykładem jest punkt 2333 Katechizmu Kościoła Katolickiego: „Każdy człowiek, mężczyzna i kobieta, powinien uznać i przyjąć swoją tożsamość płciową. Zróżnicowanie i komplementarność fizyczna, moralna i duchowa są ukierunkowane na dobro małżeństwa i rozwój życia rodzinnego. Harmonia małżeństwa i społeczeństwa zależy częściowo od sposobu, w jaki mężczyzna i kobieta przeżywają swoją komplementarność oraz wzajemną potrzebę i pomoc". Są dwa miejsca, gdzie Katechizm odwołuje się do pojęcia komplementarności – drugim jest punkt odnoszący się do niemoralności aktów homoseksualnych, wynikającej m.in. właśnie z braku w nich „komplementarności uczuciowej i płciowej" (punkt 2357). To myślenie życzeniowe.

Wyznaczenie takich sztywnych ram dla samorealizacji człowieka wywołało w ruchu feministycznym skrajną reakcję w postaci konstruktywizmu, odrzucającego jakikolwiek determinizm biologiczny czy psychologiczny. Nasza natura to niezapisana tablica, na której możemy kreślić dowolną własną narrację. Oczywiście takie podejście również nie harmonizuje z rzeczywistością. By np. móc stworzyć intymną relację, potrzebujemy reagować pożądaniem na drugą osobę – nie jesteśmy w stanie sami go wymyślić lub się go nauczyć. By rodzicielstwo nie było nadludzkim wysiłkiem, potrzebujemy odnaleźć w sobie instynkt macierzyński czy ojcowski. I tak jest z wieloma wrodzonymi skłonnościami i zdolnościami. To oczywistość, która falsyfikuje konstruktywizm. Jak się zatem odnaleźć między tymi dwiema nieadekwatnymi wizjami człowieka?

Na naturę każdego z nas składa się wiele takich skłonności i zdolności – różnimy się między sobą ich mozaiką i nasileniem. Można powiedzieć, że naszym nieustannym zadaniem jest odkrywanie ich w sobie, rozwijanie, wykorzystywanie w życiu do dobrych celów i tworzenie z nich harmonii. Tu nie ma gotowych szczegółowych wzorców. Nasze skłonności są rzeczywiste (naturalne), ale dostęp do ich zestawu ma tylko dana osoba. Gdyby próbować znaleźć ↦

odpowiednią nazwę dla takiej świadomości, byłby to empiryczny esencjalizm indywidualny.

Podobnie sprawa ma się z płcią. Współczesna nauka empiryczna bardzo komplikuje jej obraz. Psychologia pokazuje, że tylko w kilku sferach wyraźnie różni się statystyczna biologiczna kobieta od statystycznego biologicznego mężczyzny (agresja, seks, motoryka). Biblijny binarny obraz nie uwzględnia tej różnorodności. Jak odnaleźć mają się w nim np. osoby interseksualne? Jeśli nauczanie Kościoła ma być uniwersalne, czyli skierowane do każdego, antropologia teologiczna musi uwzględniać rzetelną współczesną wiedzę o człowieku. Niech ona pisze najważniejszy (bo dotyczący zbawienia) komentarz, ale niech on nie mija się z rzeczywistością.

Jak się wydaje, niemiecka Droga Synodalna dostrzega to wyzwanie.

Na naszym podwórku

Przez trzy dni (od 26 do 28 kwietnia) trwało w Pławniowicach na Śląsku cykliczne spotkanie polsko-niemieckiej grupy kontaktowej działającej w ramach episkopatów Polski i Niemiec. Z enigmatycznej noty dowiadujemy się m.in., że „biskupi z Niemiec wyjaśniali przyczynę, tło i rozwój Drogi Synodalnej oraz byli otwarci na krytyczne uwagi. Jednocześnie podkreślono, że Kościół w Polsce boryka się z różnymi problemami, które zmuszają go do myślenia o odpowiednich reformach". Zwłaszcza drugie zdanie zaskakuje – gdzie takie myślenie się odbywa, skoro o reformach u nas się nie mówi?

> Drażniącą konfuzję wywołuje przekreślanie dobra w życiu milionów kochających się par przez bezwzględny osąd: **żyjecie w stanie grzechu śmiertelnego!**

Nieco więcej światła rzucił uczestnik tego spotkania kard. Kazimierz Nycz w rozmowie z KAI. „Mój niemiecki brat w biskupstwie mógłby mnie zapytać: niech mi ksiądz kardynał powie, czy wy tych problemów, które my mamy, nie macie, i nie musicie ich dyskutować, czy też macie, tylko je przykrywacie?". Prawdopodobnie w ten sposób Niemcy pytali polskich biskupów.

Odpowiadając, możemy stwierdzić: oficjalnie nie mamy problemów z dyskryminacją kobiet w Kościele, z ostracyzmem wobec osób LGBT+, z zachowaniem celibatu przez księży i z nadużywaniem władzy niepoddanej żadnej kontroli w strukturach kościelnych (to główne tematy Drogi Synodalnej). W rzeczywistości z wszystkim tym się borykamy w stopniu prawdopodobnie o wiele większym niż Niemcy.

Warszawski kardynał wspomniał tylko o jednym problemie: z antykoncepcją – on „pączkuje i kiełkuje od wielu dziesiątków lat". Taka świadomość wśród polskich hierarchów to już postęp.

©℗ ARTUR SPORNIAK

REKLAMA

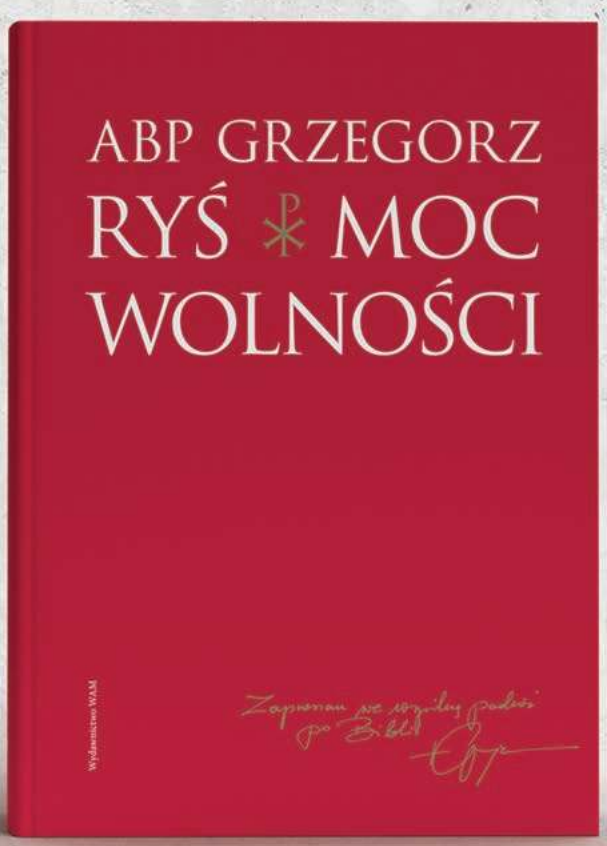

ABP GRZEGORZ RYŚ, MOC WOLNOŚCI

NIE MA WOLNOŚCI BEZ MIŁOŚCI I MIŁOSIERDZIA

Arcybiskup Grzegorz Ryś głosi Słowo Boże z mocą, bez efektownej retoryki i z żywym doświadczeniem bliskości Boga.

Z KODEM **TP122** 35% RABATU NA KSIĄŻKĘ "MOC WOLNOŚCI" W KSIĘGARNI STACJONARNEJ WAM I NA WWW.WYDAWNICTWOWAM.PL

WOJCIECH

Bonowicz: *Pochód*

Przedszkolaki na defiladzie: w kartonowych czołgach opatrzonych literą Z na masce, w tekturowych samolotach z czerwonymi gwiazdami na skrzydłach. Chłopcy i dziewczynki – w małych mundurach, miniaturki żołnierzy, i w białych fartuchach, bo wojsku potrzebni są również lekarze i pielęgniarki – z trudem dostosowują swój krok do marszowego rytmu wyznaczonego przez panią. Jedna „pielęgniarka" została z tyłu, teraz musi dogonić grupę. To chyba chłopczyk, ale nie wiadomo na pewno, bo twarz zasłania mu biały balonik. Baloniki są białe, żeby nie było wątpliwości, że nadchodzi batalion sanitarny. Zresztą całe to wojsko, ta dziecięca krucjata, będąca zminiaturyzowanym przedstawieniem wojska prawdziwego, maszeruje przecież dla pokoju...

Taki filmik z Rosji powiesił jakiś czas temu na swoim profilu facebookowym Sławomir Sierakowski. „Słabo?"– zapytał. No wiadomo, że słabo. Słabo jak cholera. Filmik szybko obrósł komentarzami, dość podobnymi w tonie. „Strach się bać". „Rośnie mięso armatnie". „Wychowanie do zabijania". „Przecież u nas jest podobnie". Jak nie oburzać się na ludzi, którzy fundują najmłodszym zabawę w wojsko? No owszem, nie w wojnę jeszcze, ale – gdzie właściwie przebiega granica? Maluchy wydają się zadowolone, przedszkolanki skupione na swojej pracy, tym bardziej że pochód jest filmowany... Dzieci uczą się od małego, że ojczyzna, że wymaga, że trzeba bronić. Nikt nie wyśle dzieci na wojnę, to jasne. Nikt też jednak nie powie im, że wojna jest zawsze przeciwko dzieciom. A kiedy zabawa w wojsko wpisana jest w zaplanowaną na lata polityczną strategię, robi się naprawdę groźnie.

Totalitarne reżimy lubią mundury, choćby z tego powodu, że ludzie w mundurach stają się do siebie podobni. Nie muszą to być – dopowiedzmy rzecz oczywistą – mundury wojskowe. Chodzi o to, żeby istniały formacje, których członkinie i członkowie wyglądaliby jak zwarta masa, gotowa posłusznie wykonać takie czy inne polecenie. Mundur, który na co dzień ma pomóc innym obywatelom zorientować się, kto jaką służbę pełni, przestaje być wówczas znakiem służby – staje się symbolem strachu, jaki totalitarna władza ma budzić w społeczeństwie, i jednocześnie więzi, jaka powinna łączyć każdego członka społeczeństwa z władzą. Bez presji ze strony władzy człowiek mógłby mieć rozmaite pomysły na siebie. Mógłby wpaść np. na taki pomysł, żeby nie napadać na sąsiada. Władzy totalitarnej taka autonomia się nie podoba, więcej: ona musi zwalczać ją w zarodku. Dlatego mundur w totalitaryzmie oznacza całkowite podporządkowanie. Totalitaryzm wyzyskuje szacunek dla munduru, odwracając zarazem jego sens: człowiek w mundurze nie jest już swoją własnością, nie jest też własnością społeczeństwa, któremu służy – jest własnością władzy, która „wie lepiej", jak go użyć.

Stąd bierze się niechęć jakiejś części z nas (jak dużej?) do, nazwijmy to elegancko, nadmiernej atencji dla munduru. Niechęć ta w moim przypadku ma źródło w latach 80. ubiegłego wieku. Nie spaliłem wówczas książeczki wojskowej, ale niewiele brakowało, a byłbym to zrobił; na szczęście wcześniej upadła komuna, a mnie wraz z całym rocznikiem przeniesiono do rezerwy. Nie lubię, kiedy dzieci przebiera się w mundury, każe brać udział w inscenizowanych walkach, uczy, że patriotyzm to przede wszystkim gotowość do oddania życia za ojczyznę. Lubię, kiedy dzieci uczy się solidarności, troski o siebie nawzajem, troski o najsłabszych itd. Wierzę, że te cechy przydadzą im się w życiu bardziej. Także wtedy, kiedy ktoś – przyzwyczajany od przedszkolaka do maszerowania i bezmyślnego posłuszeństwa – zdecyduje się naruszyć pokój tego życia. ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **BIELSKO-BIAŁA** czwartek 19 maja, Spotkanie z prof. T. Sławkiem, „A jeśli nie trzeba się uczyć..." / stacjonarne /
- **RZESZÓW** czwartek 19 maja, Spotkanie z s. B. Chyrowicz, „Chcieć albo nie chcieć: oto jest pytanie" / stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA** piątek 20 maja, Spotkanie z prof. R. Markowskim, ks. prof. A. Dragułą, prof. M. Kwiatkowskim, „Dlaczego dialog w Polsce kuleje i jak można to naprawić" / stacjonarne /
- **ZIELONA GÓRA** sobota 21 maja, Spotkanie z prof. M. Biszczanikiem, red. Sz. Płóciennikiem, prof. J. Dąbrowską-Burchardt, dr B. Gruszką, prof. M. Tureczkiem, prof. Cz. Osękowskim, „Wartość poznawcza książki Hugo Schmidta »Geschichte der Stadt Grünberg« z 1922 roku dla współczesnych zielonogórzan" / stacjonarne /
- **KATOWICE** środa 25 maja, Spotkanie z prof. R. Koziołkiem, „Kłopoty z prawdą, kiedy już ją znamy" / hybrydowe /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

NA DRODZE ŻYCIA

Ukraińscy żołnierze bronią ostatniego skrawka obwodu ługańskiego. Wkrótce również i on może wpaść w ręce Rosjan.

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK Z FRONTU W OBWODZIE ŁUGAŃSKIM (DONBAS, UKRAINA)

Gęsty czarny dym unosi się nad okolicą. To od kilku dni płonie ukraińska rafineria w okolicach Łysyczańska, zbombardowana przez Rosjan. Rafinerię otaczają malownicze pola rzepaku – rzepak, podobnie jak słonecznik, to jedna z kluczowych upraw dla tutejszego rolnictwa. Podobnie jak w przypadku pszenicy i kukurydzy, Ukraina była dotąd światowym potentatem w eksporcie olejów roślinnych, zwłaszcza do Azji, państw Bliskiego Wschodu i Afryki.

Pożaru rafinerii nie udaje się ugasić i pewnie się nie uda, dopóki nie wypali się do cna. Dym stał się nieodłącznym elementem tutejszego krajobrazu. Pojawia się na horyzoncie w różnych punktach i z różnych stron.

Celem jest tutaj nie tylko rafineria. Spadające gęsto rosyjskie pociski i rakiety czasami wzbijają tylko na chwilę tuman dymu i kurzu. Innym razem rozniecają długotrwałe pożary. Niebo znaczone jest białymi smugami silników odrzutowych rosyjskich samolotów lub goniących ich rakiet ziemia-powietrze, przed którymi uciekają piloci. Nie zawsze im się udaje: oto jeden z myśliwców wypuścił flary mające zmylić przeciwlotnicze rakiety, ale po chwili z maszyny unosi się czarny dym. Zestrzelona pikuje ku ziemi, gdzieś w stronę lasu.

Cel rosyjskiej ofensywy

We frontowym krajobrazie tego miejsca – a okolice Łysyczańska to najbardziej wysunięty dziś na wschód skrawek ukraińskiego obwodu ługańskiego; patrząc na mapę, wygląda już niemal jak „worek", od północy, wschodu i południowego wschodu otoczony przez wojska rosyjskie – dominuje jednak artyleria. Jej huk rozlega się głośno i nieustająco.

Spora część tego „worka" jest już w jej zasięgu. Oto przed chwilą rosyjskie poci-

Płonąca rafineria w pobliżu Łysyczańska. 12 maja 2022 r.

ski trafiły w ukraiński posterunek; w kolejnych dniach będą sięgać go regularnie. Dowództwo wycofało obsadzających go dotąd policjantów i żołnierzy, by nie wystawiać ich na pewną śmierć. Na miejscu pozostały tylko wciąż jeszcze tlące się samochody i leje po pociskach.

Gładki jeszcze niedawno asfalt teraz poznaczony jest bruzdami i dziurami pozostawionymi przez pociski oraz gąsienice pojazdów pancernych – tak wygląda siedem kilometrów „drogi życia", czyli ostatniego szlaku łączącego obwód ługański z donieckim. A tym samym łączącego go z resztą Ukrainy.

Także „droga życia" znalazła się w zasięgu rosyjskiej artylerii. To po niej odbywa się ewakuacja i tędy dostarczana jest pomoc wojskowa i humanitarna. Trudno uwierzyć, że jeszcze kilkanaście dni temu trasa ta była zupełnie bezpieczna.

Przewodniczący wojskowej administracji obwodu ługańskiego Serhij Hajdaj wyjaśnia mi, że odcięcie drogi łączącej ten region z resztą Ukrainy to – obok bezpośredniego ataku na Siewierodonieck, tymczasową stolicę obwodu – kluczowe dziś kierunki rosyjskiej ofensywy w tym rejonie. – Niestety, nie jest dobrze. Ale trzymamy się, jak możemy – mówi Hajdaj. – Co godzinę sytuacja się zmienia.

To właśnie obwód ługański – albo raczej: jakaś jedna dziesiąta jego obszaru, która dziś pozostaje pod kontrolą armii ukraińskiej – stał się teraz głównym celem rosyjskiej ofensywy.

Pierwszy raz zobaczyłem Donbas

Gdy 24 lutego Rosja rozpoczęła wojnę na pełną skalę, to właśnie ten region stał się – na początku również obok Kijowa, Charkowa, Sum i Czernihowa – jednym z pierwszych celów ataku.

Wpłynęło na to niekorzystne uwarunkowanie geograficzne. Większość obwodu ługańskiego już w tym momencie była otoczona z trzech kierunków. Na północy i wschodzie graniczy z Rosją, a na południu z podporządkowaną Kremlowi nieuznawaną Ługańską Republiką Ludową, która wyłoniła się w wyniku wojny rozpoczętej jeszcze w 2014 r.

W rezultacie już w pierwszych dniach rosyjskiej ofensywy zostały zajęte takie miejscowości, jak Stanica Ługańska, Szczastia czy Swatowe [znajduje się tam wielki szpital psychiatryczny, któremu w minionych latach pomagali czytelnicy „Tygodnika"; dziś jego pracownicy i pacjenci, o których kilka razy pisaliśmy, są pod okupacją – red.].

Potem Rosjanie zajęli Kreminną, zbliżyli się do Rubiżnego (sąsiadującego z Siewierodonieckiem) i przerwali ukraińską linię obrony – tę utrzymywaną od roku 2014 – podchodząc aż pod Popasną. To właśnie o to ostatnie miasto toczyły się zacięte walki od marca aż do pierwszych dni maja i rozstrzygnęły się na niekorzyść ukraińskiej armii. Obrońcy musieli zająć pozycje na zachód od Popasnej.

Do znajdujących się tam głębokich okopów trafili nie tylko doświadczeni wojskowi walczący od 2014 r., ale także nowicjusze w wojennym fachu, jak 29-letni Jarosław z Winnicy, który jeszcze do niedawna pracował w spożywczej firmie Roshen, należącej do byłego prezydenta Petra Poroszenki. Jarosław był technikiem-operatorem.

24 lutego odwiózł żonę i pięcioletnią córkę do polskiej granicy. Po powrocie do Winnicy sam chciał się zgłosić do komisji wojskowej, ale uprzedził go telefon z wezwaniem. Jego życie drastycznie się ↦

46-letni Ołeh na pozycjach w pobliżu Popasnej. 7 maja 2022 r.

Dym unoszący się nad wsią na drodze do linii frontu. 8 maja 2022 r.

33-letni Roman (w środku) wydaje rozkazy swoim żołnierzom. 7 maja 2022 r.

↦ zmieniło. – Pierwszy raz w życiu strzelałem, pierwszy raz zobaczyłem Donbas i pierwszy raz przyjechałem na wojnę – przyznaje.

Zwykły żołnierz piechoty

Jarosław został wyszkolony na strzelca wyborowego. Po dwóch miesiącach już przywykł do broni i potrafi się nią posługiwać. – Jest już moja, przestrzelana. Ale jeszcze nikogo nie spotkała – mówi.

To jednak nie broń była najtrudniejszym elementem do opanowania, lecz życie na froncie w spartańskich warunkach: spanie w polu, gdy prószył śnieg, panował chłód, a Jarosław nie miał wówczas termobielizny ani nie miał czasu, by przygotować sobie lepszy schron ziemny (tu mówią: *blindaż*). Albo gdy jego jednostkę wysłali na pozycje, których on nawet nie jest w stanie zlokalizować. Nie mieli kiedy się porządnie okopać, bo całą noc zasypywała ich pociskami artyleria. Jarosław leżał na płasko w płytkim dołku strzeleckim i czekał, aż to wszystko się skończy.

Teraz, już w okolicach Popasnej, znajdują się na dobrze umocnionych pozycjach. Okopy są tak głębokie, że zwykle nawet czubek głowy nie wystaje. Ale mimo wszystko to trudne życie dla zwykłego żołnierza piechoty. Przeciwnik sporadycznie podchodzi blisko, więc Jarosław wraz ze swoim oddziałem wysłuchują świstów i wybuchów. Gdy świszczy lub trafia nieopodal, machinalnie się pochylają.

Jarosław mówi, że chciał iść do wojska, żeby bronić kraju i swojego domu przed przemocą. Żeby nie doszło tam do bestialstw. Takich jak te, których rosyjska armia dopuściła się przykładowo w Buczy.

– Nasza motywacja jest wielka, bo nie chcemy, żeby coś takiego stało się u nas – mówi Jarosław. – Będę tutaj pomagał, aby to zakończyło się jak najszybciej. Ale wojna nie jest dla mnie.

Na samo wspomnienie o domu robi mu się smutno. Dlatego stara się nie myśleć o dacie powrotu. Jednak chciałby, żeby do tego doszło lada dzień.

Zaprzyjaźnić się z łopatą

W okopach widać wiele zmęczonych i przestraszonych twarzy. Na burzliwym froncie trudno się oswoić z brutalnością wojny. Szczególnie, gdy masz w rękach tylko karabin, a mierzysz się z niewidoczną artylerią. Aby podbudować na duchu tych, którzy pierwszy raz w życiu są w takiej sytuacji, towarzyszą im żołnierze z bardziej doświadczonych jednostek.

Serhij uczy 11-letnią Nastię matematyki w piwnicy w Siewierodoniecku. Nie ma prądu, więc ojciec podświetla podręcznik latarką. 9 maja 2022 r.

– Oddział na tym odcinku frontu nie ma wiele poważnego doświadczenia bojowego. Zadanie naszej grupy to nie tylko wsparcie ich konkretnymi sprawami, ale też motywowanie, uczenie i pokazywanie na własnym przykładzie, jak zachowywać się na wojnie – mówi 46-letni Ołeh.

Jest żołnierzem tzw. grupy mobilnej. To lekko uzbrojony oddział rzucany na różne odcinki frontu. Ich zadania to wspieranie stojących tam oddziałów, przygotowywanie zasadzek, a także działania zwiadowcze i dywersyjne.

Ołeh przez 20 lat był dziennikarzem w lokalnej gazecie w obwodzie czernihowskim. W 2014 r. dołączył do jednego z batalionów ochotniczych. Kilka lat później podpisał kontrakt z Siłami Zbrojnymi Ukrainy i został wyszkolony na sapera. Podkreśla, że praca ta wymaga uwagi, dokładności i spokoju. Akurat gdy się spotykamy, wywozi pełną taczkę min przeciwczołgowych. Potem rozmieści je w ziemi na przedpolu, aby utrudnić potencjalny rosyjski atak.

Do głównych problemów, z którymi spotykają się ukraińscy żołnierze, Ołeh zalicza przewagę ognia artyleryjskiego po stronie przeciwnika i niezwracanie uwagi na straty we własnych szeregach. Ukraińscy żołnierze często powtarzają, że Rosjanie idą bez końca.

– Zgodnie z tradycjami Związku Sowieckiego zarzucają nas żelastwem i mięsem armatnim – twierdzi dowódca mobilnej grupy, 33-letni Roman, który także służy już od ośmiu lat. – Próbują zdusić naszego bojowego ducha dzięki przewadze w sprzęcie, artylerii i lotnictwie. Ale jeśli zaprzyjaźniłeś się z łopatą, okopałeś się, jest dużo łatwiej. Oni mają mnóstwo amunicji, my mamy tyle samo czasu, a ludzie prędzej czy później się im skończą.

Drugą kwestią jest taktyka Kremla, który nie liczy się ze zniszczeniami infrastruktury cywilnej ani z ofiarami wśród ludności cywilnej.

– Mamy doświadczonych wojskowych, którzy wiele przeszli, ale nawet oni, patrząc na to wszystko, często mówią, że lepiej, gdyby człowiek nigdy wojny nie wymyślił – przyznaje Ołeh.

Uważa, że większość odcinków linii frontu trzyma się dobrze, gdzie toczą się walki pozycyjne. – Inicjatywa jest po stronie Moskwy. Oni uderzają pierwsi i określają, dokąd mamy ruszać. Mają wariantów bez liku. My jesteśmy zmuszeni reagować na zagrożenia. Nie sądzę, żeby udało im się zająć całe terytorium obwodu ługańskiego – uważa Ołeh.

Przyznaje jednak, że utrzymanie obecnie zajmowanych terenów będzie wiązało się ze znacznymi stratami nie tylko dla nacierających wojsk rosyjskich, lecz także dla broniących ich sił ukraińskich.

Trzy kategorie ludzi

Przedarcie się przez pozycje, których bronią Jarosław, Roman i Ołeh, zbliżyłoby Rosjan do odcięcia „drogi życia". Wówczas otoczeni zostaliby i żołnierze, i także mieszkańcy obwodu ługańskiego, którzy dotąd nie opuścili domów.

Choć na pierwszy rzut oka Łysyczańsk i Siewierodonieck, tworzące aglomeracje, wyglądają na wymarłe, to w podwórkach, przy klatkach schodowych i w piwnicach można spotkać wielu ludzi. Zgodnie ze słowami przewodniczącego wojskowej administracji Hajdaja, na kontrolowanych przez Ukrainę terytoriach wciąż jest ponad 40 tys. cywilów. Mimo apeli władz nie chcą wyjeżdżać, choć ich domy często są podziurawione odłamkami, już bez okien, z wyrwami w ścianach.

– Są trzy kategorie ludzi, którzy zostali. Pierwsza to starsi: oni uważają, że skoro tu się urodzili, to tu umrą. Druga to mający nadzieję, że w ich budynek nic nie trafi. Trzecia to ci, którzy czekają na „russkij mir" – mówi Hajdaj. – Szczerze mówiąc, nie mogę zrozumieć tych, którzy postanowili chować się po piwnicach z nadzieją, że do nich nic nie przyleci. ↦

↦ Hajdaj urodził się i spędził dzieciństwo w Siewierodoniecku. Podczas ostatniej wizyty w mieście zobaczył, że jego rodzinne podwórko też zostało ostrzelane.

Jak tu w Boga nie wierzyć?

Przed jednym z budynków w Siewierodoniecku, w który pocisk trafił jeszcze w marcu, stoją trzy osoby. To starsze małżeństwo rozmawia z sąsiadką mieszkającą w innej klatce. Zaliczają się do pierwszej grupy, o której mówił Hajdaj: nie chcą wyjeżdżać z rodzinnego miasta. Stoją tuż obok starego leju po pocisku. Fala uderzeniowa odrzuciła na kilka metrów betonową ławkę, rozerwała balkon i zbiła okna. Choć co chwila słychać wybuchy i świsty, oni nawet drgną. Już od ponad dwóch miesięcy żyją w takich warunkach, więc popadli w apatię. Reagują dopiero, gdy coś leci już naprawdę blisko.

– Jak się mamy? Do bani. Wegetujemy – mówi 70-letnia Hałyna.

W mieście nie ma wody, prądu ani gazu. Jedzenie przygotowują na ogniu, a wodę nabierają z miejsc, gdzie akurat jest dostępna. To wojskowi rozdają, to cysterna przyjedzie. Pomoc humanitarna dojeżdżała od czasu do czasu, ale odkąd „droga życia" jest ostrzeliwana, wsparcie praktycznie ustało. W okolicy jest otwarty sklep, ale ceny w nim są kosmiczne.

– Jak masz kieszeń nabitą dolarami, można iść – mówi Hałyna.

Ona już została zupełnie bez gotówki, bo emerytura spływa na konto, a banki i bankomaty w Siewierodoniecku przestały działać wkrótce po 24 lutego.

Hałyna i jej mąż Wołodymyr żyją z tego, co otrzymają. Wszyscy starają się sobie nawzajem pomagać. Sąsiad zostawił im worek ziemniaków i właśnie kończą go dojadać.

– Jak tu w Boga nie wierzyć? Bywało, że kończyło się nam jedzenie, myślałam, co będzie jutro. A tu kolejnego dnia akurat ktoś nam coś przywoził, zostawiał konfiturę czy tuszonkę – stwierdza Hałyna.

Hałyna i Wołodymyr nie schodzą do piwnicy, bo nie ma tam dobrych warunków do życia. Siedzą w mieszkaniu bez okien. Znajduje się na parterze, więc gdy pociski zaczynają spadać blisko, siadają w korytarzu i czekają, aż ostrzał ustanie.

Hałyna schudła, nerwy ma zszargane. Jedyne, co podtrzymuje ją jeszcze na duchu, to nadzieja, że ta wojna wkrótce się skończy. Choć trudno powiedzieć, skąd ją czerpie, słysząc regularnie łupiącą artylerię i patrząc na zadymione wokół lasy.

– Jakoś się do tego przyzwyczailiśmy – mówi.

Droga straszniejsza niż piwnica

W dwóch klatkach schodowych obok pozostało aż 20 osób. Większość żyje na co dzień w piwnicy. To niskie pomieszczenie, w którym, mając metr osiemdziesiąt, nie da się wyprostować. Nie ma światła, jest za to dużo kurzu i pyłu. Na ziemi rozłożono karimaty, koce, kołdry, śpiwory, poduszki. Choć na zewnątrz jest ciepło i można już pokusić się o koszulkę z krótkim rękawem, to tutaj, pod ziemią, wszyscy są ubrani w kurtki, polary i czapki, jakby feralny luty nigdy się nie skończył.

Słabe światło dociera w głąb piwnicy. Tu Serhij uczy 11-letnią córkę Anastasiję matematyki. Posiłkuje się podręcznikiem.

– Uczę się mnożenia i dzielenia ułamków – mówi trochę zawstydzona Anastasija.

– Jak dla mnie, to dużo się uczymy.

Pytam, czy tęskni za szkołą. Odpowiada, że nieszczególnie. Rodzice nie mają dostępu do programu szkolnego, ale są podręczniki, więc przerabiają z córką lekcję po lekcji, dopóki starcza im sił. Za to Anastasija była zachwycona, gdy sąsiadka przyniosła jej lody czekoladowe. Nie jadła ich od dawna.

Obok Anastasiji stoją jej mama Switłana i 18-letnia siostra Kateryna, studentka pierwszego roku filozofii na Kijowskim Narodowym Uniwersytecie imienia Szewczenki. Z powodu pandemii Kateryna uczyła się zdalnie, ale teraz bez prądu i internetu nie ma o tym mowy.

Trudno powiedzieć, czy ta rodzina wpisuje się w którąś z kategorii wymienionych przez Serhija Hajdaja. Rodzice są po czterdziestce, wykształceni i nieprorosyjscy. Trzyma ich tu raczej brak pomysłu, dokąd uciekać, a także brak pieniędzy, inercja i obawa przed rzuceniem wszystkiego i udaniem się w nieznane.

– Nie mamy dokąd jechać ani z czym. Ta nieokreśloność, wyjazd bez niczego, to duża odpowiedzialność – mówi Switłana.

– Ale choć nie strzelają – wtrącam się.

– Droga jest straszna. W piwnicy wydaje się jakoś spokojniej – mówi Anastasija.

– Przypuśćmy, że przejedziemy przez te wszystkie ostrzały. Ale co potem? – pyta Switłana.

Nikt nie ma odpowiedzi.

Switłana nie chce puścić Kateryny samej do Kijowa. Z kolei Kateryna nie chce opuszczać miasta sama, bo i tak będzie cały czas myślami przy rodzinie. I tak cała rodzina trzyma się wzajemnie w piwnicy, nie pozostawiając sobie drogi ucieczki.

Nadal mają nadzieję, że wszystko się skończy i życie wróci do normy.

Mimo prawie trzech miesięcy ostrzałów wojenna zawierucha dopiero niedługo może z całą siłą uderzyć w Siewierodonieck. A jeśli „droga życia" zostanie odcięta, szans na wyjazd już nie będzie.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

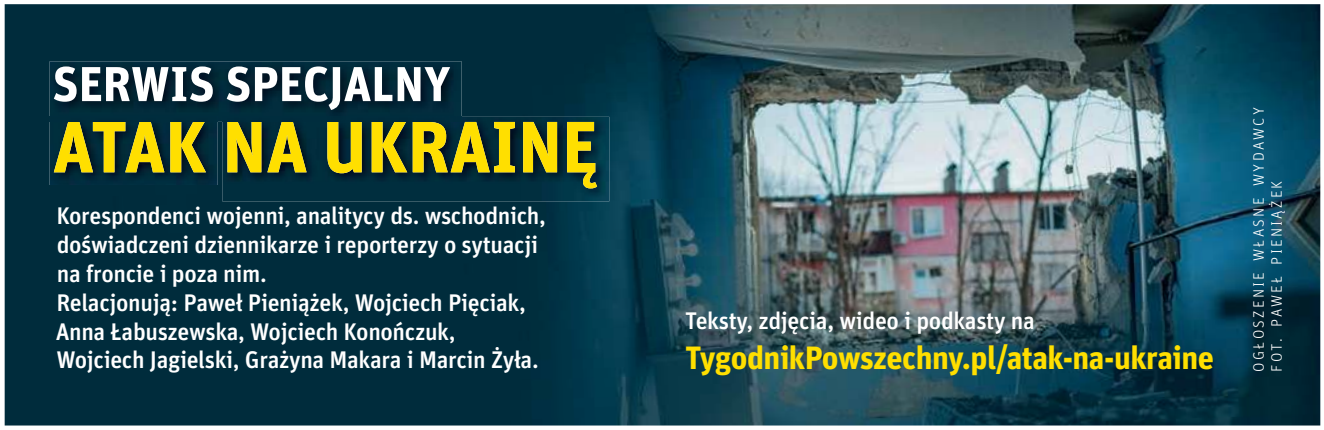

Podzielone przestrzenie Belfastu

TEKST I ZDJĘCIA
AGATA KASPROLEWICZ Z BELFASTU

Czy referendum w sprawie zjednoczenia Irlandii zostanie zwołane? Dziś pytanie nie brzmi już „czy", ale „kiedy".

Republikański mural w katolickiej dzielnicy Derry/Londonderry. Irlandia Północna, 3 maja 2022 r.

Tego jeszcze tutaj nie było. Po raz pierwszy w historii republikańska partia Sinn Féin, która chce odłączenia Belfastu od Wielkiej Brytanii, awansowała do roli największego ugrupowania w Zgromadzeniu Irlandii Północnej. Jej przeciwnicy, unioniści, grożą zablokowaniem nowego lokalnego rządu.

Czy możliwy paraliż polityczny będzie impulsem do zmiany systemu, opartego na dzieleniu władzy między katolików i protestantów? Czy Irlandia Północna jest gotowa zerwać z kulturą konfliktu, która kształtowała życie polityczne i społeczne tej części Zielonej Wyspy?

Derry/Londonderry i Portrush

– Nie mam nadziei na zjednoczenie, ale na ponowne zjednoczenie Irlandii. Bo Wielka Brytania dokonała kiedyś podziału Irlandii wbrew woli jej mieszkańców – deklaruje 66-letni Joel, który przez całe życie był piekarzem w Derry.

Inaczej Trevor, 10 lat starszy, który przez całe życie mieszka w nadmorskim protestanckim Portrush. Miasta, w którym urodził się Joel, nigdy nie nazwałby Derry. Dla unionistów to Londonderry. – Wierzę w unię z Wielką Brytanią. Ale Sinn Féin nie odpuści, dopóki nie doprowadzi do zjednoczenia Irlandii. Zrobią to politycznie lub wrócą do przemocy. Zabijali w tym kraju niewinnych ludzi przez 35 lat. Teraz udają, że się zmienili, ale w głębi serca to nadal mordercy – przekonuje Trevor.

Derry/Londonderry i Portrush dzieli niecałe 60 kilometrów. Joela i Trevora dzieli wszystko to, co ściągnęło na Irlandię Północną ponad trzy dekady przemocy, zwane „Kłopotami", a więc pytanie o tożsamość i przynależność: czy północ Zielonej Wyspy jest katolicka, czy też protestancka? A także, czy powinna być w unii z Dublinem, czy jednak z Londynem?

W wyniku wyborów lokalnych, które odbyły się w całym Zjednoczonym Królestwie na początku maja, najsilniejszym ugrupowaniem na północnoirlandzkiej scenie politycznej została partia, która programowo opowiada się za odłączeniem Irlandii Północnej od Wielkiej Brytanii i połączeniem się z Republiką Irlandii. Partia, która jest tak wrogo nastawiona do Wielkiej Brytanii, że w ramach bojkotu tego, co nazywa „brytyjskim kolonializmem", nie wysyła swoich reprezentantów do Westminsteru. To w końcu partia, która miała powiązania z Irlandzką Armią Republikańską i troszczy się o dobrą pamięć IRA. Nazywa się Sinn Féin.

IRA z mojej ulicy

– Moje pokolenie pamięta czas „Kłopotów". Pamięta Irlandzką Armię Republikańską i nigdy jej nie przebaczy. Gdy miałem 21 lat, w Belfaście wybuchały bomby IRA – mówi Malachi O'Doherty, północnoirlandzki dziennikarz i pisarz, autor książek o konflikcie północnoirlandzkim.

O'Doherty mieszka w Belfaście – w jednej, jak mówi, z niewielu dzielnic w mieście, w której żyją zarówno katolicy, jak też protestanci. Urodził się i wychowywał w zachodnim Belfaście, w dzielnicy katolickiej. – Oczywiście na ulicach byli też brytyjscy żołnierze, poważne zagrożenie stanowiły także lojalistyczne gangi, bo mogły mnie dorwać, kiedy wracałem ↦

↦ po zmroku pijany do domu, zaciągnąć do ciemnej alejki, torturować i zastrzelić. Ale to IRA mieszkała po drugiej stronie ulicy. To IRA detonowała bomby w mieście, w którym pracowałem.

W czasach „Kłopotów" Sinn Féin była politycznym ramieniem IRA. Dziś jest strażniczką jej dziedzictwa: dba, by ukazywać je w pozytywnym świetle. Zdaniem O'Doherty'ego wielu młodych ludzi w Irlandii Północnej, którzy nie mogą pamiętać krwawych lat konfliktu, przyjmuje taką właśnie wersję wydarzeń.

– Wielu młodych postrzega działalność IRA jako walkę rewolucyjno-wyzwoleńczą – mówi pisarz. – Wierzą, że nie było innego wyjścia, jak tylko prowadzić partyzancką wojnę przeciw brytyjskiej armii. Ale to przecież nie wyjaśnia, dlaczego bojownicy IRA wysadzali w powietrze protestanckie puby.

Zakątek Wolne Derry

Takich pytań nikt nie zadaje sobie w Bogside, katolickiej dzielnicy Derry, która była świadkiem najkrwawszych wydarzeń czasów „Kłopotów". Tu, w miejscu zwanym Free Derry Corner (Zakątek Wolne Derry), każda latarnia ozdobiona jest trzema literami w barwach irlandzkiej flagi: zielone I, białe R, pomarańczowe A. Ściany budynków pokrywają dramatyczne murale i plakaty Sinn Féin.

– To zdjęcie pokazuje, jak wyglądał budynek naszego muzeum w Krwawą Niedzielę. Mieściły się w nim wtedy trzy mieszkania. W jednym z nich żyła babcia Jima Wraya, chłopca zastrzelonego tego dnia – opowiada Jean Hegarty, która pracuje w Museum of Free Derry (Muzeum Wolnego Derry). Mieści się ono w sercu Bogside: tam, gdzie 30 stycznia 1972 r. doszło do dramatu. Jej brat Kevin McElhinney był jedną z 13 śmiertelnych ofiar Krwawej Niedzieli: irlandzkich demonstrantów zabitych przez brytyjskich żołnierzy (14. ofiara zmarła cztery i pół miesiąca później z powodu odniesionych ran).

Jean pokazuje kolejną fotografię z bogatego zbioru muzeum: – Na tym zdjęciu jest za dziesięć czwarta i widzimy na nim jeszcze żywego Jima Wraya. Na zdjęciu obok jest dziesięć po czwartej. Ciało, które leży przed naszym budynkiem, to martwy Jim Wray. 20 minut różnicy między życiem a śmiercią. Jim był starszy od mojego brata. Miał 22 lata, Kevin 17. Ale te 20 minut oznaczały dla nich wszystkich to samo.

– Czy tego dnia brat myślał o zjednoczeniu Irlandii? Pewnie tak. Ale czy był gotowy za to umrzeć, nie wiem – zamyśla się Jean, po czym dodaje: – Przecież to był pokojowy marsz w obronie praw obywatelskich. Tym młodym ludziom chodziło o równe prawo do głosowania, o lepsze warunki mieszkaniowe. Bo nasza katolicka społeczność cierpiała z powodu dyskryminacji. Pamiętam pierwszą w życiu rozmowę o pracę. Gdy człowiek, który miał mnie zatrudnić, zobaczył w moich papierach, że chodziłam do katolickiej szkoły, powiedział: „Nie zatrudniamy katolików". Dyskryminacja była faktem, a nie urojeniem.

– Po Krwawej Niedzieli życie nie było tu już takie samo. Koledzy z mojej dzielnicy ustawiali się w kolejki, żeby wstąpić do IRA – mówi Joel, piekarz, wówczas szesnastoletni. – Dzielnica się zradykalizowała, ludzie nie mogli się pogodzić z tym, że ich bliscy zostali zastrzeleni na ulicy. Gdy szedłem wcześnie rano do pracy w piekarni, mijałem znajomych z karabinem w dłoni. Cała okolica została zabarykadowana, Brytyjczycy nie byli mile widziani. Rządy przejęła tu IRA.

Jean Hegarty: – Jakie prawo mają Anglicy, żeby tu być? Byliśmy najprawdopodobniej pierwszą angielską kolonią. Wszystkie inne już opuścili, dlaczego nie mogą zostawić nas w spokoju? Nie mam pewności co do rządu w Dublinie i jak by się ułożyła z nim współpraca po zjednoczeniu, ale ludzie powinni zdecydować o tym w wyniku uczciwego głosowania.

Strzelili sobie w stopę

Sinn Féin chce, by referendum w sprawie zjednoczenia Irlandii odbyło się tak szybko, jak to możliwe. Jednak sondaże pokazują, że dziś tylko 30 proc. mieszkańców Irlandii Północnej głosowałoby na tak. Pytanie, jak zwolennicy przyłączenia Belfastu do Republiki Irlandii przekonają brakujące 20 proc. społeczeństwa, niezbędne, by wygrać referendum? Kluczową rolę w powodzeniu tej misji może odegrać brexit.

Majowe wybory do Zgromadzenia Irlandii Północnej to sukces Sinn Féin, ale w jeszcze większym stopniu porażka Demokratycznej Partii Unionistycznej (DUP), która dotąd cieszyła się największą popularnością wśród północnoirlandzkich wyborców. Teraz spadła na drugie miejsce.

Założona przez słynnego protestanckiego pastora Iana Paisly, jednego z najbardziej bojowych politycznie lojalistów czasów „Kłopotów", w ostatnich latach DUP stała się główną siłą polityczną w Irlandii Północnej forsującą brexit. Jednocześnie DUP nie chce zaakceptować skutków brexitu, czyli Protokołu Irlandzkiego, który zakłada, że Irlandia Północna pozostaje w europejskim jednolitym rynku. Unioniści są oburzeni: twierdzą, że takie rozwiązanie nie tylko utrudnia handel z Wielką Brytanią, ale dezintegruje też Zjednoczone Królestwo i oddala Irlandię Północną od Wielkiej Brytanii.

– Cóż, wychodzi na to, że DUP strzeliła sobie w stopę – mówi Malachi O'Doherty. – Najpierw naciskała na brexit, a teraz nie umie się odnaleźć w postbrexitowej rzeczywistości.

Ponadto DUP jest partią bardzo konserwatywną moralnie: odmawia kobietom prawa do aborcji, w przeszłości prowadziła kampanię przeciw legalizacji homoseksualizmu. Nie bierze pod uwagę, że duża część ich wyborców to świeccy protestanci o liberalnych poglądach, którzy popierają unionistów jedynie dlatego, że pragną, by Irlandia Północna pozostała częścią Zjednoczonego Królestwa.

– To społecznie konserwatywne, religijnie zorientowane ugrupowanie, które poniosło brexitową klęskę, ale brak mu pokory, by dostrzec skutki własnych błędów. Nie ma też wyobraźni, by poszerzyć program o hasła, które mogłyby przyciągnąć dużą część niezagospodarowanej politycznie protestanckiej społeczności – uważa O'Doherty. I dodaje, że na tym właśnie braku wyobraźni unionistów swój kapitał buduje Sinn Féin. Cel:

Elektorat centrum

Republikanie z Sinn Féin wiedzą, że aby przypieczętować swój sukces, muszą zmienić ton kampanii na rzecz zjednoczenia Irlandii. Zamiast gloryfikować IRA, sięgają po argument prounijny.

O'Doherty: – Sinn Féin straszy: „Spójrzcie tylko na Anglię i ich idiotycznego premiera Johnsona". Albo: „A co, jeśli Szkocja odłączy się od Wielkiej Brytanii? Belfast zostanie na łasce Anglii i rządzących nią torysów". Republikanie chcą przekonać ludzi, że głos za przyłączeniem Belfastu do Dublina zapewni Irlandii Północnej powrót do Unii Europejskiej. Jest tutaj potencjał, aby do idei zjednoczonej Irlandii przekonać część elektoratu centrum.

Matthew Knight należy do tych mieszkańców Irlandii Północnej, którzy mają dosyć tradycyjnych podziałów: na katolików i protestantów, republikanów i unionistów. Belfast, 1 maja 2022 r.

Tymczasem jest to coraz silniejszy elektorat w Irlandii Północnej, co potwierdziły majowe wybory. Centrowe ugrupowanie Alliance, które stawia się ponad tradycyjnymi podziałami, zdobyło 13,5 proc. głosów, o 4,5 proc. więcej niż pięć lat wcześniej.

– Chcę stworzyć przestrzeń dla ludzi, którzy nie identyfikują się z tradycyjną narracją polityczną, jaka tu dominuje – mówi Adam Turkington, który urodził się i mieszka w Belfaście, a od 10 lat organizuje w tym mieście Festiwal Sztuki Ulicznej. – Moim zdaniem co najmniej połowa ludzi ma w nosie podział na republikanów i lojalistów. Chciałem, aby osoby, które się nie utożsamiają z kulturą konfliktu, też miały swoje miejsce, w którym będą się czuć dobrze. Bo przestrzeń Belfastu – murale, parady, media, osiedla – zawsze musi należeć do jednej bądź drugiej strony.

– O moim protestanckim pochodzeniu dowiedziałem się dopiero w wieku 13 lat. I od tego czasu jestem ateistą. To nie dla mnie, identyfikowanie się na podstawie religii – mówi Matthew Knight. Jego ojciec jest Anglikiem, matka Irlandką z Belfastu.

W czasie „Kłopotów" matka Matthew była pielęgniarką. Było jej ciężko i chciała wyjechać stąd jak najdalej. I tak wylądowali w Pakistanie, gdy Matthew miał cztery lata. Spędzili tam dekadę i wrócili, gdy chłopak miał 13 lat. Był rok 1993.

– Jestem Brytyjczykiem, ale jestem też dumny z Irlandii Północnej – mówi Knight. – Kocham to miejsce. Choć zajęło mi to trochę czasu, bo na początku nie chciałem tu mieszkać. Kiedy dorastałem w Pakistanie, otaczali mnie muzułmanie, katolicy, protestanci, prezbiterianie, mormoni. Wszystkich ich lubiłem. A potem przyjechałem tu i czułem, że ludzie próbują mi wepchnąć tożsamość do gardła.

Trzy siły

Podział na nacjonalistów i unionistów, czy też katolików i protestantów, od blisko ćwierć wieku wspierał system polityczny wypracowany w wyniku Porozumienia Wielkopiątkowego, które położyło kres „Kłopotom". W świetle tej umowy z 1998 r. władzę sprawować ma autonomiczny parlament, a tekę premiera i wicepremiera rozdzielono między przedstawicieli obu religii.

Zdaniem O'Doherty'ego ten system będzie musiał być zmieniony. Został bowiem stworzony z myślą o dwóch siłach rywalizujących o władzę. Majowe wybory pokazały zaś, że w północnoirlandzkim wyścigu politycznym biorą udział trzy siły: unioniści, republikanie i powiększające się centrum.

– A co z Polakami, którzy mieszkają w Belfaście? Co z Litwinami? Nigeryjczykami? Pakistańczykami? Dlaczego muszą się opowiadać po jednej ze stron? Znam Indusów, którzy sprowadzili się do Belfastu, bo chcieli mieszkać w Zjednoczonym Królestwie. To czyni z nich unionistów. Ale nie są protestantami, bo wyznają islam. Jak długo nasz system będzie ignorował ludzi, którzy wymykają się z tradycyjnego podziału? – pyta dziennikarz.

Groźby polityków DUP – że zablokują utworzenie rządu Irlandii Północnej po majowych wyborach, jeśli nie nastąpi radykalna korekta umowy brexitowej, czyli wycofanie Protokołu Irlandzkiego – mogą zdaniem O'Doherty'ego przyspieszyć proces zmian. Po raz kolejny staje się bowiem jasne, jak niewydolny jest system wypracowany w 1998 r.

– To może być początek renegocjowania warunków Porozumienia Wielkopiątkowego. A tego właśnie potrzebujemy – twierdzi dziennikarz.

Po staremu?

Sinn Féin słusznie zwraca uwagę, że ewentualne referendum trzeba dobrze przygotować. Brexit jest nauczką, że nie można po prostu postawić ludzi przed wyborem na „tak" lub „nie", a szczegóły dogadywać później. To przepis na polityczną katastrofę.

Oznacza to, że negocjacje powinny zacząć się na długo przed zwołaniem referendum. Ale w świetle Porozumienia Wielkopiątkowego sekretarz stanu ds. Irlandii Północnej (jest on członkiem brytyjskiego rządu) ma obowiązek zwołać referendum dopiero, gdy sondaże jasno wskażą na możliwość, że zwyciężą w nim zwolennicy zjednoczenia Irlandii. Przypomnijmy, że dziś takie rozwiązanie popiera co trzeci mieszkaniec Irlandii Północnej. Jeśli więc negocjacje zaczną się wcześniej, unioniści mogą poczuć się zdradzeni i nie trzeba będzie długo czekać na odpowiedź lojalistycznych organizacji paramilitarnych.

O'Doherty uważa, że najbliższa dekada może być czasem niestabilnym. Dlatego jego zdaniem najważniejsze jest, aby pamiętać, że historia lubi się powtarzać: – Wielu młodych ludzi odcina się od pokolenia rodziców. Mówią: „Wy to schrzaniliście, a nie my, my mamy dość konfliktu". Mam nadzieję, że się nie mylą. Choć obawiam się, że jeśli przemoc wróciłaby na ulice, ci młodzi ludzie znów by się podzielili. Katolicy poszliby do katolików, a protestanci do protestantów i byłoby po staremu.

Można oczywiście wierzyć, że czym bardziej umacniać się będzie polityczne centrum, tym takie zagrożenie będzie mniejsze. Problem polega jednak na tym, że istota centrum w Irlandii Północnej opiera się na umiejętności ignorowania pytania na temat przynależności.

Tymczasem tego pytania nie da się ignorować w nieskończoność. Bo prędzej czy później referendum w sprawie zjednoczenia Irlandii zostanie zwołane. A wtedy partie centrum będą musiały opowiedzieć się po którejś ze stron.

© AGATA KASPROLEWICZ

Autorka jest dziennikarką podkastu „Raportu o stanie świata".

LAUREN DECICCA / GETTY IMAGES

Zwolennicy Marcosa juniora demonstrują swoje poparcie przed jego siedzibą. Manila, Filipiny, 10 maja 2022 r.

Filipiny czekają na mesjasza

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Demokratyczna rewolucja sprzed 36 lat zawiodła zwykłych Filipińczyków tak bardzo, że najwyższy urząd w państwie oddali właśnie w ręce syna dawnego dyktatora.

Bongbong Marcos chciał zostać kiedyś gwiazdą rocka, a potem kosmonautą. Mierzył więc wysoko. Jednak gdy w lutym 1986 r. jego ojciec, dyktator Filipin Ferdinand Marcos, został zmuszony na fali demokratycznej rewolucji do opuszczenia kraju wraz z całą rodziną, młodzieńcze marzenia Bongbonga wydawały się bardziej realistyczne niż to, że kiedykolwiek obejmie on urząd prezydenta w swojej ojczyźnie. Marcosowie kojarzyli się wszak z opresjami stanu wojennego i splądrowaniem Filipin – według szacunków na jakieś pięć do dziesięciu miliardów dolarów.

Tymczasem w wyborach prezydenckich 9 maja Marcos junior, dzisiaj lat 64, wygrał, uzyskując ok. 60 proc. głosów, co stanowi rekord w głosowaniach po roku 1986. Co więcej, nigdy nie krytykuje on błędów reżimu swego ojca, a nawet nazywa go politycznym geniuszem.

Jak to możliwe w kraju uchodzącym wcześniej dla innych za wzór pokojowej demokratyzacji?

Boska misja powrotu

W istocie powrót klanu Marcosów na szczyty polityki planowany był niemal od momentu usunięcia ich z kraju. Po śmierci obalonego dyktatora w 1989 r. stało się to *idée fixe* jego żony Imeldy, która dziś, pomimo 92 lat, wciąż udziela się publicznie.

W 1987 r. daje ona wywiad dla „Playboya", gdzie zapowiada „boską misję powrotu" na Filipiny; wiele razy powtarzać też będzie, że lud tego oczekuje. Na początku przymusowej emigracji brzmiało to jak czysta fantazja i megalomania, na której Imeldzie nigdy nie zbywało. Filipiny, wedle powszechnych opinii, ostatecznie zerwały przecież z autorytaryzmem.

Upewniwszy się, że nie grozi im natychmiastowe uwięzienie, Marcosowie zaczęli ściągać do kraju już w ostatniej dekadzie wieku XX. Przywieźli ze sobą zakonserwowane ciało dyktatora. Szklana chłodzona trumna spoczęła tymczasowo w Ilocos Norte, mateczniku klanu na północy Filipin – z nadzieją, że kiedyś uda się oficjalnie pochować patrona rodu jako bohatera narodowego.

Najpierw Imelda, która jeszcze w 2016 r. wygrała wybory do Izby Reprezentantów, a potem jej dzieci, kuzyni i wnuki zaczęli piąć się po szczeblach politycznej kariery. Marcosowie mogli być znienawidzeni wśród elit stołecznej Manili, ale wstęp do krajowej polityki dawał im mandat wywalczony na północy, gdzie ich legenda nigdy nie umarła.

Ludzie tam zdają się wierzyć, że Marcos senior dorobił się miliardów jako adwokat przed rozpoczęciem służby

publicznej. Albo że odkrył złoto ukryte w czasie II wojny światowej przez Japończyków. Jego syn Bongbong zostaje więc kolejno gubernatorem, kongresmenem, wreszcie senatorem. Podobną drogę przebywa jego siostra Imee, a jeden z wnuków dyktatora doczekał się już debiutu parlamentarnego.

Procesy sądowe o zagrabiony majątek wciąż ciągną się za Marcosami. Odzyskano dotąd ok. 3 mld dolarów. Części ofiar stanu wojennego wypłacono też drobne odszkodowania. Dzięki immunitetowi i kolejnym apelacjom członkowie klanu mogli pozostać na wolności. Bongbong, który podkreśla, że z przeszłością nie ma nic wspólnego, tylko raz usłyszał wyrok: o niepłacenie podatków (po odwołaniu się uniknął jednak więzienia). Opozycja obawia się, że w nowej roli będzie chciał on zamknąć sprawy przeciw rodzinie.

Dalej aktualne pozostaje jednak pytanie o popularność Marcosów, której zakwestionować nie mogą nawet ich wrogowie.

Kiedyś było lepiej...

Filipiński dziennik „Inquirer" zamieścił niedawno artykuł o stanie krajowego rolnictwa. Wskazuje się tam na problemy tej branży, zauważając ze smutkiem, że w organizacji upraw i przetwórstwa sąsiednie kraje – Indonezja, Wietnam i Tajlandia – radzą sobie lepiej. Sedno wywodu tkwi jednak w stwierdzeniu, że kiedyś było odwrotnie, a to inni przyjeżdżali na Filipiny uczyć się rolnictwa.

Podobnych konkluzji dotyczących różnych dziedzin gospodarki i życia społecznego znaleźć można w miejscowej prasie bez liku. Napotkany Filipińczyk będzie zaś wyliczał, że dawniej jego kraj nie ustępował gospodarczo Korei Południowej, że Manilę nazywano „perłą orientu", że tu były najlepsze uniwersytety w regionie i instytucje odziedziczone po amerykańskiej kolonizacji, które należało tylko umacniać. Tyrady te kryją w sobie frustrację z powodu zmarnowanej szansy. Oznacza to również, że demokratyczna rewolucja roku 1986 zawiodła zwykłych ludzi.

Największym zaniechaniem wybranej wówczas na prezydenta Corazon Aquino okazał się brak reformy rolnej. Tym samym wpływy odzyskali właściciele wielkich majątków ziemskich, odsunięci wcześniej przez Marcosa. Tworzą oni dziś – chroniąc własne interesy – polityczne dynastie, obsadzające do 70 proc. stanowisk w legislaturze. W efekcie coraz więcej ludzi zaczęło postrzegać rok 1986 jako wymianę jednych skorumpowanych elit na drugie, a istotę bytu w polityce „żółtych" – tak nazywani są demokraci – jako zemstę na Marcosach, którzy ich kiedyś upokorzyli.

Co prawda wzrost gospodarczy Filipin utrzymywał się przez ostatnie dekady na przyzwoitym poziomie, jednak korzystali na tym głównie bogaci. Natomiast korupcja, bieda i niebezpieczne ulice stały się trwałym elementem demokratycznej rzeczywistości.

Rozczarowanie teraźniejszością w naturalny sposób skłania z kolei do nostalgii.

Stan wojenny? Nie taki zły

Zwłaszcza że trzeźwy osąd nie pozwala całkowicie zanegować dorobku Ferdinanda Marcosa. Sprawował on władzę w latach 1965-86 i – pomijając kilka ostatnich lat – w tym czasie gospodarka rozwijała się szybko, sprawnie budowano drogi, mosty i elektrownie. Krytycy wytkną oczywiście, że rosło też zadłużenie i że część infrastruktury powstawała na pokaz.

Chodzi tu głównie o zachcianki Imeldy, które miewały tragiczne konsekwencje. Przykładowo podczas konstrukcji centrum filmowego w 1981 r. doszło do śmiertelnego wypadku ponad stu robotników, którzy pospadali z rusztowań. Pierwsza dama Filipin kazała jednak lać beton na ciała, by terminowo ukończyć budynek i móc powitać zagranicznych gości. Znany był też jej pomysł osłaniania slumsów białym murem przed odwiedzającymi Filipiny głowami obcych państw.

Najwięcej kontrowersji budzi stan wojenny wprowadzony przez Marcosa w 1972 r. Oficjalnie zginęło wtedy 3257 osób, a ponad 70 tys. zostało aresztowanych. Na Filipinach nie brakuje jednak opinii, że stan wojenny nie był może taki zły, bo wśród ofiar znajdowali się głównie komuniści, a przede wszystkim zbrojna część tego ugrupowania – Nowa Armia Ludowa. Skonfiskowano wówczas 500 tys. sztuk broni. Sondaże wskazują dziś, że dla 76 proc. Filipińczyków stan wojenny kojarzy się z „dyscypliną, niskimi cenami i postępami w infrastrukturze oraz transporcie". Obóz „żółtych" twierdzi, że to wynik edukacyjnych zaniechań i tym tłumaczy tylko 22 proc. wskazań w tej ankiecie na „morderstwa i grabież majątku".

Geopolityka oraz Imelda

Nie jest też tajemnicą wsparcie Stanów Zjednoczonych dla Marcosów. Częściowo z powodów politycznych: w czasie zimnej wojny Amerykanie potrzebowali Filipin jako sojusznika na Dalekim Wschodzie, Marcos zaś umiejętnie czerpał dla siebie profity z tej sytuacji.

Podobnie jak ze swojej tajnej broni, czyli wdzięku Imeldy, który bardzo skutecznie oddziaływał na głównych lokatorów Białego Domu. Nixon mówił o niej „nasz anioł w Azji", a przyjaźń Ronalda i Nancy Reaganów z Marcosami była na tyle silna, że prezydenta USA trzeba było niemal przymuszać, aby w 1986 r. cofnął poparcie dla upadającego reżimu. U starszych Filipińczyków wizerunek „azjatyckich Kennedych" stanowi istotny element nostalgii za Marcosami, nawet jeśli sami żyli wtedy w biedzie.

Gdyby Ferdinand Marcos ustąpił wraz z pojawieniem się kłopotów zdrowotnych pod koniec lat 70., jego wizerunek na świecie byłby bardziej zniuansowany. Obok popełnionych błędów pamiętano by też, że odebrał on władzę lokalnym oligarchom, popchnął gospodarkę do przodu i uczynił kraj bezpieczniejszym. Trwając jednak na stanowisku, firmował pogłębiające się szybko patologie swojego systemu: korupcję, zadłużenie, upolitycznienie armii, brak swobód politycznych i ekstrawagancje żony (uciekając z Filipin, zostawiła po sobie 3 tys. par butów).

W 1986 r. ludność miast, Kościół katolicki oraz część wojska powiedzieli temu systemowi „dość".

Marcosowie w cieniu Duterte

Nie doszłoby jednak do pełnej restauracji klanu Marcosów bez prezydenta Rodrigo Duterte, który kończy swą sześcioletnią kadencję. Ten nieokrzesaniec z południowej wyspy Mindanao, znieważający wszystkie świętości – od papieża po prezydenta USA – podbił serca zwykłych Filipińczyków i stał się obiektem nienawiści „żółtych" oraz uniwersyteckich elit Manili.

Kontrowersje wzbudziła zwłaszcza jego krwawa wojna z handlarzami narkotyków, w której oficjalnie zginęło ok. 6200 osób, a nieoficjalnie dużo więcej. Zdaniem władz policja strzelała z zasady w obronie własnej, nie brak jednak ↦

↦ przypadków, że życie tracili też niewinni zwykle mieszkańcy slumsów, gdy w atmosferze przyzwolenia na przemoc załatwiano lokalne porachunki.

Nie nadszarpnęło to jednak poparcia dla prezydenta, który mimo pandemii i wywołanego nią spadku PKB kończy urzędowanie z rekordową sympatią 80 proc. Filipińczyków. Dla przeciwników Duterte pozostanie odwołującym się do niskich instynktów populistą, który nadwyrężył demokratyczne instytucje. Inni wskażą wzrost poczucia bezpieczeństwa ludności w czasie jego kadencji i podwojenie budżetu na infrastrukturę.

To Duterte zezwolił na pochówek Ferdinanda Marcosa w Manili. Pomijając korupcję, nie kryje on uznania dla byłego dyktatora: siły jego charakteru, wizji odnowy kraju, nacjonalizmu, który miał wyrwać Filipiny z kompleksów i kolonialnego uzależnienia od USA. Opinie te w ustach popularnego prezydenta wzmacniały pozycję członków klanu Marcosów, a zwłaszcza Bongbonga.

Przebojowy duet

Stosunek obecnego prezydenta do swojego następcy pozostaje jednak niejasny. Na Filipinach mówi się, że rozwój politycznych wypadków ostatnich miesięcy nie do końca jest po myśli Duterte.

Do połowy zeszłego roku liderem sondaży prezydenckich była jego córka Sara, która z niejasnych powodów odmówiła nagle startu w kampanii. Wkrótce po tej decyzji nadeszła informacja o dealu zaaranżowanym przez byłą prezydent Arroyo: Marcos junior wystartuje na prezydenta, a jego zastępcą będzie Sara Duterte. Do umowy miało dojść za plecami głowy państwa. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę: Marcos wnosił poparcie północy kraju, a Sara południa, gdzie dominuje ród Duterte. W rezultacie sondaże Bongbonga wystrzeliły, również dlatego, że nowy układ polityczny, jak spekulowano, musi mieć błogosławieństwo głowy państwa.

Tak chyba jednak nie było. Rodrigo Duterte ani razu oficjalnie nie wsparł Marcosa juniora. Kiedy 31 marca spodziewano się tego na wiecu wyborczym w Cebu, nieco poirytowany prezydent orzekł, że pozostanie neutralny, i zakończył wypowiedź po swojemu: „Przestańcie mnie już wkurwiać". Wcześniej dawał jednak do zrozumienia, pośrednio i wprost, że młody Marcos nie jest jego faworytem. Mówił, że prezydent kraju powinien być twardy, sprawnie podejmować decyzje i mieć wykształcenie prawnicze, Bongbonga zaś, który studiował politologię i biznes, nazywał „rozpieszczonym bachorem", zarzucając mu nawet przyjmowanie narkotyków.

Bongbong Marcos od dziecka miał wszystko podane na srebrnej tacy, nigdy nie musiał zarabiać, pozostając w istocie synkiem swojej mamusi.

Bezpieczeństwo i dobrobyt

A jakie poglądy ma przyszły prezydent Filipin? Odpowiedź nie jest jasna: Bongbong odmawiał uczestnictwa w debatach obok swoich dziewięciu kontrkandydatów, dając tylko kilka wywiadów, głównie zaprzyjaźnionym mediom. Ogólnikowo mówił wtedy o walce z biedą, wychodzeniu z pandemii, bezrobociu i rozwoju turystyki. Chce, by zajęli się tym najlepsi eksperci. Jego hasło wyborcze brzmiało: „Razem znowu powstaniemy". Na wiecach powtarzał więc zwykle o jednoczeniu ludzi, zostawieniu sporów przeszłości oraz o wspólnym marszu ku lepszemu jutru.

Sukces wyborczy Marcos zawdzięcza też dominacji w mediach społecznościowych, z których korzysta ponad 80 proc. ze 110-milionowej ludności Filipin. Jego krótkie występy na Facebooku i TikToku, okraszane hitami muzycznymi, przyciągały najmłodszy elektorat, a setki internetowych stron wsparcia dla kandydata gloryfikowały „złotą erę" rządów Marcosa seniora. Pojawiły się też zarzuty o zatrudnianie przez sztab wyborczy Bongbonga farm trolli do atakowania oponentów.

Celowano zwłaszcza w obecną wiceprezydent Leni Robredo, która z wynikiem około 28 proc. zajęła drugie miejsce. Spreparowane filmiki pokazywały ją jako osobę niesympatyczną, mało rozgarniętą i marionetkę „żółtych". Z łatką kandydatki elit Robredo podkreślała, że nie wywodzi się z politycznej dynastii, i aby odciąć się od historycznych skojarzeń, za kolor swojej kampanii obrała różowy.

Jest ona zdecydowaną przeciwniczką Marcosów i jako jedyna w stawce akcentowała konieczność respektowania praw człowieka oraz troskę o demokratyczne instytucje. Badania wskazują jednak, że tylko 15 proc. Filipińczyków za idealną formę rządów uznaje liberalną demokrację; większość skłania się raczej ku silnemu przywódcy, który zapewni bezpieczeństwo i dobrobyt.

Wizja upragnionego wybawcy

Przeciwnicy nowego prezydenta kreślą czarną przyszłość przed Filipinami. Odżywają traumy stanu wojennego, wielu spodziewa się politycznych represji i całkowitego zniszczenia demokracji. Taki scenariusz wymagałby jednak określonych cech przywódczych: charyzmy sprzęgniętej z wolą i uporem w urzeczywistnianiu swoich toksycznych wizji. Trudno tu o większy kontrast z dotychczasowym stylem Bongbonga, unikającego konfrontacji i konkretów programowych, przesadnie wręcz układnego, podrygującego w rytm azjatyckich przebojów. Biorąc pod uwagę filipińskie wyzwania, można raczej pytać, czy ktoś taki nie przysporzy szkody krajowi przez zaniechanie działań.

Paradoksalnie ten miękki wizerunek także podbić mógł jego rezultat wyborczy. Znany miejscowy socjolog Randy David wskazuje bowiem trwałą cechę filipińskiego społeczeństwa: ludzie czekają wciąż na przyjście mesjasza, który rozwiąże wszystkie ich problemy i odkupi Filipiny. Bongbong, stając obok politycznej bijatyki, głoszący potrzebę jedności, uosabiający przeszłość i przyszłość, jawić się może jako ten upragniony wybawca.

David zaznacza jednak, że mesjasz w przekazach, zanim okaże swą moc, znieść musi często wiele życiowych trudności i wyrzeczeń. Tymczasem Bongbong Marcos od dziecka miał wszystko podane na srebrnej tacy, nigdy nie musiał zarabiać, pozostając w istocie synkiem swojej mamusi.

Co zaś na to wszystko Rodrigo Duterte? Po skończonej kadencji 77-letni prezydent zamierza wsiąść na motocykl i zamaskowany likwidować handlarzy narkotyków w rodzinnym Davao.

© PIOTR BERNARDYN

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 90/22 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Potworów o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności niezabudowanej nieruchomości położonej w miejscowości Grabowa, gm. Potworów, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka ewidencyna nr 1264/2 o pow. 0,4838 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. kancelaryjnym GK.I.6621.2787.2021.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego-zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 674/21 toczy się postępowanie z wniosku Janusza Jagodzińskiego z udziałem Ryszarda Kiciaka, Marka Dubaja, Teresy Rudnickiej, Haliny Wojtowicz, Weroniki Jagodzińskiej, Tomasza Dubaja, Janiny Kozińskiej o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia przez Janusza Jagodzińskiego prawa własności nieruchomości stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 40 o powierzchni 0,09 ha, położonej w miejscowości Dubienka, gmina Dubienka, powiat chełmski, województwo lubelskie, jednostka ewidencyjna Dubienka, obręb ewidencyjny 060305_2.0002 Dubienka, dla której nie została założona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili swoje prawa do przemiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 52/22 z wniosku Karoliny Ważnej z udziałem Artura Ważnego, Mateusza Ważnego i Aleksandry Ważnej o stwierdzenie nabycia spadku po Marku Kazimierzu Ważnym, s. Karola i Emilii, rozwiedzionym, zm. 23 maja 2014 r. w Horyńcu-Zdroju, ostatnio stale przebywającym pod adresem: 37-620 Horyniec-Zdrój, ul. Sobieskiego 30/2.

Sąd wzywa wszystkie osoby rozszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie trzech miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły nabycie spadku, pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 111/21, na skutek wniosku Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Siedlcach, toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Januszu Wojciechu Zawalichu, zmarłym dnia 28 stycznia 2019 roku w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałym w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 83/22 toczy się postępowanie z wniosku Gminy Odrzywół o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości, stanowiącej drogę gminną, położonej w miejscowości Odrzywół, gm. Odrzywół, woj. mazowieckie, oznaczonej jako działka ewidencyjna nr 1532 o pow. 0,6603 ha, przedstawionej na mapie do zasiedzenia zaewidencjowanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze 23 grudnia 2021 r. pod numerem operatu technicznego P.1423.2021.1425.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do tej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi nabycie własności przez posiadacza samoistnego-zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. I Ns 291/21 toczy się sprawa z wniosku Heleny Mazur z udziałem Lucyny Iwon, Genowefy Jończyk, Ewy Klisz, Marzeny Kłak, Bronisława Kowalskiego, Henryka Kowalskiego, Kazimierza Kowalskiego, Małgorzaty Lenik, Grzegorza Mazura, Jarosława Mazura, Mateusza Mazura, Michała Mazura, Tomasza Mazura, Genowefy Pieniacha, Zofii Popielarz, Magdaleny Siara o zasiedzenie nieruchomości położonej w Sokolnikach Mokrych gm. Wieniawa, składającej się z działek nr 349, 364, 373, 122 o łącznej pow. 1,84 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr. GK.I.6621.3018.2021 przez Helenę Mazur.

Wzywa się osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 322/21 toczy się sprawa z wniosku Józefa Walasika z udziałem Zofii Zawadzkiej, Krystyny Janczak o zasiedzenie nieruchomości położonej w Gałkach, gm. Rusinów, składającej sie z działki nr 1168 o pow. 0,14 ha, przedstawionej na mapie wydanej przez Starostę Przysuskiego za nr GK.III.6621.72.37.2020 przez Józefa Walasika.

Wzywa się osoby zainteresowane, by w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia złosiły się i wykazały swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 85/22 toczy się postępowanie z wniosku Marzeny Stefaniak o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Szymańskiej, c. Jana i Julianny z d. Borowieckiej, zm. 6 września 2006 r., mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w m. Myślakowice-Kolonia, gmina Odrzywół, woj. mazowieckie. Spadkodawczyni pozostawiła majątek w postaci udziału w nieruchomości położonej w Łodzi.

Wzywa się spadkobierców ww. zmarłej, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Przysusze i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WSZYSTKIE TWARZE MARII

Poetka, nowelistka, autorka dla dzieci. Patriotka i feministka. Przez całe życie próbowała wymykać się ramom, w które ją wsadzano. 180 lat temu urodziła się Maria Konopnicka.

EWELINA BURDA

Na świat przychodzi rano 23 maja 1842 r. w Suwałkach, wtedy pod zaborem rosyjskim. Maria Stanisława Wasiłowska jest drugim z sześciorga dzieci ziemianki Scholastyny z Turskich i urzędnika Józefa Wasiłowskiego.

Gdy ma kilka lat, rodzina przeprowadza się do Kalisza; zajmują mieszkanie naprzeciw tamtejszej fabryki sukna Rephana. Dom nie jest ani biedny, ani też przesadnie bogaty. Ale wraz z przedwczesną śmiercią matki pojawia się w nim ogrom smutku. Maria ma wtedy 12 lat. Ojciec wychowuje później dzieci bez „kobiecej ręki", przykłada dużą wagę do chrześcijańskich wartości, patriotyzmu i surowych zasad.

Po latach Maria tak wspomni dzieciństwo (w liście do hrabiego Antoniego Wodzińskiego, który napisze o niej artykuł do francuskiego pisma): „Dom nasz sierocy był prawie zakonnym domem; nie przyjmowano w nim i nie oddawano żadnych wizyt, nie prowadzono w nim żadnych wesołych światowych rozmów, a spacery, na które ojciec nas prowadził, miały za cel zwykły – cmentarz" .

Jako trzynastolatka trafia do sióstr sakramentek w Warszawie. Pensja ma renomę i niemało kosztuje. Nastoletnia Maria spędzi tam tylko rok. Wtedy odbierze systematyczną edukację (w pozostałych latach będzie samoukiem) i zawiąże jedną z najważniejszych dla siebie przyjaźni: z rok starszą Ziunią Pawłowską, która da się w przyszłości poznać jako Eliza Orzeszkowa.

Ja całuję od wielkiego dzwonu

Nastoletnia Maria staje się kobietą o urodzie dość powszechnej, ale są w niej rzeczy, które zachwycają wielu, jak miedzianozłote włosy czy subtelne dłonie.

Za mąż wychodzi w 1862 r. Jarosław Konopnicki świetnie tańczy. Starszy od Marii o 12 lat, mieszka z ojcem i młodszymi braćmi w majątku Bronów – okazałym, choć zaniedbanym. Gdy Maria będzie opuszczać dom rodzinny, przyjedzie po nią na dwa powozy, przywiezie kwiaty i bomboniery.

W liście do sióstr, który wysyła w marcu 1863 r. już z Bronowa, Maria pisze o mężu: „Jest tak dobry, że się poddaje wszystkim moim figlom i pustotom, a ja nawzajem pozwalam się całować – bo sama całuję tylko od wielkiego dzwonu".

Perspektywa zmieni się z czasem. W cytowanym liście do Wodzińskiego Konopnicka napisze: „Poszłam za mąż wcześnie bardzo i zgoła nieprzygotowana do objęcia obowiązków praktycznego życia".

W Bronowie w ciągu 10 lat Maria urodzi ośmioro dzieci. Najstarszy jest Tadeusz, później Zofia (jej oczko w głowie), Stanisław, Jan, Helena i najmłodsza z rodzeństwa Laura. Dwójka chłopców, Władysław i Stefan, umrze zaraz po porodzie.

Młoda Maria, gorąca demokratka i patriotka, w ziemiańskim otoczeniu czuje się obco, nie może i nie chce pogodzić się z jego obojętnością na losy ludu i narodu. Szuka ucieczki, w listach do sióstr pisze o „kryjówce duszy". Staje się nią stara biblioteka, którą odkrywa na strychu. To pozostałość po spokrewnionym z Konopnickimi pułkowniku, dzięki czemu może czytać francuskich i niemieckich klasyków i obcować ze słowem.

Z biegiem lat w rodzinie Konopnickich nie wiedzie się najlepiej, po wielu perturbacjach majątek Bronów upada i zostaje sprzedany. Maria z mężem i dziećmi finalnie trafiają do Gusina, gdzie Jarosław będzie już tylko dzierżawcą dworku. Konopnicki stopniowo przestaje być dla żony autorytetem i wyrocznią, a emancypacyjne oblicze Marii rośnie w siłę.

Odchuchawszy dzieci, zaczęłam pisać

Gdy debiutuje pisarsko, ma 28 lat.

Jest rok 1870. Na łamach dziennika „Kaliszanin" opublikowany i dobrze przyjęty zostaje jej wiersz „Zimowy poranek", pod którym podpisuje się pseudonimem „Marko".

Latem 1875 r. po raz pierwszy zostawia rodzinę i wyjeżdża: do Szczawnicy, by podleczyć gardło (będzie jej dokuczać przez resztę życia). Tam pracuje nad cyklem wierszy „W górach", który wysyła do „Tygodnika Ilustrowanego". Jej twórczość trafia na łamy, tym razem podpisze się już nazwiskiem.

POLONA.PL / DOMENA PUBLICZNA

Maria Konopnicka, ok. 1875 r.

Jesienią 1876 r. w „Gazecie Polskiej" pojawia się entuzjastyczna recenzja jej prac. „Cóż to za śliczny wiersz (...) Zacząłem go czytać z lekceważeniem jak wszystkie takie ulotne poezyjki, a skończyłem zachwycony. (...) Pod wierszem znalazłem napis: Maria Konopnicka. Nie znam tej poetki (...) W każdym razie ta pani, czy panna, ma prawdziwy talent". Pod recenzją podpis: Litwos – pod tym pseudonimem skrywa się Henryk Sienkiewicz.

Sukcesy zawodowe nie idą w parze z życiem prywatnym. Małżeństwo Marii zmierza do nieuchronnego końca. Gdy opuszcza męża i przeprowadza się z dziećmi do Warszawy, jest rok 1877. W siedem osób zamieszkują małe mieszkanie przy ulicy Piekarskiej, w ówczesnej nędzarskiej dzielnicy.

Na utrzymanie rodziny chce zarobić własną pracą. Pisze (od czasu do czasu udaje jej się publikować), w zamożnych domach udziela korepetycji. Zaczyna być w nich postrzegana jako „literatka", stawki nie są więc najgorsze. Kontakt z dziećmi inspiruje ją do czytania o wychowaniu i psychice najmłodszych. Zaczyna myśleć o literaturze dla dzieci. W liście do Wodzińskiego napisze o tych latach: „Odchuchawszy od pierwszego dziecięctwa moje dzieci, zaczęłam pisać".

Ale potrzeby sześciorga dzieci są ogromne, Maria bezustannie musi organizować pieniądze. Samotna w obcym mieście, bez kontaktu z ukochaną przyrodą, czuje się przytłoczona. Pomoże jej przyjacielska ręka.

Pytasz się: co to jest szczęście?

„Czy jestem szczęśliwa? Powiem Ci, długo zdawało mi się że – tak! (...) Jakże łudzącym jest to małe słówko. (...) Aż naraz – przychodzi jakiś wieczór gwiaździsty, jakaś noc bezsenna, które ci w piersi rozbudzą tęsknotę i nie nazwane pragnienia i pytasz się: co to jest szczęście?" – napisze w liście do Elizy Orzeszkowej, z którą po wielu zbiegach okoliczności uda się odnowić relację.

Orzeszkowa jest już znaną powieściopisarką, mieszka w Grodnie. W listach podtrzymuje Marię na duchu, wspiera w pisaniu, motywuje, doradza.

A Maria – na tyle, na ile pozwalają jej wyzwania finansowe i rodzinne – zanurza się w pisaniu. W 1880 r. tworzy pierwsze większe dzieło „Z przeszłości. ↦

↦ Fragmenty dramatyczne" (wiersze publikowane w gazetach ukażą się w formie tomiku rok później). O publikację prosi Orzeszkową, która otworzyła swoje wydawnictwo.

Publikacja wywołuje kontrowersje. „Gazeta Polska", wcześniej tak przychylna, alarmuje: „Autorka zaznacza walkę ducha ludzkiego z powagami, które jego wolność i polot ograniczają, a w szczególności z powagą Kościoła". Recenzja jest napastliwa, a autorem jest znów Sienkiewicz. Zarzutów jest więcej, sprawa staje się szeroko komentowana. Ale nazwisko Konopnickiej zaczyna być dzięki temu coraz bardziej rozpoznawalne.

Bez troski pomyśleć o jutrze

Maria marzy o podróżach. Jest zmęczona codziennością, trudami starań o publikację. Udaje jej się wysłać dzieci do ojca na wieś i po raz pierwszy jedzie za granicę: do Austrii i Włoch. Towarzyszy jej Aniela Tripplin, emancypantka i powieściopisarka. Podróż jest tylko małą odskocznią, ciągłe zabieganie o finanse coraz mocniej daje się we znaki. Pracowita i obowiązkowa, Maria szuka więc stałej posady.

Jesienią 1883 r. w Warszawie znany wydawca prasy Salomon Lewental zakłada pismo dla kobiet „Świt" i proponuje Marii objęcie redakcji. Zachęca pensja: 3 tys. rubli rocznie. Maria ofertę przyjmuje, ale przygoda ta potrwa tylko dwa lata. W listach daje do zrozumienia, że odeszła, bo wydawca chciał pisma, które przyniesie pieniądze, a ona chciała tworzyć coś ambitnego.

Jest już u szczytu sławy, ale finansowo wciąż nie jest najlepiej. Z ukochanym stryjem rozmawia o pożyczce. W październiku 1887 r. pisze do niego: „Dręczy mnie to prawdziwie, że przy takim trybie życia do niczego większego zebrać się nie mogę, bo każdy dzień wrzeszczy do mnie o swoje potrzeby! I od dziesięciu lat nie miałam jeszcze takiego miesiąca, w którym mogłabym bez troski pomyśleć o jutrze...".

O dzieci dba, jak może: w miarę możliwości spełnia ich prośby finansowe, wysyła im gazety i książki, dla córek szyje sukienki. W marcu 1888 r. uda się jej zmienić mieszkanie: wprowadzi się do Starego Pałacu na Frascati. To trzy pokoje z przestronną kuchnią, przeszklone drzwi prowadzą z jadalni na widokowy taras.

W tym samym roku wydany zostaje pierwszy tom jej nowel. Publikuje dużo: prozę własną i recenzje. Troski i codzienność samotnej kobiety przenosi na swoich bohaterów. Publikuje też poza zaborem rosyjskim: w Krakowie, Lwowie, Poznaniu. Wiersze patriotyczne podpisuje licznymi pseudonimami, m.in. Piotr Surma, Jan Sama, Jan Waręż. Z kolei jako Mruczysław Pazurek publikuje utwory dla dzieci.

Tworzy dla dzieci, co nie przeszkadza jej myśleć o wielkim narodowym poemacie.

Sukces zawodowy przeplata się ze zmartwieniami rodzinnymi. Najwięcej kłopotów przysparza jej córka Helena (ma nieślubne dziecko, procesy o kradzież, problemy ze zdrowiem psychicznym), o czym Maria żali się w listach do Orzeszkowej. Sprawy córki odbijają się na jej reputacji.

Gdy uskutecznię to, powrócę

Wtedy po raz kolejny wraca do Marii marzenie o wyjeździe, o ucieczce. Nie bez żalu opróżnia mieszkanie na Frascati. Meble zabierają dzieci, cenne pamiątki oddaje na przechowanie do przyjaciół.

W 1890 r. wyjeżdża do Austrii, później Włoch i Francji. W uzdrowisku Admont zamieszka z zaprzyjaźnioną 30-letnią malarką Marią Dulębianką i jej matką. Potem jest Lwów, Monachium. Ale od matczynych trosk nie udaje się jej w pełni uciec: na początku 1891 r. dostaje wiadomość z Warszawy o ciężkiej chorobie najstarszego dziecka, niespełna 30-letniego Tadeusza, u którego zbyt późno rozpoznano zapalanie wyrostka robaczkowego. Maria wraca, czuwa podczas operacji, ale ta się nie udaje. Syn umiera na jej rękach.

Tułaczy los trwa dalej: wyjeżdża do Zurychu, później wynajmuje pokój w Mediolanie – jest zimny i brudny, a czynsz wysoki. W lombardzie zastawia zegarek, by mieć za co go opłacić. Wigilię spędza samotnie. Jak pisze jej biografka, Wiesława Grochola, z tej nostalgii zaczną się rodzić pierwsze utwory dla dzieci. Będą odbiegać od schematów wychowawczych i nudy. Dużo w nich znajdzie się motywów z czasów, gdy Maria spacerowała z dziećmi po zalanym słońcem i zielenią Bronowie.

Tworzy dla dzieci, co nie przeszkadza jej myśleć o wielkim narodowym poemacie. Pracuje nad dziełem, które po 20 latach ukaże się jako „Pan Balcer w Brazylii".

Wciąż szuka swojego miejsca. Wyjeżdża do Rzymu, gdzie spotyka się z Dulębianką. Postanawiają osiedlić się we włoskiej miejscowości Rapallo, nadmorskiej i taniej, ale i tu Maria nie zagrzeje miejsca. Następne na jej życiowej mapie jest południe Francji: Nicea, Marsylia. Tam angażuje się w pomoc polskim emigrantom i poznaje prototyp głównego bohatera swojego poematu, Jana Balcerzaka, który robi na niej wrażenie, bo jest chłopem obrotnym, zaradnym i walczącym o swoje.

Córka Zofia nieustannie namawia ją na powrót do Polski, ale Maria jest nieugięta. „Muszę od przeszłości, w której uderzyło mnie tyle ciosów, odgrodzić się jakąś dużą, uwieńczoną powodzeniem pracą. Jeśli mi tylko sił starczy, gdy uskutecznię to, powrócę" – pisze w liście.

Ja i Pietrek

Wokół Marii Konopnickiej przez lata pojawiają się mężczyźni, ale żaden nie staje się znaczący. Adorują, piszą listy, chwalą suknie i fryzury. Najdramatyczniejsza sytuacja wydarza się, gdy zakochuje się w niej młodszy o ponad 20 lat Maksymilian Gumplowicz. Odrzucony, popełnia samobójstwo: 28 listopada 1897 r. strzela do siebie przed hotelem w Grazu, gdzie poetka zatrzymała się z Marią Dulębianką.

Bo wszędzie, gdzie jest Konopnicka, jest też Dulębianka. W listach do dzieci nazywa ją „Pietrek", pisze o niej bardzo często. Maria Dulębianka – młodsza o 20 lat utalentowana malarka (uczyli ją Matejko i Gerson), emancypantka, nosząca się po męsku. W kolejnych latach poświęci swoją karierę zawodową dla Konopnickiej.

„Jest damą do towarzystwa, przyjaciółką, partnerką umysłową, zapewne pierwszą powiernicą literackich pomysłów poetki i pierwszą czytelniczką jej tekstów, pomocną w bezustannych podróżach i w organizowaniu ciągle od nowa codziennej egzystencji, bliskim człowiekiem, który zastępuje rodzinę i chroni przed samotnością" – pisze Wiesława Grochola o Dulębiance w biografii Konopnickiej, która ukazała się w 1988 r.

W następnych latach, nieprzerwanie do teraz, kolejni badacze życiorysu poetki będą się zastanawiać, jakie uczucia łączyły Konopnicką i Dulębiankę, i czy ich relacja była także związkiem o charakterze erotycznym.

MUZEUM LITERATURY / EAST NEWS

Eryk Lipiński, karykatura Marii Konopnickiej, rysunek niedatowany

Tęskno mi coraz dotkliwiej

Paryż, Normandia, Włochy. Konopnicka w dalszym ciągu odwiedza miejsca piękne, ale w liście do Orzeszkowej pisze: „Nic mnie nie rwie, żeby patrzeć i podziwiać. Duszę mam odwróconą zupełnie od Włoch. Tęskno mi coraz dotkliwiej...".

Nasilająca się tęsknota łączy się z tym, co dzieje się w kraju: trafiają do niej wiadomości o strajku szkolnym we Wrześni w zaborze pruskim. Angażuje się wówczas w międzynarodowy protest przeciw prześladowaniu polskich dzieci.

Wraca po niemal dwudziestoletnim okresie podróży: w 1902 r. w Krakowie i Lwowie odbywa się wielki jubileusz z okazji 25-lecia jej pracy pisarskiej. Ma on o tyle duże znaczenie w życiu Konopnickiej, że jawi się jako szansa na zapełnienie pustki, którą od lat miała w sercu: pustki po domu, ogrodzie, wsi. Komitety jubileuszowe postanowiły bowiem ufundować dla poetki dar narodowy: dworek, w którym mogłaby spokojnie osiąść.

8 września 1908 r. w Żarnowcu pod Krosnem odbywa się przekazanie daru. Obchody są huczne, liczna młodzież w strojach ludowych i na koniach, a na werandzie wójt witający poetkę chlebem i solą. Dworek otacza piękny, choć lekko zaniedbany ogród. Jest cicho, spokojnie. Maria pisze „Pana Balcera" i spędza czas wspólnie z Dulębianką: spacery, bicykle, gimnastyka.

Jednak kłopoty finansowe nie odstępują Marii nawet wtedy – dworek okazuje się bardzo kosztowny w utrzymaniu. „Jak mi w tych pokojach ciężko. Za późno to przyszło. Nie ma siły cieszyć się tym. Wszystko przysłania mgła smutku" – pisze z Żarnowca do córki Zosi.

Na zimę postanawia wyjechać do znanego doskonale Lwowa. Ale i tam nie zaznaje spokoju: coraz większa sława sprawia, że gazety, stowarzyszenia i wydawnictwa rozszarpują coraz bardziej zmęczoną już poetkę.

Wkrótce publikuje fragmenty „Pana Balcera", który uważa za najważniejsze dzieło. Ale recenzje nie są pochwalne. Konopnicka ma w sobie coraz mniej cierpliwości, a coraz więcej żalu do świata.

W niespokojnym w zaborze rosyjskim roku 1905 pogarsza się jej zdrowie, ale lekarzom nie udaje się jej powstrzymać przed podróżą do Warszawy. Tam notuje, co widzi, odwiedza więzienia, nędzne mieszkania. Dzięki jej nazwisku darczyńcy z zagranicy przysyłają konkretne kwoty na pomoc.

W 1908 r. powstaje „Rota". Konopnicka publikuje ją w Galicji, w listopadowym numerze czasopisma „Gwiazdka Cieszyńska". Najpopularniejszy wiersz poetki, który prawie zostałby hymnem narodowym, jest zwieńczeniem jej kampanii przeciw germanizacji. Udaje jej się też dokończyć rzecz, która jest dla niej z tych najważniejszych: w 1909 r. drukiem ukazuje się „Pan Balcer".

Czy lecę już ku przepaści

Konopnicka jeszcze raz wyjedzie w podróż na Zachód: do Włoch, Chorwacji, Austrii, Czech i Francji. Wiosna i lato 1910 r. okażą się tymi ostatnimi. Maria spędza je w Żarnowcu, w odwiedziny przyjeżdżają dzieci, jest spokojnie i zielono.

Coraz bardziej podupada na zdrowiu. W maju przychodzi wiadomość, która sprawi, że Marii ciężko będzie podnieść się także na duchu: jej przyjaciółka Eliza Orzeszkowa nie żyje.

Ze zdrowiem jest tylko gorzej. Konopnicka daje się namówić na leczenie, jesienią wyjeżdża do Lwowa. W sanatorium stan Marii się pogarsza: zapalenie płuc, serce pracuje dzięki podtrzymywaniu kamforą. „Czy lecę już ku przepaści, czy jeszcze się zatrzymam?" – zapyta leczącego ją profesora Gluzińskiego.

2 października wyśle ostatni list do ukochanej córki. Czarnym atramentem napisze: „Droga Zośko, (...) Mnie z hotelu przenieśli do dorożki i zawieźli do sanatorium »Kisielka«. Tu leżę. Pokój mam wesoły i słoneczny. Profesor Gluziński odwiedza mnie prócz doktora miejscowego i doktora Wekslera. Mam się niedobrze. Mam nogi bardzo zapuchnięte i to postępuje. Już dziś mam zapuchniętą twarz. Trudno mi pisać. Dziękuję Ci, drogie dziecko, za listy. Pisz często. Całuję serdecznie Was oboje. M.K.".

Na karcie korespondencyjnej pod słowami poetki Stanisław Królikowski dopisze ołówkiem: „Zdaje się, kochana Zosiu, że koniec się zbliża. Lekarz polecił mi zawiadomić Was o tym".

Matce towarzyszą Laura, Janek i Stach. Zośka nie zdąży dojechać z Rostowa nad Donem. Maria umiera nad ranem. Jest 8 października 1910 r.

©℗ EWELINA BURDA

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Obrazy*

I Blat, dwa stołki i kobieta w różowym.

Jakby bar, ale czy kobieta przyszłaby do baru w podomce i kapciach?

Nie jest zresztą pewne, że to podomka, różowość może być i koszulą nocną.

Na blacie stoi telefon.

Jest ranek, kobieta nie zdążyła się uczesać. Zdjęła słuchawkę...

Będzie dzwonić? Tak wcześnie?

Na razie zdjęła słuchawkę, trzyma ją w ręku, zastanawia się – dzwonić czy nie dzwonić...

To nie jest bar, powiedziała pani z buldogiem. Weszli przed chwilą. Wstąpili raczej. Do Kordegardy nie wybiera się jak do poważnego muzeum. Idzie się Krakowskim Przedmieściem, widzi się przez okno obraz z czymś różowym albo z niebieskim i się wstępuje.

– Można? – spytała pani z psem i od razu dodała, że to jest francuski buldog. Bo są i angielskie buldogi, tłumaczyła, jakby francuska wersja buldoga miała łatwiejszy wstęp do Kordegardy.

– Bardzo proszę – pani kurator zaprosiła oboje, może dlatego, że i pani, i pies cali byli czarno-biali. Wyglądali jak z obrazu, którego malarz nie zdążył namalować. Z ostatniego okresu, kiedy tracił wzrok i lepiej się czuł w kontrastach, w czerni i bieli.

Podeszli do obrazu, przyjrzeli się i pani powiedziała: – To hotel. Ona tu mieszka i przyszła z pokoju, z numeru – kiedyś mówiło się, żeby zadzwonić.

Miała rację. Na obrazie jest hotelik Antoniny N., przyjaciółki malarza. We Francji, w Sailly. Dziura nieprawdopodobna, tylko we Francji można takie spotkać, pisał o Sailly Jarosław Iwaszkiewicz.

Może i dziura, ale malarz często tutaj przyjeżdżał. W czerwcu złocił się na polach rzepak, w końcu sierpnia były rżyska. Kupił sobie motorower, jeździł po okolicy i miał potem na obrazach żółcie ze złotym albo żółcie z czymś rudym, czy brązem.

Zielona ściana, białe kartki i kobieta w niebieskim. Schyla się nad kartkami, jest chuda i smutna. Może nie smutna, może po prostu zmęczona.

Widzi ją w banku. Najpierw z dość daleka, stojąc w kolejce, potem w okienku, więc bliżej. Mówi o pieniądzach i przygląda się sukience, bardzo niebieskiej, bardzo ciekawej na tle zieleni ścian.

„...w banku (po pieniądze) zobaczyłem tę pannę w niebieskiej roboczej sukni, którą raz już próbowałem z pamięci namalować i zaraz zabrałem się do płótna z notatki tam zrobionej. Znowu notatka przerysowana i dobra, tzn. dająca ślad mojego przeżycia – na płótnie pokusy naturalistyczne – praca z pokusami..."

Porzuca pannę w niebieskim, nie wiadomo dlaczego. Może zniechęcają go naturalistyczne pokusy, ale wraca do niej. Po pięciu latach.

„Maluję nareszcie moją dziewczynę w banku, wyszedł dosłownie jakiś fałszywy Picasso! Obraz płaski, uproszczony, który przecie jest próbą czegoś i ku czemuś – o czym dawno marzę i która może coś da".

Zastanawia się nad czarną kreską: „...żyje w obrazie i powinna żyć, wtedy się jej nie wstydzić, a jej arabeskę podkreślić...".

Zastanawia się nad płaszczyznami farby, jak u Matisse'a i Picassa. „...Używali tego w tysiącu wersji, te płaszczyzny, które tak często u mnie stawały się płaskie i nudne, w tym płótnie żyją".

Wreszcie jest zadowolony. Płaszczyzny żyją, czarna kreska zmierza ku czemuś!

Pannie z banku nadaje tytuł „Urzędniczka" i możemy patrzeć na nią i nią się zachwycać. Jej niebieską sukienką na zielonym tle i jej zmęczeniem.

Kawiarnia. Dwie kobiety w czerni i bieli. Patrzą przed siebie. Słuchają kogoś, ale myślą o czymś innym, wyraźnie znudzone.

Nie wiemy, kogo słuchają.

W ogóle nic o nich nie wiemy.

Malarz by wiedział. Lubił wiedzieć – o tych, których malował. O których książkę napisał.

5 lat zielonogórskiego Klubu „Tygodnika Powszechnego"!

NASZYM PRZYJACIOŁOM z zielonogórskiego Klubu dziękujemy za zaangażowanie w rozwijanie dialogu, budowanie mostów, za prawdziwą debatę i szeroko zakrojoną działalność społeczną. Tworzycie liczną grupę wspaniałych osobowości, wciągacie do rozmowy wiele środowisk. Dziękujemy Wam za to i życzymy kolejnych dobrych lat!

Redakcja „Tygodnika Powszechnego"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

II O botaniku, znawcy traw. Że zobaczył trawy w rosyjskim stepie i strasznie się ucieszył, jeszcze nie widział takich. (Przez kraty w oknie wagonu je dostrzegł).

O lekarzu. Że był dumny ze swojej żydowskiej babki. W jej mieszkaniu zebrał się Rząd Tymczasowy w powstaniu styczniowym. W klasztorze, zamienionym na więzienie, opowiadał o tej babce bez końca.

O lewicowym poecie. Że uwielbiał Apollinaire'a i też się ucieszył. W obozie dowiedział się, że poeta był Polakiem, Kostrowicki nazywał się. Opowiedział mu o tym jeden z oficerów, nazwiskiem Kostrowicki. Daleki krewny Apollinaire'a.

O nafciarzu. Że marzył o federacji narodów, od Skandynawii po Grecję.

O innym lekarzu, pediatrze. Że w '39 pocieszył go stary Żyd. Podszedł na ulicy i powiedział: – Dlaczego jest pan smutny, panie doktorze? Naród, który wydał Mickiewicza i Chopina, nie może zginąć.

III Zyta czytała mu rosyjskie wiersze.

Najpierw grzecznie przeprosił, że od razu nie poznał jej – wzrok już mu nie służy, tłumaczył się, potem wręczył jej książkę i poprosił, żeby czytała.

Znał wiersze na pamięć, ale lubił słuchać.

Andrzeja nie było przy czytaniu, był u Giedroycia z jakąś misją. Miał mu przekazać coś i od kogoś, ale nie pamięta, od kogo i co.

Chyba akmeistów mu czytała.

– Malarz się nimi zachwycał, a Zytę zachwycał jego zachwyt.

Gumilow...? Bardzo możliwe.

...Piękny Bóg – byłem mu nie całkiem obcy
Spojrzeniem mi się odwzajemnił...

Albo –
A to było, a to było w owe lata
Z których śladu nie zostało w pustce świata

Albo –
Wierzę w znaki
Jak wierzę w poranne sny
Panie zmiłuj się nad naszymi duszami:
Mamy wielkie kłopoty ©

Józef Czapski, Dzieła z kolekcji prywatnych. Kuratorki wystawy: Elżbieta Skoczek i Katarzyna Haber. Warszawa, Kordegarda.
Odczytanie fragmentów dziennika Józefa Czapskiego zawdzięczam Januszowi S. Nowakowi.
O jeńcach Starobielska – według książki Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi".
O czytaniu wierszy przez Zytę Oryszyn – według relacji jej męża Andrzeja Kaczyńskiego.
Fragmenty wierszy Nikołaja Gumilowa w przekładzie Leopolda Lewina i Adama Pomorskiego.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Już w środę 1 czerwca
z „Tygodnikiem" dodatek:

Wakacyjny włóczykij kulturalny

a w nim:

- rower to jest świat, czyli o rowerach w sztuce
- przewodnik po festiwalach muzycznych i literackich
- przegląd wydarzeń i wakacyjne polecajki

Pokaż swoją imprezę, wypromuj wydarzenie – instytucje kultury mogą liczyć na specjalne ceny!

Zapraszamy do kontaktu:
Anna Pietrzykowska
pod nr. 602 590 416
lub adresem
reklama@tygodnikpowszechny.pl

NAUKA

ZWIERZĘ ATYPOWE

Część genów, które powiązano z zaburzeniami ze spektrum autyzmu, dzielimy z innymi zwierzętami. Czy autyzm jest ewolucyjnie starszy niż człowiek?

MARTA ALICJA TRZECIAK

Historia badań nad autyzmem nie jest długa. Po raz pierwszy nietypowe zachowania – związane m.in. z trudnościami w komunikacji, powtarzaniem pewnych ruchów czy słów i unikaniem interakcji społecznych – u niewielkiej liczby dzieci opisali w latach 40. XX w. Leo Kanner i Hans Asperger. Pierwsze teorie wyjaśniające występowanie tego rodzaju zaburzeń rozwojowych odwoływały się do błędów wychowawczych rodziców. Dziś, po dekadach badań, wiemy już, że autyzm występuje pod wieloma postaciami – dlatego mówi się o spektrum autyzmu (ASD, ang. *autism spectrum disorder*) – a cechy z nim związane są często dziedziczone, co oznacza, że musi mieć silny komponent genetyczny.

Faktycznie, w ostatnich latach z autyzmem powiązano ponad tysiąc różnych genów, przy czym jedne z nich mają potwierdzony związek z występowaniem objawów ASD, inne się o to dopiero podejrzewa. Zdecydowana większość tych genów nie jest typowa tylko dla człowieka – pełnią one podobne funkcje w organizmach nawet bardzo odległych

od nas ewolucyjnie, jak muszki owocowe czy nicienie. Skoro zatem geny odgrywają istotną rolę w rozwoju autyzmu, to czy tylko ludzie mogą wykazywać objawy spektrum? Czy zwierzęta też mogą być autystykami i czy autyzm pojawił się na świecie wraz z człowiekiem, czy też jest starszy ewolucyjnie od naszego gatunku?

W stadzie makaków

Intuicja podpowiada, że szukając objawów autyzmu u zwierząt, należałoby się najpierw zwrócić ku naszym najbliższym krewnym – małpom. Po pierwsze, ich mózgi są najbardziej podobne do naszych. Po drugie, ich rozwój również przebiega podobnie do naszego. Po trzecie, u małp, w tym najbardziej nas przypominających małp człowiekowatych, znajdziemy wiele gatunków społecznych, dlatego ewentualne występowanie objawów autyzmu powinno być u nich łatwo uchwytne.

W literaturze naukowej faktycznie opisywano przypadki bonobo, szympansów czy makaków, które nie nawiązywały typowego kontaktu wzrokowego lub nie były tak komunikatywne i uspołecznione, jak inni członkowie ich stada. Jednak w każdym z tych przypadków uczeni, którzy dokonywali obserwacji, odcinali się od diagnozowania autyzmu – głównie ze względu na występowanie tylko wybranych cech przypominających ASD, a nie całego wachlarza objawów.

Na początku tego roku w czasopiśmie „Autism Research" ukazał się raport z badania przeprowadzonego wśród żyjącego na wolności stada makaków królewskich. Jego autorzy obserwowali młode osobniki i oceniali ich zachowania społeczne, posługując się m.in. tymi samymi kryteriami diagnostycznymi, które stosuje się do diagnozowania spektrum autyzmu u dzieci. Następnie badacze przeanalizowali genotypy wielu członków stada pod kątem blisko stu pięćdziesięciu genów, co do których dowiedziono silne powiązanie z występowaniem autyzmu u ludzi. Uczeni wykazali, iż stronienie od kontaktów społecznych, nietypowa ich realizacja, a także rzadsze pielęgnowanie innych członków stada czy częstsze wykonywanie powtarzalnych ruchów były u badanych makaków powiązane z występowaniem tych wariantów genów, które kojarzone są z ludzkim autyzmem.

To by sugerowało, że pewna predyspozycja do występowania ASD może być starsza ewolucyjnie niż sam człowiek – mogła występować u wspólnego przodka nas i innych naczelnych. A także – iż nie jesteśmy jedynymi przedstawicielami świata ożywionego, u którego można rozpoznać objawy spektrum. Jednocześnie, zarówno autorzy przytoczonej pracy, jak i innych publikacji dotyczących „zwierzęcego autyzmu" są bardzo ostrożni w formułowaniu wniosków. To, że wykazano pewną korelację pomiędzy specyfiką zachowań społecznych makaków a genami kojarzonymi z autyzmem, nie oznacza jeszcze, że małpy te faktycznie „są w spektrum".

„Badane przez nas makaki nie miały autyzmu. Raczej wykazywały czasami kombinacje zachowań podobne do tych używanych do diagnozowania ASD u ludzkich dzieci" – stwierdziła jedna z autorek badania, prof. Mar Sanchez, w notatce prasowej opublikowanej przez uczelnię finansującą projekt, Emory University. Młodociane makaki, u których stwierdzono behawioralne odstępstwa od normy, funkcjonowały przecież w swoich stadach, były generalnie akceptowane przez inne osobniki i nie potrzebowały ich asysty w wykonywaniu codziennych czynności życiowych.

MAXIME GRUSS / HANS LUCAS / AFP / EAST NEWS

Według ustaleń naukowców, te makaki królewskie, które posiadają powiązane z autyzmem warianty genów, częściej przejawiają nietypowe zachowania społeczne.

Nauka śpiewu

Ptaki są z ludźmi znacznie mniej spokrewnione niż małpy – nasz ostatni wspólny przodek chodził po świecie przeszło trzysta milionów lat temu. Nie znaczy to jednak, że nie ma między nami fundamentalnych podobieństw. Badania Andreasa r. Pfenninga i współpracowników, których wyniki opublikowano w 2014 r. w „Science", dowodzą, iż nauka ludzkiej mowy i uczenie się śpiewu przez ptaki mają bardzo podobne podłoże neurologiczne oraz genetyczne.

Zarówno ptaki, jak i ludzie podczas uczenia się dźwięków wykorzystują podobną ekspresję genów w regionach mózgu zaangażowanych w wokalizację. Wśród genów, które są kluczowe dla tego procesu, są CNTNAP2, DAB1, FOXP1 i FOXP2. Wszystkie one są dobrze znane uczonym zajmującym się badaniem genetycznych podstaw autyzmu: niektóre ich wariacje korelują z występowaniem ASD i z problemami z nauką mowy.

Z pracy opublikowanej w 2021 r. w „Science Advances" przez Francisco Garcię Oscosa i współpracowników wynika, że osłabiona ekspresja niektórych z powyższych genów w mózgach zeberek (wróblowych ptaków śpiewających) skutkuje problemami z nauką śpiewu. Pisklęta tego gatunku uczą się słuchając dźwięków wydawanych przez rodziców i naśladują odgłosy na podobnej zasadzie, co małe dzieci, powtarzające głoski wypowiadane przez opiekunów. Choć te oraz inne badania nad „autystycznymi" zeberkami interesują badaczy przyczyn autyzmu, to jednak trudno w ich przypadku mówić o idealnej analogii do osób w spektrum.

Np. obniżenie ekspresji wymienionych genów w wokalnych regionach mózgu nie upośledza u ptaków tworzenia własnych pieśni, a jedynie utrudnia uczenie się ich od innych. Ponadto – jak zauważają autorzy przytoczonej publikacji – większość kombinacji dźwiękowych wydawanych ↦

↦ przez ptaki śpiewające sprowadza się do nawoływania partnera i sygnalizowania gotowości do obrony zajmowanego terytorium, podczas gdy w mowie ludzkiej pełno jest niuansów, z powodu których podobne lub nawet takie same dźwięki mogą kodować rozmaite znaczenia.

Ośmiornica na haju

Trudności w rozwoju mowy i rozumieniu pewnych kontekstów językowych są tylko jednym z codziennych zmagań osób z ASD. Wydaje się, że najbardziej nieuchwytnym i najtrudniejszym do skompensowania aspektem ich odmienności jest obniżona zdolność intuicyjnego rozumienia, co inne osoby myślą, czują, czego pragną, co chcą wyrazić. Wiele osób w spektrum potrafi porozumiewać się za pomocą mowy, ale ma problemy z uchwyceniem takich subtelności jak ironia, mowa ciała czy komunikaty wyrażane za pomocą mimiki.

Umiejętność mentalizacji, czyli stawiania się na miejscu kogoś innego i rozumienia jego stanowiska (psycholodzy mówią też w tym kontekście o posiadaniu „teorii umysłu"), jest bardzo złożonym procesem umysłowym, który wydaje się intuicyjny dla osób neurotypowych (wszystkich niebędących w spektrum). Jednak w rzeczywistości wymaga wielu miesięcy, a nawet lat nauki – niektóre aspekty teorii umysłu są osiągalne dla dzieci w wieku około 2 lat, inne zaczynają się rozwijać dopiero po skończeniu ok. 5. roku życia. W związku z tym część uczonych poszukujących objawów autyzmu u zwierząt uważa, że nie powinniśmy kłaść nacisku na kwestie społeczne (jak u makaków) czy wokalne (jak u ptaków śpiewających), lecz właśnie na aspekty związane z teorią umysłu. Proponowanymi zwierzętami do analizy objawów z tej grupy są... ośmiornice.

Układ nerwowy tych zwierząt jest zbudowany inaczej niż nasz. Podczas gdy my, kręgowce, postawiliśmy na centralizację (duży mózg, który zawiaduje niemal wszystkimi procesami), głowonogi stosują inne rozwiązanie: tylko 10 proc. tkanki nerwowej tych mięczaków przypada na właściwy mózg, kolejne 30 proc. na ogromne obszary wzrokowe i aż 60 proc. neuronów znajduje się w ramionach, które w wielu kwestiach mogą podejmować autonomiczne decyzje (np. w jaki dokładnie sposób uchwycić przedmiot).

Pomimo tych ogromnych różnic, od kilku lat wiemy, że ośmiornice wykazują szereg zaskakujących podobieństw do nas, jeśli chodzi o genetyczne podstawy rozwoju i funkcjonowania układu nerwowego. Niektórzy badacze uważają wręcz, że – ze względu na swój samotniczy tryb życia – są one „naturalnymi autystykami". Rozwinięty umysł i wyobraźnia w połączeniu z samotniczym trybem życia miałyby – np. zdaniem autorów pracy, która ukazała się w 2018 r. w „Current Biology" – czynić z ośmiornic idealnych kandydatów do testowania leków mających łagodzić niektóre objawy ASD. W złożonym z kilku etapów eksperymencie Eric Edsinger i Gül Dölen m.in. podawali głowonogom substancję będącą aktywnym składnikiem ecstasy – po to, by zwiększyć ich chęć socjalizowania się. Następnie badacze zmierzyli czas, jaki ośmiornice spędzały dobrowolnie w przegrodzie akwarium, w której przebywał inny osobnik. W części testów narkotyk zadziałał zgodnie z oczekiwaniami.

„Autystyczne" nicienie miały zaburzoną habituację. Nie przyzwyczajały się do stukania przez naukowców w naczynie, w którym się znajdowały.

Za dużo bodźców

Omówione dotychczas objawy autyzmu dotyczyły głównie zewnętrznych jego cech. Jednak mamy podstawy, by sądzić, że wewnętrzny świat autystyka jest znacznie bardziej skomplikowany, niż może się wydawać zewnętrznemu obserwatorowi. Jednym z typowych przejawów ASD jest bowiem utrudnione przetwarzanie lub integrowanie wrażeń sensorycznych. W efekcie osoby w spektrum często przejawiają nadwrażliwość na dźwięki, zapachy, światła lub inne bodźce, zwłaszcza gdy zostają poddane dużej ich ilości naraz. Z badań wynika, że ta nadwrażliwość sensoryczna może przynajmniej częściowo brać się z tego, iż u osób z ASD dochodzi do zaburzenia zjawiska habituacji.

Habituacja polega na zanikaniu reaktywności na powtarzalne bodźce. Przykładowo, długotrwałe przebywanie w gwarnym pomieszczeniu sprawia, że po pewnym czasie dźwięki, które nie mają dla nas istotnego znaczenia (rozmowy innych ludzi, odgłosy otoczenia), przestają być zauważane, wyodrębniane. Skupiamy się tylko na tym, co jest dla nas istotne, np. na prowadzonej konwersacji. W związku z tym, że u osób z ASD habituacja może nie przebiegać prawidłowo, część uczonych jest zdania, iż poszukiwania zwierzęcego modelu autyzmu nie powinny się koncentrować na analizie złożonych procesów społecznych czy kognitywnych u rozwiniętych zwierząt. Zamiast tego – uważają – winno się sięgać do źródła, czyli badać te organizmy, u których występuje tylko bardzo prymitywny sposób uczenia się, jakim jest właśnie habituacja.

Już w 1990 r. odkryto, że ulubiony nicień laborantów, czyli *Caenorhabditis elegans*, jest zdolny do nauki poprzez habituację. Jednak niedawno – w 2018 r. – przeanalizowano, jak wygląda habituacja „neurotypowych" nicieni, a jak tych, które posiadają warianty genów powiązanych z autyzmem. Aby przeanalizować reakcję tych bezkręgowców, Troy McDiarmid i współpracownicy stukali w naczynie, wytwarzając tym samym drgania roztworu, w którym znajdowały się nicienie. Badacze powtarzali tę czynność w kilku seriach, pomiędzy którymi robiono kilkuminutowe przerwy. Typowa reakcja bezkręgowca na odczuwane drgania to zastygnięcie na moment w bezruchu i powrót do aktywności po pewnym czasie. Neurotypowe *C. elegans* przy każdym kolejnym drganiu zastygały na krócej, co świadczy o tym, że proces habituacji zachodził u nich efektywnie: zwierzęta uczyły się, iż drganie nie wiąże się z żadnymi negatywnymi następstwami, i zaczęły je coraz bardziej ignorować. Inaczej zachowywały się „autystyczne" nicienie, których czas zastygania w kolejnych próbach nie zmieniał się, co świadczy o tym, że habituacja nie zachodziła u nich w prawidłowy sposób, zwierzęta nie wyciszały swojej reakcji na bodziec pomimo jego powtarzalności.

Psy i koty

Przytoczone dotychczas przykłady skupiały się na tych objawach „zwierzęcego autyzmu", które mają znaczenie głównie z perspektywy człowieka. Innymi słowy,

dotyczyły one badań, w których poszukiwano zwierzęcego modelu autyzmu. Można jednak postawić także pytanie, czy istnieje zespół autystycznych cech oraz objawów, które występują u zwierząt i powinny budzić nasze zainteresowanie nie ze względu na możliwe przełożenie danych na człowieka, lecz z uwagi na dobro samego zwierzęcia. Czyli czy wśród nas żyją zwierzęta ze spektrum autyzmu, które zmagają się z podobnymi problemami, co ludzie z ASD?

Anegdoty dotyczące zwierząt domowych często przedstawiają koty jako „autystyków z natury", ponieważ sprawiają one wrażenie istot skupionych na swoim wewnętrznym świecie, ceniących przestrzeń osobistą, często przejawiających zachowania, które nam, ludziom, wydają się dziwaczne. Jednak to, że potrzeby społeczne kotów różnią się od naszych, nie czyni oczywiście z tych zwierząt autystyków. Podobnie jak ośmiornice, koty z natury są samotnikami, dlatego nie są ewolucyjnie przystosowane do stadnego życia w takim stopniu jak my, ssaki naczelne. Nie znaczy to jednak, że kot nie może towarzystwa człowieka lubić; po prostu jego socjalizacja przebiega w inny sposób.

Skoro zwierzęta te, wyrażając dużą potrzebę przestrzeni osobistej, przejawiają swój naturalny behawior, nie może być u nich mowy o byciu w spektrum autyzmu. O nim można mówić bowiem u osobników, których mózgi działają inaczej niż mózgi większości przedstawicieli populacji. To powiedziawszy, należy zauważyć, że zarówno koty, psy, jak i inne zwierzęta towarzyszące o złożonych układach nerwowych mogą wykazywać objawy, które pod pewnymi względami przypominają autyzm.

Niektóre psy powtarzają to samo zachowanie i mają trudności w kontaktach społecznych. Wydaje się, że to jednak objawy demencji, a nie autyzmu.

Jedną z jednostek, które bywają przyrównywane do ludzkiego ASD, jest opisana w 2019 r. na łamach „Journal of Veterinary Medical Science" psia dysfunkcyjność poznawcza (CCD, ang. *canine cognitive dysfunction*). Na obecnym etapie nie ma podstaw, by sądzić, że podłoże etiologiczne (przyczynowe) obu tych jednostek jest analogiczne, jednak obraz kliniczny wykazuje pewne podobieństwa. U psów z CCD stwierdza się skłonność do powtarzalnych zachowań (np. kilkuminutowego ganiania za własnym ogonem), zaburzenia interakcji społecznych (z innymi psami, z ludźmi), problemy komunikacyjne (np. brak merdania ogonem, brak kładzenia po sobie uszu, brak kontaktu wzrokowego z opiekunem). Czworonogi z CCD często reagują nieadekwatnie na bodźce, a także źle się czują w nowych sytuacjach, miejscach, okolicznościach.

Opisuje się u nich również charakterystyczne zachowanie, które polega na zastyganiu bez ruchu i wpatrywaniu się w pustą przestrzeń, bez wyraźnej reakcji. Opisane objawy pod wieloma względami przypominają ludzki autyzm, jednak CCD – w przeciwieństwie do ASD – wydaje się być cechą związaną z wiekiem zwierzęcia, a nie zaburzeniem rozwojowym. CCD jest rozpoznawana przede wszystkim u psów w podeszłym wieku (powyżej 10 lat). Jako taka, jest raczej porównywana z ludzką demencją, a nie z autyzmem, choć nie jest wykluczone, iż pewne objawy psiej dysfunkcyjności poznawczej występują już w młodości, ale dopiero w wieku podeszłym stają się silnie wyrażone, ponieważ nakładają się na typowe zmiany starcze.

Wydaje się zatem, że nawet najprostsze organizmy – takie jak bezkręgowce – mogą wykazywać pewne cechy i wariacje genetyczne charakterystyczne dla autyzmu. Jednocześnie zespół wieloaspektowych objawów charakterystycznych dla ASD na chwilę obecną nie znajduje swojego dokładnego odpowiednika w świecie zwierząt. To by sugerowało, że genetyczne zmienne leżące u podstaw autyzmu są stare ewolucyjnie, ale ich złożona ekspresja i symptomatologia jest charakterystyczna dla naszego, ludzkiego umysłu. Albo że po prostu potrzebujemy w tej kwestii więcej badań.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

Copernicus Festival 2022: INFORMACJA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Do **NIEDZIELI 22 MAJA** trwa w Krakowie kolejna edycja Copernicus Festival, w tym roku poświęcona zagadnieniu informacji.

- Jak pisze **ŁUKASZ LAMŻA** – Pojęcie informacji przebojem wdarło się do wielu dziedzin nauki: od psychologii, przez biologię, aż po fizykę i kosmologię. I wszędzie są z nim problemy.
- Jak je rozwiązać? Zapraszamy do uczestnictwa w wydarzeniach festiwalowych. Spotkania odbywają się zarówno stacjonarnie, jak i w formie online – do zobaczenia na kanale **YOUTUBE.COM/COPERNICUSCENTER**
- Wśród gości i gościń festiwalu **EWA BARTNIK, DANIEL TAMMET** oraz **MICHAEL ROVATSOS** czy **KRYSTYNA KURCZAB-REDLICH.**

Katalog festiwalowy dostępny na **powszech.net/copernicus2022**

COPERNICUS FESTIVAL

REPR. DOROTA MARTA / MUFO / MATERIAŁY PRASOWE

Świat i obrazy

MICHAŁ SOWIŃSKI

Co robi zdjęcie? To niewinne pytanie, które jest tytułem nowej wystawy głównej Muzeum Fotografii, dotyka fundamentów naszego zbudowanego z obrazów świata.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

MUFO / MATERIAŁY PRASOWE

Aparat fotograficzny Duchessa Stereo, 1919-1922

Poniżej: Aparat fotograficzny Jump Shot WP, Japonia, 1993 r.

Na początku widzimy zdjęcie, powiększone na wielkość całej ściany – portret rodzinny w rustykalnym plenerze. Trzech mężczyzn, dwie kobiety i trzy dziewczynki. Wszyscy odświętnie ubrani, upozowani na tyle precyzyjnie, że relacje przestrzenne możemy bez trudu przełożyć na te familijne. Nie uśmiechają się, wszak pochodzą z innej epoki, gdy zdejmowanie wizerunku było wydarzeniem poważnym.

Pęknięcie

Swoją drogą, twórcy wystawy celowo używają potocznego słowa „zdjęcie", które zakorzeniło się w polszczyźnie szybciej (i chyba głębiej) niż „fotografia", co w skali świata jest słowotwórczą rzadkością. To od razu przesuwa akcent w stronę czynności – zdjęcie ktoś (lub się) robi. To akt rozłożony w czasie, który trwa dłużej niż sama ekspozycja światłoczułego materiału. „Robienie zdjęcia" to także wybór kadru i tła, aranżacja gestów – budowanie historii, którą chce się opowiedzieć obrazem. A to przecież nie koniec, bo „robienie" obejmuje także skomplikowany proces fizyczno-chemiczny, który odbywa się w ciemnościach pracowni fotograficznej. Dlatego dzięki polszczyźnie instynktownie rozumiemy, że mowa tu zarówno o materialnym obiekcie, jak i wysiłku, który prowadzi do powstania „zdjęcia".

Wróćmy więc na chwilę do tego otwierającego wystawę, zamieszczonego tuż obok wymalowanego dużymi literami pytania: „Co robi zdjęcie?". Tym, co jako pierwsze przykuwa wzrok, zanim w ogóle zrozumiemy, na co właściwie patrzymy, to czarna szrama, biegnąca ukośnie przez cały kadr. Każdy, kto choć raz w życiu przeglądał stare rodzinne albumy, bezbłędnie rozpozna ten rodzaj uszkodzenia.

Gdyby było to zdjęcie historycznie albo artystycznie istotne, zapewne zostałoby naprawione. Zdjęcia rodzinne rządzą się jednak innymi prawami. Po latach (w tym przypadku po blisko 150), gdy coraz trudniej zidentyfikować osoby sportretowane, to właśnie, owa czarna szrama zyskuje na znaczeniu. Chodzi już nie tyle o pamięć o konkretnych ludziach i relacjach, jakie ich łączyły, ile o pamięć jako taką. Uszkodzone zdjęcie to ślad emocji – ktoś je intensywnie kiedyś oglądał (może małe wnuki nie mogły się nadziwić, że dziadkowie nie zawsze byli starzy?), ktoś inny z czułością poskładał je w całość i wkleił z powrotem do albumu. To zdjęcie z pewnością w swoim długim życiu robiło wiele rzeczy.

ZE ZBIORÓW MUFO

Możliwości

Wystawa tak właśnie zaczyna swoją wielowątkową opowieść o tym, jak od pokoleń fotografia – jako obraz oraz jako proces – kształtuje nasze życie.

I na odwrót. Wędrując przez pierwszą część ekspozycji, możemy prześledzić, jak zmieniały się gusta i oczekiwania tych, którzy chcieli fotografować sami bądź byli gotowi płacić za gotowe już odbitki.

Świetnym tego przykładem może być historia Tadeusza Rzący (1886-1928), pioniera kolorowej fotografii w Polsce. To, co dziś wydaje się oczywiste, czyli utrwalanie świata w kolorze, na początku XX wieku oczywiste wcale nie było. I nie chodziło wyłącznie o wyzwania techniczne – pierwsze eksperymenty z kolorem miały miejsce już w latach 50. XIX wieku. Tyle że, podobnie jak nieco później w przypadku udźwiękowienia filmu, odejście od fotografii wyłącznie czarno-białej uważane było za wulgarne, ale też... nierealistyczne.

Część wystawy poświęcona Rzący świetnie dokumentuje zapał i wytrwałość, z jaką fotograf przekonywał – zarówno amatorów, jak i profesjonalistów – że świat w kolorze także jest wart ich uwagi. A jako że miał pracownię w Krakowie, to właśnie Królewskie Miasto ze swoim młodopolskim sznytem służyło mu najczęściej za model (no i oczywiście Tatry).

Rząca to tylko jeden z wielu przykładów artystów-rzemieślników, którzy eksperymentowali zarówno z formą, jak i z technologicznymi możliwościami fotografii. Na wystawie można spotkać wielu podobnych mu zapaleńców, którzy szukali nowych sposobów tworzenia obrazów. I chodzi tu nie tyle o sztukę (choć oczywiście zobaczymy także wiele gatunków artystycznych czy autorskich pomysłów), co przede wszystkim o zmagania z fizyczną materią tego wszystkiego, co składa się na „robienie zdjęć".

Dobrze to widać choćby w dalszej części ekspozycji, gdzie zgromadzono imponującą kolekcję aparatów. Możliwości i parametry techniczne to jedno, ale sama ewolucja ich designu to podana w pigułce historia narodzin i dojrzewania światoobrazu, w którym od dekad wszyscy jesteśmy zanurzeni.

Muzeum Fotografii w Krakowie posiada w swojej kolekcji przeszło 90 tysięcy zdjęć. To zbiór, który pozwala na ułożenie nieskończonej liczby opowieści na niemalże każdy temat. Jednak twórcy nowej wystawy stałej nie zalewają odwiedzających potokiem obrazów, gdzieniegdzie jedynie sygnalizują potencjał drzemiący w ich przepastnych archiwach. Zamiast tego proponują metahistorię o tym, jak kręta była droga, która doprowadziła nas do stanu współczesnego, czyli przesycenia świata obrazem do granic możliwości (i czasem poza nie).

Szacuje się, że dziś w ciągu godziny powstaje na świecie więcej zdjęć niż w całym XIX wieku. Tym bardziej warto zapytać: co one (z nami) właściwie robią? ©

Wystawę „Co robi zdjęcie?" przygotował prowadzony przez głównego kuratora dr. Dominika Kuryłka zespół kuratorski: Marek Janczyk, Monika Kozień, Marek Maszczak, Marta Miskowiec, Andrzej Rybicki. Za projekt architektury wystawy odpowiada studio Jaz+Architekci.
Wystawę można zobaczyć od 13 maja w MuFo Rakowicka (ul. Rakowicka 22A, Kraków): we wtorki, soboty i niedziele czynne w godz. 11-19, od środy do piątku w godz. 10-18.

KULTURA

TYSIĄC SŁÓW DZIENNIE

ŁUKASZ ORBITOWSKI, PISARZ:

Kiedy umierał mój ojciec, myślałem: chcę cieszyć się życiem. Bo jestem następny, bo już rośnie drzewo na moją trumnę. Poczucie straty było równoważone przez apetyt na życie.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: „Chodź ze mną" rzeczywiście ukończyłeś pisać w dzień urodzin Twojego ojca?
ŁUKASZ ORBITOWSKI: Szczerze?

Wyłącznie.
Nie pisałem przez dzień czy dwa, doczekałem do 20 grudnia i wtedy postawiłem ostatni akapit. Chciałem dopełnić symboliki.

Po co?
Bo ona kształtuje magię. Bo sztuka w ogóle jest magiczna, a drobne przypadki sprzyjają tej magii. Ojciec zmarł w 2017 r. Gdyby żył, miałby dziś 82 lata.

Co dało Ci jeszcze ukończenie książki, której osią są złożone relacje dziecka z rodzicami?
Pytasz, czy uzdrowiłem się tą książką? Nie. Rzeczy, które uwierały, dalej uwierają. I nie zrozumiałem niczego, czego nie pojmowałem wcześniej. Po prostu nazwałem pewne doświadczenie, które było moim udziałem i jest udziałem wielu ludzi. Po to także piszemy książki, by opowiedzieć historię wspólną w sposób wyjątkowy. I na tyle inną, by była ciekawa. Ktoś wtedy bierze do ręki Orbitowskiego, czyta i myśli: „też tak miałem" albo: „znam kogoś, kto tak ma", albo: „mam podobne doświadczenie i w życiu bym tak tego nie opisał, bo odczuwam to zupełnie inaczej". Mniej więcej taki jest sens tej pracy. Ale ja w pewnym momencie byłem dość przestraszony, bo przecież obiecałem sobie, że żadna książka nigdy nie będzie o mnie.

Dlaczego?
Po pierwsze na świecie jest osiem miliardów ludzi, z jakiego niby powodu miałbym pisać akurat o Orbitowskim? A po drugie, my artyści jesteśmy narcystyczni. I to jest ta cecha, która nie jest lubiana z bardzo słusznych powodów. Też jej w sobie nie lubię, w związku z tym chłoszczę tę narcystyczną potrzebę krzyczenia: ja, ja, ja.

Bronię się w literaturze przed autobiografizmem, lecz po ukończeniu „Chodź ze mną" zorientowałem się, że podobnie jak powieściowy bohater, sam kiedyś uciekłem za kobietą przez wodę. Choć w moim przypadku miało to mniej dramatyczny przebieg: pojechaliśmy autem przez most do Danii, zostawiając w Polsce życie stare i w Kopenhadze zaczynając nowe. Zobaczyłem tam, jak rozpada się nasza relacja, co się dzieje, kiedy ludzie na emigracji zostają zostawieni sami sobie. Nasz związek trwał krócej niż ten powieściowy, nie było w nim tak dużych dramatów i spektakularnych zwrotów akcji. Nie przynosiłem martwych zwierząt do domu i nie chlałem na umór od rana do wieczora, jak bohater mojej książki. Lecz atmosfera związana z brakiem życzliwych ludzi wokół i brakiem kierunku życia została mi w sercu. Kiedy powstawała „Chodź ze mną", nie miałem pojęcia, że piszę na poły o sobie.

JACEK TARAN

I nadal twierdzisz, że literatura nie ma mocy uzdrawiającej?
Może najbardziej uczyniła to „Inna dusza"? Ta książka tyleż wyleczyła mnie z mroku, co pchnęła ku dobru i światłu.

Ciekawe, bo to wyjątkowo ponura historia. Bohaterem jest nastoletni morderca rekrutujący się ze świata

blokowiska, gdzie triumfują wszelkie odmiany przemocy.

Ale nie zawsze reagujemy na życie tak, jak oczekiwałby podręcznik psychologii. Po „Innej duszy" wydałem jeszcze dość nieudany „Exodus". W tym samym czasie umierał mój ojciec. A ja myślałem: chcę cieszyć się życiem. Bo jestem następny, bo rośnie drzewo na moją trumnę. Poczucie straty było równoważone przez apetyt na życie. Zawsze miałem depresyjną naturę, a wtedy spróbowałem zrobić coś, by się z tego trochę wykaraskać.

Nadal po przebudzeniu przychodzą momenty rozpaczy, to nie odeszło. Ale świadomie staram się odwracać twarz ku słońcu.

ŁUKASZ ORBITOWSKI
(ur. 1977) jest pisarzem, autorem licznych opowiadań i powieści, m.in. „Exodus", „Tracę ciepło", „Kult". Ukończył filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutował na łamach miesięcznika „Science Fiction". Laureat m.in. Paszportu „Polityki" 2015 za książkę „Inna dusza". Właśnie w Świecie Książki ukazała się jego nowa powieść „Chodź ze mną". Na zdjęciu: w Krakowie, maj 2022 r.

A co z literaturą?

Podobnie. Czy ja napiszę coś bardziej ponurego i wstrząsającego niż „Inna dusza"? Nie. Bo jakbym napisał, to trzeba by się było wziąć i zabić. Dlatego inaczej spojrzałem na swoje książki, skupiłem się w nich na prostych, zwyczajnych, elementarnych rzeczach i sprawach. A przede wszystkim na tym, że życie jest i straszne i śmieszne, i słodkie i gorzkie, i wzniosłe i podłe.

Jak życie bohaterów „Chodź ze mną"?

Ta powieść mnie samego zaskoczyła. Kiedy zabierałem się za nią, a był to czas pandemii – chciałem napisać książkę, ↦

↦ która by była ciepło sentymentalna, która by opowiadała o dawnych dobrych czasach. Że jest miłość, co prawda kończy się fatalnie, bo tak się kończy większość miłości, ale tłem jest Gdynia i epoka, która ładnie poddaje się mitologizacji, czyli lata 50. – początki komuny.

I?

Klapa. Opsnąłem się w mroku. W pewnym momencie to dostrzegłem, a mimo to nie potrafiłem się zatrzymać. Dociągnąłem tę historię do ostatniego zdania.

Co potem?

Pisanie od początku. Miałem wielką ambicję poprowadzenia narracji „Chodź ze mną" z perspektywy kobiety. Kiedy byłem młodszy, wydawało mi się, że mogę napisać wszystko, każdy powieściowy gatunek, z każdej perspektywy. A to okazało się nieprawdą.

Długo drwiłem z Jerzego Pilcha, ponieważ uważałem, że pisał cały czas jedną książkę: wciąż wałkował te same miejsca, wątki, postaci, figury. A teraz pojąłem, że i ja piszę jedną książkę, a eksperymenty mi nie służą. To nie jest wygoda, bo rok pracy skasowałem. Lecz okazało się, że moim jest wąski styl wypowiedzi – bezczelnej, chłopackiej, kolokwialnej, łączącej język literacki z mową potoczną. I na pewno nie umiem pisać z perspektywy kobiety. Ale za to mogę literaturą wiarygodnie ulepić kucharza, stolarza, fryzjera. Rozmawiasz teraz z człowiekiem, który może chciałby śpiewać arie operowe i mieć cztery oktawy, a okazuje się, że jego przeznaczeniem jest bycie punkowym wokalistą i darcie mordy.

To też sztuka.

Porażka jest wpisana w zawód pisarza. Spójrz na bibliografię pisarzy, tych największych, choćby na mojego ulubionego Cormaca McCarthy. Czy on napisał same dobre książki? W żadnym razie. „Strażnika sadu" – to jego debiut – nie da się czytać. A obok mamy „Krwawy południk", „Drogę", „Dziecię boże" – genialne powieści, w których jest mnóstwo zła i równie ogromna tęsknota za dobrem. McCarthy mądrze pochyla się nad zwykłym człowiekiem, choć nie posiada względem niego żadnych oczekiwań. Kiedyś próbowałem go naśladować, ale nie wyszło. Zresztą naśladowanie kogokolwiek to głupi pomysł. Nie wyobrażam sobie, aby można było od literatury oczekiwać czegokolwiek więcej, niż jest w tych książkach Cormaca.

> Kiedy przeprowadzam na moich dzieciach proces wychowawczy, orientuję się, **że mówię moim ojcem.** Te same słowa, podobne gesty, bardzo szorstka czułość. Mój ojciec umarł, lecz teraz żyje we mnie. Przedziwny rodzaj nieśmiertelności.

A pisarstwo Romaina Gary'ego, któremu w „Chodź ze mną" składasz podziękowania?

Nie powinienem tego robić, ponieważ autor nie żyje i nic go to nie obchodzi. Ale zmierzam przede wszystkim do tego, że on też jest autorem raptem jednej udanej powieści – „Obietnicy poranka".

Gary napisał dużo więcej książek, ale to jakby zupełnie ktoś inny pisał. Nie byłem w stanie ich doczytać. Z tym Romainem było tak, że kiedy skasowałem pierwszą wersję „Chodź ze mną", to się wystraszyłem. I w ramach odstresowania, jak prawdziwy Polak, udałem się z rodziną do Grecji na wczasy all inclusive. W Grecji serwują genialny wynalazek, piwo z lodu – zanurzone w wodzie kufle, z których pije się piwo. Piłem więc to piwo i czytałem „Obietnicę poranka" – najpiękniejszą książkę o rodzicach i dziecku, jaka istnieje. I wybuchło. Stąd podziękowania.

Samo życie Gary'ego też jest tematem na powieść. Jako dziecko uciekł z matką z bolszewickiej Rosji. Studiował prawo w Paryżu. Gdy tylko wybuchła wojna, wstąpił do francuskich sił zbrojnych, latał na bombowcach. Po 1945 r. rozpoczął karierę dyplomatyczną. Jako jedyny otrzymał dwukrotnie prestiżową nagrodę Goncourtów. Nieszczęśliwy w miłości. Druga żona zmarła śmiercią samobójczą. On też popełnił samobójstwo.

Są pisarze bardzo literaccy w tym sensie, że wyrastają z literatury i literaturą się posiłkują, z literatury cudzej tworzą swoją własną, tu przykładem jest Witek Szostak. A są też tacy, którym musi się w życiu coś tam mielić, by mogli pisać. Ale to nie muszą być jakieś wielkie rzeczy. Dla mnie punktem zwrotnym czysto literacko był fakt, że w wieku 40 lat założyłem rodzinę. I to rodzinę patchworkową. Nagle pojawiła się Klaudia i potem bach, podziało się. Teraz jest nas czwórka: my i nasi synowie. A wcześniej całe lata żyłem burzliwie, zmieniałem miasta i związki. Stanowczo za dużo balowałem, wikłałem się w sytuacje co najmniej niebezpieczne.

A konkretnie?

Związane z osobliwym pozyskiwaniem funduszy na życie.

To dla pisarza inspirujące?

Te wszystkie doświadczenia składają się na to, co teraz piszę. Plus kino. Bo bardzo mało czerpię z literatury, a mnóstwo z filmów. Zdaję sobie sprawę z tego, że dość dobrze władam tzw. językiem literackim, ale on jest przecież cały czas nasiąknięty kolokwializmem. W ogóle moim ideałem jest literackie odtworzenie gawędy. Dopiero jak sczytywałem „Chodź ze mną", uświadomiłem sobie, co ja tam naprawdę zrobiłem. Końcówka tej książki – która, mam nadzieję, kogoś zaskoczy – wzięła się stąd, że mój tato był gawędziarzem. Pod koniec życia chorował i zdolność mowy utracił, ale dalej prowadził życie towarzyskie, w którym zdarzało mi się z nim uczestniczyć. I zorientowałem się, że ja opowiadam ojca anegdoty. Dbając o tę samą dramaturgię, kładąc akcenty tam, gdzie on je kładł – identycznie.

Co jeszcze?

Kiedy przeprowadzam na moich dzieciach cały proces wychowawczy, to orientuję się, że mówię moim ojcem. Te same słowa, podobne gesty, jakaś bardzo szorstka czułość. Żartuję nawet w ten sam sposób. Bo to jedyny wzorzec rodzicielski, jaki znam. W konsekwencji tego wszystkiego zrozumiałem, że na tym polega przedziwny rodzaj nieśmiertelności. Mój ojciec umarł, lecz teraz żyje we mnie. Rzecz jasna nieosobowo, nie ma we mnie jego ducha. Jego obecność ujawnia się w obszarach, w których bym się nie spodziewał. Jest i dalsza perspektywa: ojciec miał też ojca, ich stosunki były różne i całkiem prawdopodobne, że on zdobył podobne doświadczenie do mojego. Dlatego obok ojca istnieje we mnie również dziadek.

I ojciec dziadka.

Jestem naczyniem umarłych. Jeżeli moi synowie założą własne rodziny, a ja już będę w grobie, to będą być może powtarzali te frazy i stosowali metody wychowawcze, których ja używam. I mój dziadek, mój ojciec i ja będą żyli w nich.

Co jest w Tobie jeszcze z ojca, którego jeden z obrazów wisi w stałej kolekcji Muzeum Narodowego?

Może pracowitość? Choć inna jest procedura powstawania obrazu, a inna powstawania książki. Ja piszę książkę w rok, a stary machnął obraz w tydzień, może trzy dni. Malarstwo jest bardziej podkorowe – z podświadomości łatwiej uwalniają się treści.

Na ścianie za tobą wiszą trzy obrazy: te dwa białe i ta ósemka. I historia jest taka, że te dwa dostałem od ojca, kiedy byłem dzieckiem. Na pierwszym roku studiów wyprowadziłem się z domu i zabrałem je ze sobą. Wziąłem jeszcze ten trzeci, który tutaj wisi, ten malutki. I to są właściwie jedyne rzeczy, które mam z dzieciństwa. Nic więcej, żadnej książki, figurki, bibelotu. O, a tu jest jeszcze moja karykatura z 1993 r., też autorstwa ojca. Tak kiedyś wyglądałem. I obawiam się, że nadal tak wyglądam.

Jak tata malował?

Fazowo: non stop przez tydzień. Malował, kładł się, wstawał i malował. Czasem się nie kładł, tylko malował, malował. Jego pracownia wyglądała jak warsztat rzemieślnika, bo on mało używał pędzla. Budował swoje obrazy z kartonów, z deszczułek, z tektur. Pochylony nad stołem, w ręce nożyk, jakieś linijki, szkice do obrazu, i on to docinał. Wkoło kleje, pilniki, sznurki.

Słuchał wtedy muzyki?

Raczej pracował w ciszy. Muzyka to był jeden z pierwszych punktów sporu pomiędzy nami. On nie rozumiał, że dla dzieciaka muzyka metalowa, w ogóle muzyka, staje się całym światem.

Dla Ciebie chyba nadal jest całym światem. Patrzę teraz na Twój czarny T-shirt z Owls Woods Graves.

Bez przesady z tym całym światem. Mówimy o pewnym dziwactwie, na które ośmielam sobie pozwolić. Z dawnych lat zostały tylko dobre wspomnienia. W ojca pokoleniu ważniejsze były książki, dyskusje o sztuce, to go budowało. A sytuacje, w których syn określa siebie przy pomocy wrzasków, okładek i paskudnej estetyki, były powodem do troski. Oceniał, że ta głupia muzyka zawróci mnie z dobrej drogi.

Mogła?

Mogła. Ale dała mi coś wartościowego: wspólnotę, przynależność. A za tym poszły przyjaźnie, które przetrwały, do dziś, i miłości, które nie przetrwały i bardzo dobrze. Mając 16 lat zdefiniowałem siebie: jestem metalowcem. Bo rok wcześniej nie miałem pojęcia, kim jestem. Kiedy już nauczyłem się mówić, kim jestem, to zacząłem zastanawiać się, kim bym chciał jeszcze być. Oraz kim chcę być dla innych. Chyba to Martin Buber zauważył, że my zawsze jesteśmy lepsi w relacji z drugim człowiekiem.

A ojciec moimi kolegami był przerażony. Oczekiwał, bym przyjaźnie lokował raczej w wyższych sferach.

Co to byli za koledzy?

Dla mnie najważniejszą postacią z tamtego czasu jest Lechu; jeśli w środowisku metalowców wypowiesz to imię, nic nie musisz dodawać, wiadomo, o kogo chodzi. I wtedy Lechu dla mnie stał się trochę *father figure* – ja miałem 14 lat, on 23. W najmroczniejszych czasach krakowskiego black metalu Lechu był posiadaczem dwunastometrowego mieszkania na Stradomiu, ze ścianami pomalowanymi na czarno, na jednej widniał Baphomet. To był czas, kiedy Norwedzy palili kościoły, a myśmy tylko pili jabole, gadali o nienawiści do Boga. I jednocześnie było to miejsce, gdzie mogliśmy przyjść ze swoimi problemami, porozmawiać o nich, być wysłuchanym. Zdarzały się różne grube akcje, kiedyś pocięliśmy się nożami, bo wtedy myśmy metal traktowali poważnie, chcieliśmy być mroczni i źli. Co oczywiście nam nie wyszło.

Tak więc w wieku lat nastu znalazłem nowy dom, w kontrze do tego rodzinnego. Nie wchodząc w szczegóły, życie rodzinne nie zawsze było dla mnie łaskawe. A środowisko przyjacielskie skupione wokół Lecha i nie tylko zaczęło mi zastępować rodzinę. Bo pewne rzeczy w życiu mi nie wyszły, lecz udało mi się je zastąpić innymi. ↦

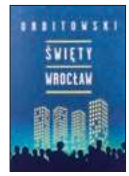

▪ ŚWIĘTY WROCŁAW, 2009

Połączenie horroru z powieścią obyczajową. Akcja toczy się na wrocławskim osiedlu, którego mieszkańcy odkrywają, że mury ich bloków zbudowane są z czarnej substancji. Miasto ogarnia histeria. Srebrne wyróżnienie Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego.

▪ SZCZĘŚLIWA ZIEMIA, 2013

Historia piątki przyjaciół z prowincjonalnego Rykusmyku. Poszukują czegoś, co wyrwie ich z marazmu i rozczarowania życiem. Autor pokazuje, że czytelnika można przestraszyć nie wyrafinowanym morderstwem, lecz samym człowiekiem, tym, co ma do zaoferowania światu.

▪ INNA DUSZA, 2015

Fikcja na podstawie doniesień z sali sądowej, gdzie na ławie oskarżonych zasiadł nastoletni morderca. Bydgoszcz, lata 90., raczkujący kapitalizm, zachłyśnięcie się zachodnim stylem życia. Wątek kryminalny to pretekst do wiwisekcji stanu duszy zbiorowej. Paszport Polityki, nominacje do nagród Nike i Gdynia.

▪ KULT, 2019

Tłem są objawienia maryjne w Oławie w roku 1983. Opisana z reporterskim pazurem małomiasteczkowa, PRL-owska społeczność – jej problemy, konflikty i marzenia. Tyleż krytyka instytucji Kościoła, co dotknięcie tkwiącej w człowieku potrzeby cudu.

▪ CHODŹ ZE MNĄ, 2022

Miłość polskiej studentki stomatologii i kapitana sowieckiego krążownika spleciona z opowieścią o kulistym tajemniczym przedmiocie, który pół wieku temu miał się pojawiać na gdyńskim niebie. Łącząc realizm z fantastyką, autor zajmuje się elementarnymi relacjami międzyludzkimi: kobiety i mężczyzny, matki i syna, ojca i syna.

Ojciec interesował się Twoim pisaniem?

Trochę. Ale myśmy się słabo rozumieli w tym zakresie. Nie pojmował literatury fantastycznej. Dla niego Tolkien to były jakieś bzdury. Wiedział, że Lem jest ważnym pisarzem, tyle że go nudził. A już ten cały zalew książki makabrycznej spod znaku Stephena Kinga, Grahama Mastertona, Jamesa Herberta, Clive'a Barkera, którymi się wtedy fascynowałem, uważał za kolejne moje niezdrowe zainteresowanie. A ja właśnie dzięki tym autorom zostałem pisarzem. Bo chciałem być autorem horrorów, a nie powieści obyczajowych. Tylko znów okazało się, że nie umiem pisać horrorów tak, jakbym chciał.

Jak King byś chciał?

Nie zawsze jest tak, że to, kim jesteśmy, zawdzięczamy wielkim ludziom. Ja jestem zrobiony z gówna. Ukształtowały mnie gówniane filmy, gówniane gry, gówniana muzyka i gówniane okładki. Ale tutaj muszę podkreślić jednak rolę rodziców: przysłużyli mi się bardzo z tego względu, że zwłaszcza ojciec, przerażony moim gustem literackim, zaczął podrzucać mi dobre książki, w tym właśnie „Obietnicę poranka". Wtedy zrozumiałem jedną bardzo ważną rzecz: można zamknąć „Miasteczko Salem" Stephena Kinga i otworzyć „Wybrańca" Tomasza Manna. I oczywiście nikt o zdrowych zmysłach nie powie, że Stephen King jest równy Tomaszowi Mannowi, ale każda literatura ma swoje miejsce i można z niej czerpać. Nie ma czegoś takiego, jak *guilty pleasure*. Jak masz *pleasure*, to czemu czujesz się *guilty*?

I jeśli moja miłość do Mastertona i Kinga przeminęła, pozostał zaledwie sentyment, to Marka Twaina do dziś uwielbiam. Twain uczy, jak pisać okrutną prawdę nie tracąc życzliwości, ma dar zawierania postaci ludzkiej w paru zdaniach, oddania indywidualnej prawdy o człowieku w bardzo prostych słowach. Tego sam ciągle się uczę. Prostoty.

Mając 16 lat zdefiniowałem siebie: jestem metalowcem. Ojciec oceniał, że głupia muzyka zawróci mnie z dobrej drogi. Mogło tak być, ale za to dostałem coś wartościowego: wspólnotę, przynależność. Za tym poszły przyjaźnie, które przetrwały do dziś.

Co Cię jeszcze stworzyło jako pisarza?

Kasety wideo z kiepskimi filmami. Na mnie ta kultura spadła w krótkim czasie w końcówce lat 80. Jeździłem na giełdę elektroniczną i brałem dziesięć kaset, w domu był magnetowid i oglądanie, oglądanie. Z jednej strony „Czas Apokalipsy", „Łowca jeleni" i „Mechaniczna pomarańcza", z drugiej „Conan Barbarzyńca", „Terminator", „RoboCop". A między tym jeszcze skitrane przed rodzicami pornosy i erotyki. Kiedyś jakiś absolutnie groszowy gniot o potworach pokazałem ojcu, a on przerażony mówi: „Cóż to za kretyństwo!". A potem się okazuje, że te filmy mają swoje miejsce w historii kina.

Powiedziałeś o warsztacie ojca, a nic o swoim.

Pisywałem w samolotach, lubię pisać w pociągu i w kawiarni. Dobra jest cisza, ale harmider też mnie nie dekoncentruje. A w domu siadam przy tym stole w kuchni. W głowie mam koncept – rodzi się, gdy spaceruję, choć moja Klaudia nie uznaje tego za pracę. Nie pracuję też nad poszerzeniem ciągu Fibonacciego, tylko przygotowuję książkę, to nie jest aż tak trudne.

Nie jest?

Z jednego względu jest: chcesz jednak, by książka miała wartość i była czymś więcej niż tylko tym, co się podoba ludziom.

Czyli?

Czymś, co czytelnik przeżyje do kości.

Spędza Ci to sen z powiek?

Piszę od poniedziałku do piątku po trzy godziny, 1000 słów, muszę się w tym zmieścić. I nie dlatego, że jestem leniwy, ale wiem, że inaczej się nie da. Z jednej strony ja to muszę napisać najlepiej jak się tylko da, a z drugiej strony wychodzą mi tylko rzeczy, które tworzę bez kontroli. Jak napnę się, zacznę kombinować, to w efekcie nic nie wychodzi. A jak siadam i po prostu piszę – pyk, pyk, tak jak mówię teraz do ciebie – to opowieść zaczyna wychodzić. Znów możemy posłużyć się przykładem muzycznym: „Paranoid" Black Sabbath powstał w godzinę, ale przedtem panowie się ograli, mieli perfekcyjny warsztat i kulturę muzyczną. Identycznie jest z literaturą. Wiesz, jaka marzy mi się sytuacja? Wyłącznie zbieram materiały, notuję, wymyślam. To jest piękny i twórczy etap, a pisanie to nuda niedająca żadnej radości.

Nie wierzę.

Wiem, co chcę osiągnąć, mam całą powieść w głowie. Jej nanoszenie, pisanie zdanie po zdaniu, to dość monotonna przygoda. A efekt zawsze wypada gorzej, niż sobie wymyśliłem. Najlepsza napisana książka nie przebije tej wymarzonej. Poza tym to przecież nienormalna sytuacja, by swoje życie zawierzać fikcji, by żyć z wymyślonymi postaciami i obracać w głowie nieistniejące przedmioty. Pamiętam, że będąc bardzo młodym człowiekiem, przeżyłem szok zorientowawszy się, że większość ludzi nie fantazjuje, że w swoich głowach nie buduje fabuł, nie roztrząsa alternatywnych zakończeń filmów. Ogromnym ciężarem jest życie w świecie bez fantazjowania.

A ponieważ ja żyję w dwóch światach, w związku z tym ten realny, który często boli i uwiera, daje się łatwiej znieść dzięki temu zmyślonemu. Może nie smucisz się mniej, ale bardziej cieszysz się z życia.

©℗ Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się postępowanie o zasiedzenie działek nr 168 i 169 obręb 0021 w Stanisławowie, których właściciel jest nieustalony.

Sąd wzywa, aby zainteresowani, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci.

CURTIS HILBUN / MEGA / FORUM

Dolly Parton w parku rozrywki Dollywood w Wildwood Grove, Tennessee, USA, 10 maja 2019 r.

Dolly z niedoli

JAN BŁASZCZAK

Wspiera naukowców i pogorzelców. Jest religijna i progresywna obyczajowo. Wśród jej wiernych fanów znajdują się emerytki z amerykańskiego Południa, młode gwiazdy hip-hopu i środowisko LGBTQ+.

Istnienie kogoś takiego jak Dolly Parton zakrawa na cud. Przynajmniej dzisiaj. Przynajmniej w Stanach Zjednoczonych. Kraju rozdartym politycznie i światopoglądowo, gdzie podział na Północ i Południe manifestuje się nie tylko na wyborczych mapach. Barwy Republikanów i Demokratów bledną jednako, gdy pojawia się ona. Ikona country, gwiazda show-biznesu, właścicielka najczęściej komentowanej figury w historii prasy brukowej.

Dwa w jednym

Parton to głos białego Południa. Powierniczka tradycji, rzeczniczka spracowanego ludu i „starych dobrych czasów". Wierna żona i przykładna chrześcijanka, która podczas gali Country Music Association Awards w 1989 r. porwała publiczność spektakularnym wykonaniem wielkanocnej pieśni „He's Alive" (tak, chodzi o Zmartwychwstałego). Właścicielka restauracji przenoszącej klientów w czasy wojny secesyjnej, która nigdy nie zapomniała o swoich rodzinnych stronach. O Tennessee, o południowych Appalachach, o biednych rolniczych osadach. Artystka nie tylko wraca do nich w swoich utworach, ale także inwestuje tam swoją fortunę i prowadzi wyjątkowo szczodrą działalność charytatywną.

Parton to głos postępowej Północy. Poczynając od występu w głośnym filmie „Od dziewiątej do piątej", artystka pracuje na miano ikony feminizmu. W komedii Colina Higginsa wciela się w atrakcyjną sekretarkę Doralee Rhodes, która związuje swojego opresyjnego szefa w jego własnym gabinecie. Oczywiście to fikcja, ale Parton miała już wówczas bogate doświadczenia w rozpychaniu się w rządzonym przez mężczyzn show-biznesie. Mało tego, w jego najbardziej konserwatywnym zakątku, bo mówimy przecież o Nashville, stolicy muzyki country.

Nie tylko walczyła o miejsce kobiet na scenie, ale także oddawała im głos w swoich piosenkach. Zawsze śpiewała o biednych, poturbowanych przez męski świat, ale przecież dumnych mieszkankach prowincjonalnej Ameryki. Ze względu na nie nigdy nie zmieniła swojego wizerunku. Ze względu na nie już jako międzynarodowa gwiazda chętniej grała barmanki i pracownice seksualne niż wielkomiejskie bogaczki. Parton uważa, by nikogo nie wykluczać – a przeciwnie, odtrąconych otaczać szczególną opieką. Między ↦

↦ innymi dlatego jest tak wielbiona przez młode raperki i środowisko LGBTQ+.

Na przestrzeni dekad Parton nauczyła się zgrabnie manewrować pomiędzy oczekiwaniami tak różnorodnych grup odbiorców. Dobrym tego przykładem są jej odpowiedzi na pytania o feminizm. Gwiazda country przytacza kolejne postulaty ruchu, podkreślając ich wagę i centralne miejsce dla jej systemu wartości. Na koniec dodaje mimochodem, że sama nigdy nie nazwałaby się „feministką".

Inna sprawa, że Parton nie musi się przesadnie trudzić, by przekonać do siebie jakąkolwiek z grup. Zwłaszcza w ostatnich latach jej odbiorcy nabrali wyjątkowej zdolności tłumaczenia swojej idolki. W eseju „The Dolly Moment" profesor Tressie McMillan Cottom brawurowo obaliła wskazała, że status gwiazdy country jest raczej efektem ubocznym podziałów we współczesnym amerykańskim społeczeństwie. Autorka twierdzi, że nasilający się w ostatnich latach kult Parton to bezpieczny zamiennik, erzac dla trudnej miłości do kraju. Jej twórczość nurza się w nostalgii, jest na wskroś amerykańska, ale jest w niej również czułość, troska, zrozumienie dla drugiego człowieka. Kochać Parton to jak kochać Amerykę bez Guantanamo, Wall Street i zatrutej wody we Flint w stanie Michigan.

Obu stronom sporu zależy, by Parton utrzymała swój święty status. A piekielnie zdolna i obdarzona wspaniałym poczuciem humoru artystka dba, by nie było to zadanie szczególnie trudne.

Cena niezależności

W ostatnich latach o Parton bywało głośno przede wszystkim za sprawą jej działalności charytatywnej. W 2016 r. artystka postanowiła wesprzeć 900 rodzin dotkniętych pożarami w Karolinie Północnej i jej rodzinnym Tennessee. Przez pięć miesięcy poszkodowani otrzymywali od jej fundacji wsparcie w wysokości 1000 dolarów, by w ostatnim dostać kolejne 5000. Kiedy wybuchła pandemia Covid-19, Parton również sięgnęła głębiej do kieszeni. Gwiazda country postanowiła wspomóc firmę pracującą nad szczepionką na koronawirusa. Dobrze nam znana firma Moderna otrzymała od niej dofinansowanie w wysokości 1 miliona dolarów.

Dobrą sławę Parton zawdzięcza jednak nie tylko swojej szczodrości. Z pozytywnym odbiorem spotkała się jej pierwotna decyzja, by w kulturalny, aczkolwiek stanowczy sposób odrzucić nominację do Rock and Roll Hall Of Fame, czyli panteonu sław od Abby i AC/DC po Franka Zappę i ZZ Top. Podkreślała, że nigdy nie czuła się częścią tego muzycznego świata. Owszem, Rock and Roll Hall Of Fame od lat przyjmuje do swojego grona artystów związanych z różnymi gatunkami (choćby Louisa Armstronga), ale Parton niekoniecznie musiało to odpowiadać. O tym, że z dużą ostrożnością podchodzi do prezentowania swojej twórczości w kontekście innym niż country czy bluegrass, świadczą zresztą jej kilkuletnie wątpliwości dotyczące występu na brytyjskim festiwalu Glastonbury. Ostatecznie artystka dała się przekonać, a jej koncert zgromadził 180-tysięczną publiczność – ówczesny rekord frekwencyjny imprezy.

Jest na wskroś amerykańska, ale jest w niej również czułość i troska.

Kochać Parton to jak kochać Amerykę bez Guantanamo, Wall Street i zatrutej wody we Flint w stanie Michigan. Każdy by takiej chciał.

Zapewne jest jeszcze jeden powód, dla którego Parton nie chciała przyjąć zaproszenia ze strony Rock and Roll Hall Of Fame. W oświadczeniu napisała, że ta nominacja jej schlebia, natomiast nie chciałaby zabierać głosów innym. Rzeczywiście, w procesie wyłaniania nowych członkiń i członków tego grona bierze udział liczne grono ekspertów. Dla przykładu, w 2019 r. spośród 15 nominatów wyłonionych zostało 7 artystów, którzy dołączyli do tego prestiżowego grona. Nawet jeśli Parton trafiłaby do niego za pierwszym razem, sama wizja tego, że ktoś inny – przy jej statusie artystycznym – ma decydować o jej muzycznej jakości, mogła być trudna do przyjęcia.

Ostatecznie po pojawieniu się kilku tuzinów artykułów pochwalających niezależność Parton, gwiazda zdecydowała się przyjąć nominację. Po co więc ten teatr? Ktoś mógłby zwrócić uwagę, że odmowa artystki i wywołany przez nią szum zaskakująco zbiegł się z premierą jej nowej płyty „Run, Rose, Run". Nikt jednak nie śmiał tego zrobić.

Inna sprawa, że Parton zawsze bardzo wysoko ceniła możliwość decydowania o wszystkich aspektach swojej kariery. I w tych kwestiach rzadko odpuszczała. W 1979 r. wyceniła ją na milion dolarów, godząc się na ugodę z Porterem Wagonerem – piosenkarzem country, jej mentorem i gospodarzem programu telewizyjnego, w którym towarzyszyła mu przez pierwsze lata swojej kariery. Kiedy go opuściła, muzyk zażądał zadośćuczynienia, m.in. w postaci procentów od przyszłych dochodów podopiecznej. Parton wolała zapłacić bajońską sumę, niż wiązać z Wagonerem swoją przyszłą karierę.

O tym, że było warto, przekonała się niedługo później, kiedy nagrała utwór „I Will Always Love You". Piosenka nie tylko stała się przebojem, ale o jej nagranie zabiegał sam Elvis Presley. Entuzjazm Parton w związku z tą propozycją zgasł, kiedy jego menadżer zażądał, by wraz z nagraniem coveru połowa praw do tej kompozycji automatycznie przeszła na Presleya. Ku zdumieniu wszystkich, Parton odrzuciła jego propozycję. Wolała zaryzykować, niż działać nie na swoich warunkach. I znów ta decyzja bardzo jej się opłaciła. Piosenka nie tylko powróciła na pierwsze miejsce list przebojów w latach 80., ale zaliczyła ogromny sukces w kolejnej dekadzie, gdy Whitney Houston wykonała ją do filmu „Bodyguard". Ta ostatnia wersja utrzymywała się na pierwszym miejscu listy przebojów przez czternaście tygodni. Parton żartowała później, że za pieniądze, które przyniósł jej ten cover, mogłaby kupić sobie Graceland – słynną posiadłość Presleya.

Nowe ścieżki pod szklanym sufitem

Ta pewność siebie jest tym bardziej imponująca, że na tym etapie za Parton nie stała potężna wytwórnia czy zamożna rodzina, która mogłaby zamortyzować jej ewentualny upadek. Artystka w brawurowy sposób wytyczała ścieżkę w przemyśle muzycznym nie tylko sobie, ale także jej wielu następczyniom. We wspaniałej książce „She Come By It Natural" pisarka Sarah Smarsh tak pisze o początkach artystki: „Wyjechała z domu na własną rękę, będąc kobietą o konkretnych aspiracjach, która pomimo braku finansowych środków pokazywała, że chce lepszego życia, i wierzyła, że na nie zasługuje. A przecież nie istniał model takiej ścieżki, poza tym, co sobie wyobraziła".

W dalszej części swojej książki Smarsh rysuje społeczno-kulturowy kontekst, który towarzyszył Parton na pierwszym etapie jej kariery. Zwraca uwagę, że postępujące zmiany obyczajowe czy cywilizacyjne, które kojarzymy z latami 60. i 70., niekoniecznie docierały do stolicy country: „Nawet jeśli do tego czasu na amerykańskim szklanym suficie pojawiły się pierwsze pęknięcia, to Nashville znajdowało się dokładnie pod najsolidniejszą z szyb".

Według autorki w stolicy stanu Tennessee wciąż panowały te same realia, z którymi mierzyła się Patsy Cline w latach 50. Kontrakt fonograficzny, który podpisała wówczas wschodząca gwiazda country, gwarantował jej połowę męskiej stawki i przenosił całość jej autorskich praw na rzecz wytwórni. Mimo to Cline uważała taki obrót spraw za bardzo korzystny, biorąc pod uwagę, że jej poprzednią pracą było podrzynanie gardeł kurczakom przy taśmie.

Alternatywy Parton wcale nie były lepsze, tym większy szacunek budzi jej ideowe, pryncypialne podejście do muzyki. Nie oznacza to, że artystka wzbraniała się przed kompromisami. Najlepszym tego przykładem jest godzenie się na rolę asystentki w telewizyjnym programie Wagonera, który – pomijając wszystko inne – wymagał od niej ciągłego meandrowania w morzu seksizmu. Parton robiła przy tym wiele, by stać się częścią tej zmaskulinizowanej branży. W tym celu zaczęła nawet grać w golfa.

Inna sprawa, że w tekstach swoich piosenek ze wszystkich sił próbowała zachować niezależność, a nawet iść pod prąd. Konsekwentnie podważała obraz kobiety w muzyce country. Obnażała fałsz podziału na święte i rozpustnice. Bohaterka utworu „The Bargain Store" z 1975 r. porównuje się do towaru – używanego, trochę zniszczonego, ale wciąż w dobrej kondycji. Decydenci z wielu stacji radiowych uznali, że piosenka dotyczy prostytucji, i usunęli ją z playlist. Jeszcze większy problem mieli z utworem „Down from Dover" – przebojem opowiadającym o ciężarnej, która naiwnie czeka na powrót swojego kochanka. Ostatecznie bohaterka rodzi martwe dziecko, co odbiera za rozstrzygający znak, że chłopak nigdy do niej nie wróci.

Smarsh tak pisze o tych utworach: „Parton opowiada gotyckie historie o kobietach, które są jednak zbyt prawdziwe, by liczyć na emisję na falach radiowych. (...) Wiele z nich opowiada o kobietach, które właśnie mają się wyzwolić. I to nie są historie o samochodach i przesuwającym się horyzoncie, ale raczej mroczne, utrzymane w molowej tonacji wyznania dotyczące sytuacji, w której kobieta jest zmuszona uciekać".

Nie inaczej rozpoczyna się książka towarzysząca albumowi „Run, Rose, Run", której współautorką jest Parton. Na jej pierwszych stronach bohaterka – młoda artystka country – łapie stopa, by uciec od dotychczasowego życia. Kiedy kierowca ciężarówki próbuje ją napastować, dziewczyna wyciąga broń z torebki. W tej scenie łatwo zresztą odnaleźć Parton, która w ten sposób miała przepędzić natręta podczas swojej pierwszej wizyty w Nowym Jorku. Parton potrafiła walczyć o siebie nie tylko za pośrednictwem piosenek.

Poprawki i ulepszenia

Za każdym razem, gdy podnoszone są argumenty na rzecz feminizmu Parton, pojawiają się co najmniej dwie kontry. Pierwsza dotyczy zakorzenienia artystki w tradycji amerykańskiego Południa. Niewątpliwie jest lokalną patriotką, ale stara się też uważnie reagować na społeczne nastroje. Dlatego usunęła kontrowersyjny, odnoszący się do konfederackich stanów przedrostek „dixie" z nazwy swojej restauracji. Ponadto w wywiadzie udzielonym „Billboardowi", w czasie trwania protestów organizowanych w reakcji na zabójstwo George'a Floyda, nie pozostawiła niedopowiedzeń: „Oczywiście, że życie czarnych ma znaczenie! Myślicie, że tylko nasze białe dupska są ważne? Nie!".

Druga kwestia to operacje plastyczne, którym od lat poddaje się artystka. Nie wpisują się one w lewicowy trend „ciałopozytywności". Smarsh uważa jednak, że uprzedmiotowiana, seksualizowana przez mężczyzn od początku swojej kariery gwiazda country daje w ten sposób do zrozumienia, że to ona decyduje o swoim ciele i świadomie wykorzystuje je do budowania swojego wizerunku. Gra w tę grę i czerpie z niej korzyści. Smarsh widzi w tym wyzwalające przechwycenie, które kontynuują dzisiejsze gwiazdy popkultury. Nie powinno więc dziwić, że w jednym z utworów do Parton nawiązuje mocno grająca swoim wizerunkiem gwiazda hip-hopu – Nicki Minaj.

Jak widać, nietrudno zbija się argumenty przeciwko Parton. A może to po prostu kolejny przejaw „The Dolly Moment"? Niewykluczone, bo choć na co dzień nie dotyka mnie amerykańska wojna plemion, to przecież wizja „świętej Dolly" napełnia moje serce ciepłem. Zanim dokopię się więc do kontrowersji, stawiam kropkę. Po co to psuć?

© JAN BŁASZCZAK

POŻEGNANIE

Z wielkim żalem żegnamy naszą Cioteczną Siostrę

Ś.†P.

dr Marię Kuczyńską
z d. Sczaniecką

ur. 21 XI 1939 r.,
zm. 21 IV 2022 r. w Londynie

Pamiętamy Ją jako kogoś bardzo serdecznie nam bliskiego.
Była mądrą lekarką, oddaną ludziom. Wspominamy też jej gościnność,
gdy nas przyjmowała u siebie w Anglii.

23 maja o godz. 18.00 będziemy się za Nią modlić w kościele parafialnym
w Warszawie-Falenicy.

Pogrzeb w Anglii odbędzie się 1 czerwca o godz. 13.00
w kościele Sacred Heart, Edge Hill, Wimbledon.
Dziękujemy też Hani za relacje z ostatnich chwil życia Mai.

STEFAN TACZANOWSKI I ANDRZEJ WIELOWIEYSKI Z RODZINAMI

BERND UHLIG

W.A. Mozart „Requiem", reż. Romeo Castellucci, teatr operowy La Monnaie, Bruksela, 26 kwietnia 2022 r.

Msza za ciebie

PIOTR GRUSZCZYŃSKI

Przed naszymi oczami defilują wymarłe kultury, narody, języki, zaginione dzieła sztuki, budowle. Entropia, jak to entropia, nie oszczędza niczego. A jednak wciąż na widowni czujemy się bezpiecznie. Do czasu.

Nie zastanawiamy się dziś już, czy coś jest materiałem dla teatru, czy nie, i czy powinno się mu dawać sceniczne życie. Odkąd teatr przestał być tylko maszynką inscenizacyjną, wiemy, że badania, które prowadzi, dotyczą nieograniczonych terytoriów. Czasami jednak decyzje reżyserskie budzą w nas wielkie emocje oraz oczekiwania wynikające z rangi dzieła, które ma trafić na scenę, i rangi artysty, który się za to zabrał. Tak musi być w przypadku spotkania „Requiem" Wolfganga Amadeusa Mozarta z teatrem Romeo Castellucciego.

Pierwszy raz „Requiem" pokazano na festiwalu w Aix-en-Provence w 2019 r. Teraz, po pandemii, ma swoje wznowienie: stało się prologiem festiwalu Wiener Festwochen, można je zobaczyć/wysłuchać w brukselskiej La Monnaie. Muzyczną stroną przedsięwzięcia kieruje znakomity Raphaël Pichon, dyrygujący stworzoną przez siebie orkiestrą i chórem Pygmalion.

Prowokacje i przebudzenia

Co zrobił Castellucci z mszą żałobną Mozarta? Dramaturgiczne metody tego bardzo osobnego włoskiego reżysera, założyciela teatru Socìetas Raffaello Sanzio (w 1981 r. w Cesenie), są zawsze radykalne. Zarówno spektakle dramatyczne, jak i muzyczne sięgają po rozbudowane olśniewające obrazy oraz gesty brutalne w swej prowokacyjności. Przypomnę spektakl pokazywany w 2011 r. na festiwalu Dialog we Wrocławiu „O twarzy. Wizerunek syna Boga", który wzbudził protesty organizacji katolickich zarzucających twórcy obrazę uczuć religijnych. Reżyser zmagał się z tematem poniechania losu człowieczego przez Boga. Niewypowiedziany krzyk „czemuś mnie opuścił" słyszalny był w tragikomicznym traktacie o zniedołężniałej starości. Oskarżenie dotyczyło obojętności na niedołęstwo starego mężczyzny defekującego w nieskazitelnie białym pokoju. Na widowni przed rozpoczęciem spektaklu i w trakcie rozpylano zapach kału.

W wiedeńskiej wersji opery „Orfeusz i Eurydyka" śpiewający partie Orfeusza stał na pustej scenie przed mikrofonem, a jego śpiew był transmitowany do hospicjum, w którym leżała młoda kobieta w komie doznanej wskutek zawału serca. Miała na uszach potężne słuchawki, widzieliśmy na zbliżeniach jej twarz, mimikę, oczy szeroko otwarte. Czy można mocniej zarysować dziś linię napięcia pomiędzy Hadesem a życiem? Castellucciemu udało się doprowadzić widownię do stanu niemej histerii, gdzie nasze oczekiwanie graniczyło z pewnością, że oto staniemy się świadkami cudu, uzdrowienia przez niebiański śpiew, wyciągnięcia z krainy śmierci jednej z wielu Eurydyk. Te radykalne gesty ocierające się o prowokacje moralne naruszają emocjonalność widzów – widziałem kiedyś bójkę na widowni, podczas której ci zachwyceni, którzy bili brawo na stojąco, byli szarpani przez tych oburzonych i zgorszonych.

Castellucci był też jednym z pierwszych twórców, który wprowadził na scenę ciała nienormatywne, jak choćby ciała anorektyczek czy ciało komunikujące się przez otwór tracheotomijny. Takie reprezentacje człowieczeństwa uwierzytelniają całą teatralność, przenoszą doświadczenie sceniczne w wymiar doświadczenia życiowego. Słowo ciałem się staje i odwrotnie.

Parada wymierań

W „Requiem" na scenie pojawia się inne ciało, zbiorowe, a ściślej – chóralne, które oczywiście śpiewa, ale śpiew jest tylko jednym z przejawów jego życia. To ciało roztańczone, w ruchu, tylko czasami solowym. To my, nasi przedstawiciele, albo – jak powiedzielibyśmy w branży teatralnej – „nasza reprezentacja". Tańczą bardzo intensywnie. W ogóle nie przeszkadza im to w czystym śpiewie. Żadnej zadyszki. Cóż to za chór!

Ale zacznijmy od początku. Na środku sceny stoi łóżko. Naprzeciwko włączony telewizor. Obok łóżka stolik nocny. Na nim jabłko. Wchodzi stara kobieta. Pali papierosa, patrząc „w telewizor". Zza sceny słyszymy śpiewany pojedynczym głosem chorał gregoriański. Kobieta bierze jabłko, zjada kawałek, odkłada na podłogę. Kładzie się, przykrywa cała kocem i znika w łóżku. To znaczy zapada się w materacu, rozpuszcza, ulatnia, jakoś dziwnie i niepokojąco. Nieprzyjemnie się zapadła. Odeszła. Świat nawet nie drgnął. Wszystko pozostało nieporuszone.

Ten drobiazgowy opis wynika z tego, że u Castellucciego każda rzecz coś znaczy. Ale niedobrze jest przekombinować z interpretacją. Lepiej zaufać prostocie myślenia. Rebus z prologu jest prostszy od jolki. Lawina symboli i odwróconych znaczeń dopiero nadciąga.

Pomysł Castellucciego jest jak zawsze pojedynczy i bardzo mocny. Wystawić „Requiem" jako „Święto wiosny", czyli pogańskie święto życia i odrodzenia. Chór wyłania się z czerni zaraz po zniknięciu kobiety na marach. Pojawia się w ubraniach codziennych, współczesnych. Kiedy zacznie tańczyć, wykona prosty folklorystyczny układ choreograficzny. Taniec w kręgu, trzymamy się za ręce. Ale już za chwilę cały chór zacznie intensywnie podskakiwać, będzie drżała cała widownia.

Chwilę później chór powróci na scenę w kostiumach przypominających szwedzkie stroje ludowe, a przynajmniej nasze wyobrażenie o nich powzięte z filmu „Midsommar" Ariego Astera, który zdefiniował dla masowej wyobraźni przebieg skandynawskiej najkrótszej nocy w roku, a także otworzył nowe możliwości dla horrorów, pokazując sielankę podbitą podszewką żarłocznej śmierci i potrzebą krwi. Budując swój całkowicie oryginalny obraz najsłynniejszej mszy za umarłych, Castellucci osadza nas w łatwo rozpoznawalnych kontekstach. Czując się zaniepokojeni tym, co widzimy, rozpoznajemy oswojone obrazy i zabiegi.

Muzyce towarzyszy dramaturgia napisów wyświetlanych na tylnej ścianie sceny. To druga oś dramaturgiczna: opowieść o wielkich wymieraniach. Zaczyna się od wymierania gatunków. Oto złowróżbna zapowiedź naszego losu, w który tak trudno nam uwierzyć. Przecież nasza inteligencja nie pozwoli nam zginąć głupio, jak to się przytrafiło ogromnym dinozaurom albo znacznie wcześniej trylobitom i mszywiołom. Łańcuchy wymierań będą się rozwijać przez cały spektakl. Nie sposób zapamiętać wszystkich.

Przed naszymi oczami defilują wymarłe kultury, narody, języki, zaginione dzieła sztuki, budowle (tu silna reprezentacja terenów Polski z nieistniejącymi synagogami, tutaj też znalazł się teatr w Mariupolu). Entropia, jak to entropia, nie oszczędza niczego. A jednak wciąż na widowni czujemy się bezpiecznie, wierząc, że nas to wszystko nie dotyczy. Nawet kiedy chór pod koniec „Lacrimosy" pada cały w jednej sekundzie na ziemię niczym ścięty niewidzialną kosą ludzki łan – trywialność tego opisu może tylko świadczyć o kunsztowności obrazu.

Tutti morti

Ale Castellucci nam nie odpuści. Nie wywiniemy się łatwo, bo kupiliśmy bilety, żeby bezpiecznie posłuchać i popatrzeć. Zmierzamy do finału narracji prowadzonej w napisach. Pojawiają się nasze codzienne wymierania. Zmarli w poszczególnych dzielnicach miasta, w którym oglądamy spektakl. W tym czasie chórzystki i chórzyści rozbierają się do naga (w większości, nie wszyscy, zwolennicy tropienia przemocy w teatrze mogą się uspokoić). Stłoczeni w bezładną grupę, przypominają zbiorowości znane ze średniowiecznych obrazów. Oczekujący na Sąd Ostateczny czy już potępieni? Zatrwożeni i bezradni. Opadają białe płachty zasłaniające finalny czarny horyzont. Ostatni napis jest trwały, nie wyświetlany, ale wypisany na ścianie. To aktualna data, która łączy nas wszystkich z grupą umarłych – znów – reprezentującą nas na scenie. Wszyscy tam stoimy bezradni i nadzy. Wszyscy umarliśmy. *Tutti morti.*

Chór powoli wysuwa się w kulisy. Na scenie pozostaje ziemia i białe szaty ludzkości. I teraz ta scena, której się nie zapomina. Gigantyczna podłoga zaczyna podnosić się do pionu. Powoli w naszą stronę zsuwają się białe ubrania i czarna ziemia. Jakby pochłaniał nas grób, zamykał w brutalnej i nieprzyjemnej czeluści. Ta tocząca się ziemia wydaje w sumie kojący dźwięk. Przypomina deszcz? Deszcz ziemi bębni o wieko trumny. Ale to nie koniec. Oglądamy przecież spektakl o śmierci, jako życiu jako śmierci.

Czas na kobiety, one zawsze niosą nadzieję odrodzenia. Wchodzą trzy: stara, młoda i dziewczynka. Jest już cała ludzkość. Młoda wnosi na scenę niemowlę. Położy je na środku sceny i zniknie. Dziecko zostaje samo z jakąś kolorową zabawką, której nie jest w stanie dosięgnąć. Z kanału orkiestry wychodzi kilkuletni chłopiec. Biegał wcześniej po scenie, kopiąc piłkę zrobioną z ludzkiej czaszki – niektórzy mówią, że to już przesada w banalności symboliki. Śpiewał też chybotliwym głosem jedną część „Requiem". Teraz do niego należy końcowy chorał gregoriański. Kiedy skończy, kładzie palec na ustach. Cisza, nie mówcie o tym, co przeżyliście, i tak o najważniejszym przeżyciu, którego nie przeżyjecie, nie opowiecie nikomu. Dziecko zaczyna gaworzyć w nadziei dotarcia do zabawki.

Po wypadku

Nie wiemy, czy mamy do czynienia z wiecznym kołem wymierania i odradzania. Nie umiemy sobie wyobrazić, żeby było inaczej. Dlatego pewnie tak trudno uwierzyć nam w katastrofę klimatyczną, bo przecież zawsze w końcu nadchodzi wiosna, kwitną drzewa i odradza się nasza życiowa energia.

Spektakl Castellucciego nie jest zresztą przestrogą przed pazernym wykorzystywaniem naszej planety. Koniec świata następuje wielokrotnie, nieskończoną liczbę razy. Czasem wskutek katastrofy. Na scenę wpychana jest karoseria zmiażdżonego samochodu. Wypadki i nagłe śmierci są obsesją Castellucciego. Jeden z jego spektakli, „Metopa z Partenonu" (2015), eksplorował śmiertelne ↦

↦ nagłe przypadki: śmierć na wojnie, porażenie słoneczne, zatrucie, porażenie prądem, wypadek przy pracy na budowie.

Widzowie funkcjonowali jak tłum gapiów tworzący zbiegowisko wokół miejsca wypadku. Do każdej ofiary charakteryzowanej na naszych oczach na osobę w agonii przyjeżdżało pogotowie na sygnale z zawodową ekipą ratowniczą. Akcja ratunkowa kończyła się niepowodzeniem. Pogotowie odjeżdżało. Zostawaliśmy z żałosnym trupem.

W „Requiem" wypadek zdarzył się wcześniej. Poszczególni członkowie chóru ubrani na biało zastygają na krótką chwilę przed zmiażdżonym samochodem w pozach ekstatycznych. Dusze ulatujące nie wiadomo dokąd, bo system religijny nie jest tu zdefiniowany. Są tylko elementy różnych przekonań, nieskładające się w spójną całość. Chwilę później ofiary wypadków przechodzą na drugą stronę sceny i kładą się rzędem na rozsypanej ziemi. Koniec ekstazy.

Muzyczne spektakle Castellucciego są same w sobie wydarzeniami kultowymi. Słyną nie tylko z artystycznej jakości, ale także z gigantycznych kosztów produkcji. Kiedy na festiwalu w Salzburgu w 2018 r. wystawił on „Salome" Richarda Straussa, bilety u „koników" kosztowały tysiąc euro i więcej. Na „Requiem" grane w czasie postcovidowym i wojennym można było zdobyć bilety z odpowiednim wyprzedzeniem. Myślę, że idącym na spektakl towarzyszył lęk, jakiego rodzaju będzie to doświadczenie. Czy msza za umarłych pogłębi traumę, czy pozwoli rozpocząć jakąś pracę nad stratą, która jest nieodłączną częścią życia? Tańczący chór plecie nici życia, nie śmierci. Ale śmierć podcina nogi tańczącym. Ta msza za umarłych jest mszą za ciebie. © PIOTR GRUSZCZYŃSKI

W.A. Mozart, **REQUIEM,** *reżyseria Romeo Castellucci, kierownictwo muzyczne Raphaël Pichon. Premiera w Aix-en-Provence w 2019 r. Spektakle w operze La Monnaie w Brukseli.*

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | Zakopane – 100,0 FM
www.radiokrakow.pl

Pozioma genealogia

ANITA PIOTROWSKA

Na ekranie złota jesień mocno chrzęści pod stopami i już podczas czołówki słychać miarowe tykanie zegara. Lecz w tej historii trzech pokoleń kobiet nic tak do końca nie umiera.

KAŻDY RODZIC BYŁ KIEDYŚ DZIECKIEM, i brzmi w tym straszliwy truizm. Bywa, że nabiera on właściwego ciężaru dopiero w gabinecie psychoterapeuty, gdy przepracowuje się w bólach dzieciństwo. Bo zanim obwinimy za wszystko matki i ojców, dobrze czasem zobaczyć w nich niegdysiejsze dziewczynki i chłopców, z ich marzeniami, lękami, traumami.

Céline Sciamma w nowym filmie pięknie rozwija tę fantazję: jak to jest mieć osiem lat i spotkać swoją mamę, kiedy była dokładnie w tym samym wieku? Być może moglibyśmy potem lepiej ją zrozumieć, więcej wybaczyć? Ale „Mała mama" daje się czytać także w odwrotną stronę. Czy gdybyśmy w dzieciństwie spotkali nasze przyszłe dzieci, nadalibyśmy swemu życiu inny bieg, a przynajmniej uwierzyli w jego sens?

Jak się łatwo domyślić, nie dostajemy filmu o teleportacji ani o podróżach w czasie z pogranicza *science* i *fiction*, bowiem głównym wehikułem staje się tutaj naiwna wyobraźnia, paliwem zaś stłumione emocje. Gdy umiera babcia małej Nelly, jej rodzice muszą opróżnić dom po zmarłej i dziewczynka coraz bardziej zanurza się w przestrzeń dzieciństwa własnej mamy. Spędza czas pośród jej szpargałów: książek, zeszytów, rysunków, wśród ukrytych po kątach nocnych strachów.

Tymczasem Marion (Nina Meurisse), mama Nelly, złamana żałobą nie potrafi udźwignąć rodzicielskiej roli i bez pożegnania nagle wyjeżdża. Pod opieką ojca (Stéphane Varupenne) Nelly zaczyna tworzyć swój wewnętrzny świat, gdzie zamieszkuje wraz z małą Marion – identyczną jak ona dziewczynką spotkaną w przydomowym lesie. A właściwie we własnej głowie. Dziecięce wcielenie mamy okazuje się idealną towarzyszką, skorą do wszelkich zabaw, obdarzoną podobną inwencją i mówiącą tym samym językiem. Wraz z pojawieniem się sobowtóra Nelly (obie postacie zagrały bliźniaczki Gabrielle i Joséphine Sanz) w filmie następuje subtelne zakrzywienie czasoprzestrzeni. Przybyła z przyszłości córka zaprzyjaźnia się z przybyłą z przeszłości matką i już za chwilę zaczniemy tracić pewność, w którym świecie aktualnie przebywamy i kto jest czyim gościem.

Sciamma opowiada o tym w sposób prosty i przezroczysty, mieszcząc się w siedemdziesięciu raptem minutach i oswajając całą niesamowitość zawartą w tej neobaśni. Operatorka Claire Mathon podąża za czystym spojrzeniem

MATERIAŁY PRASOWE

Joséphine Sanz jako Nelly w filmie „Mała mama", 2021 r.

Nelly, kadruje rzeczywistość na wysokości jej oczu, nadaje obrazom, szczególnie wnętrzom, nieomal graficzną formę. Kamera spokojnie kursuje pomiędzy lasem, gdzie bohaterka i „mała mama" z zapałem budują szałas, a opustoszałym, zawieszonym w bezczasie domem babci. Ta ostatnia ożywa zresztą w swojej młodszej wersji, jako mama małej Marion. Daje to Nelly szansę, by ostatecznie pożegnać się z jakże bliską jej sercu (przyszłą) staruszką, a jej córce uświadomić, że wspólnego czasu wcale nie zostało im tak wiele.

W filmie Sciammy słychać bowiem ciche wołanie o codzienną uważność. Nie tylko w obliczu śmierci, ale wszelkich upływających chwil, które zwłaszcza w dziecięcym dorastaniu mają wymiar niepowtarzalności. Na ekranie złota jesień mocno chrzęści pod stopami i już podczas czołówki słychać miarowe tykanie zegara. Lecz w tej historii trzech pokoleń kobiet nic tak do końca nie umiera. Podobnie jak w naturze, aczkolwiek kryje się w tym również biologiczny determinizm, objawiający się możliwością choroby genetycznej. Czy Nelly odziedziczy ją po swoich przodkiniach? Tego akurat nie wiemy. Wiadomo natomiast, że choć Marion czeka poważna operacja, wszystko musi skończyć się w miarę dobrze – w przeciwnym razie Nelly nie byłoby na świecie.

Najważniejsza jednak w „Małej mamie" wydaje się więź, jaka krętą drogą wytwarza się między bohaterkami, na przekór dotychczasowym błędom, przemilczeniom bądź zaniechaniom. Scenarzystka i zarazem reżyserka buduje to połączenie jakby mimochodem, w drobnych, dyskretnie symbolicznych scenach. Weźmy początek filmu, kiedy podczas jazdy autem Nelly karmi przekąskami siedzącą za kierownicą dorosłą mamę – czyli niejako matkuje tej, która właśnie straciła własną matkę. W kolejnej scenie świeżo poznana „mała mama" zaprasza Nelly do domu i tam krząta się wokół niej niczym troskliwa rodzicielka. W ten sposób, za sprawą magicznej konwencji, jaka rządzi tą historią, następuje przywrócenie w niej właściwego porządku.

Aż chciałoby się zamknąć film Sciammy w wygodnym pojemniku: jako opowieść o dziecięcej samotności, smutku żałoby, o odzyskiwaniu rodzica, dojrzewaniu do przebaczenia... I byłoby to prawdą, jednakże francuska reżyserka unika gładkich mądrości, a efekt wzruszenia osiąga bez melodramatyzacji. Woli czasoprzestrzenne przemieszczenia, lustrzane odbicia, zabawę w teatr, tudzież swetry założone na lewą stronę. To film podszyty pierwotnym lękiem – że mama już nigdy nie wróci i że winne temu odejściu jest właśnie dziecko.

Tyle dostajemy na poziomie literalnym. O wiele więcej przynosi obcowanie z tajemnicą dziecięcej imaginacji. Nie pierwszy raz Sciamma łamie w tej dziedzinie ugrzecznione schematy. Dość przypomnieć zrobioną z dużym wyczuciem „Chłopczycę" (2011) o niebinarnym dziecku czy scenariusz do nagradzanej animacji „Nazywam się Cukinia" (2016) o sztuce przetrwania w dzieciństwie.

Przy „Małej mamie" reżyserka po raz kolejny wystrzega się upupiania swoich małoletnich postaci. Wręcz przeciwnie: poszerza dzięki nim granice dorosłej percepcji. Jej celem, jak mówi w wywiadach, był psychologiczno-filmowy eksperyment, w którym maksymalne upodmiotowienie ośmiolatki spowoduje przełamanie tradycyjnej hierarchii, zrównanie na chwilę pozycji matki i córki, ustanowienie „poziomej genealogii". Trąci to wydumanym konceptem, w przeciwieństwie do aury samego filmu. Nawet pomieszanie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, które działa zrazu dezorientująco, pozwala w końcu poczuć się bezpiecznie, a nawet znaleźć w melancholijnym filmie Sciammy nienachalne pocieszenie. ©

MAŁA MAMA *(Petite maman) – reż. Céline Sciamma. Prod. Francja 2021. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 20 maja.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Lingui

Dramat, reż. Mahamat-Saleh Haroun, Niemcy/Belgia/Czad/Francja 2021, Nowe Horyzonty VoD

Obyczaj, religia, okrutne prawo – z tym wszystkim muszą się mierzyć na co dzień mieszkanki Czadu. Wobec zakazu aborcji i praktykowanego obrzezania dziewczynek mogą liczyć tylko na pomoc innych kobiet. Historia samotnej matki i jej nastoletniej córki osadzona została w szerszym społecznie kontekście. A jest nim także cichy bunt i ukryta solidarność.

2. Pachinko

Serial, reż. Kogonada, Justin Chon, USA/Korea Południowa 2022, odc. 1-8, Apple TV+

Na podstawie powieści Min Jin Lee toczy się opowieść o wielopokoleniowej rodzinie koreańskich imigrantów w USA. Bywa rozlewna i kameralna, bywa też brutalna (zwłaszcza w opisie historycznych doświadczeń) i za chwilę niezwykle czuła. A do tego mamy zaskakujące paralele losów, nielinearną narrację, świetne aktorstwo oraz wiecznie żywy temat tożsamości i asymilacji.

3. Przestańcie nas filmować

Dokumentalny, reż. Joris Postema, Holandia 2020, Netflix

Kręcąc film w Kongu, europejski reżyser chciałby uniknąć kulturowego zawłaszczenia, lecz miejscowi artyści uświadamiają mu, że dobre intencje to nie wszystko. Bo nawet im trudno czasem uciec od postkolonialnej optyki. Ten autotematyczny w dużej mierze dokument porusza kwestię reprezentacji i identyfikacji, a co za tym idzie – kształtowania wizerunku Afryki i jej mieszkańców.

4. Punkt wrzenia

Dramat, reż. Philip Barantini, Wielka Brytania 2021, HBO Max

Jak pracować w londyńskiej restauracji i nie zwariować? Metodą jednego ujęcia kamera śledzi perypetie załogi, która w przedświąteczny wieczór ma na swojej głowie sanepid i krytyczkę kulinarną, zmaga się z alergią na orzechy i arogancją klientów, nie mówiąc o problemach szefa kuchni i międzyludzkich spięciach. Ta kolacja nie może się udać.

JAN

Klata:
O nomenklaturze

Po wygraniu trzeciej wojny światowej samotrzeć z min. Błaszczakiem i min. Macierewiczem, specwicepremier Kaczyński może się skoncentrować na sprawie naprawdę istotnej, czyli na partii. A konkretnie na zwieraniu szeregów, bo inaczej z trzeciej kadencji nici, a wtedy kaplica. Na Swarożyca, jest o co powalczyć, trzeba policzyć szable, a raczej miecze. Ponoć jedynowładca ma zamiar część partyjnych baronów nieco przetrzebić. A tych baronów jest ze 40, i już się w pień wycinać poczynają. Ale nie o walki baronów za nowogrodzkimi kobiercami mi idzie, a o średniowieczną nomenklaturę.

Oto baron ziemi radomskiej, baron Suski, we własnego wyrobu średniowiecznej plerezie pod spektakularną misiurą, zręcznie robiący koniem, melduje się na rozkaz suwerena. Z drugiej strony baron Terlecki z ziemi małopolskiej, w szykownym hełmie typu „psi pysk", niewypuszczający zawadiackiego papierosa z kącika ust, ani kroku wstecz. Dolnośląski baron Dworczyk, ściskając głownię obosiecznego miecza, nerwowo usiłuje sobie przypomnieć, przy której baszcie zakopał trotyl. Baron Sasin z Wołomina spokojnie liczy talary na płatnerza. Baronessa Witek gotuje się do reasumpcji wyników turnieju, który oczywiście powinien mieć miejsce w Gnieźnie.

Partyjni baronowie, podczaszy, łowczy, burgrabiowie, podkomorzowie, koniuszy – oto wizja elit prawdziwie prapolskiej Polski! Ale poszedłbym za ciosem krzyżtopora i poleciłbym możnym i władczym... zmianę imion na takie naprawdę polskie, które będą bardziej pasować do ich prestiżowych tytułów. Baron Marek Suski? Marek? Serio? Miłościwie rządzący feudałowie, kosiarze umysłów, przygotowałem dla was ściągę!

Oto garść idealnych imion dla partyjnych baronów: Jarogniew, Nietubył, Będzieciech, Mściwuj, Częstogoj, Mścisław, Biezpraw, Mszczuj, Niedał, Zdziebud, Gniewomir, Dzierżykraj, Przemęt, Mścigniew, Izbylut, Bezprym, Rzędzimir, Sobierad, Miłodziad, Ubysław, Cirzpisz, Grzmotko, Krzywosąd, Budzigniew, Cierpisław, Swar, Mogiłek. Można sobie dopasować. ©

Lektor:
Brecht na nowo czytany

▪ *Bertolt Brecht*
ELEGIE BUKOWSKIE I INNE WIERSZE
Wybór i tłumaczenie Ryszard Krynicki.
Wydawnictwo a5, Kraków 2022, ss. 174.
Biblioteka Poetycka, tom 116.

Dramatopisarz i teoretyk teatru, poeta, prozaik i publicysta, Bertolt Brecht (1898-1956) był najmocniejszym głosem niemieckiej lewicy literackiej. Zdeklarowany antyfaszysta i marksista, nigdy jednak nie wstąpił do partii komunistycznej, a uciekając z Niemiec po pożarze Reichstagu wybrał kraje skandynawskie, potem zaś Stany Zjednoczone – nie Moskwę. Ostatnie lata spędził w Niemczech Wschodnich – ale z paszportem austriackim. Gdy w 1953 r. w NRD wybuchły antyrządowe protesty – oficjalnie wsparł władzę, ale równocześnie napisał sarkastyczny wiersz, który pozostał najmocniejszym śladem tamtego buntu w literaturze. Brecht-poeta kojarzy się nam z songami z „Opery za trzy grosze" w spolszczeniu Władysława Broniewskiego. Jego liryka to jednak przede wszystkim osobisty komentarz do rzeczywistości, celny i zjadliwy, czasem cyniczny, czasem zaś czuły. Wydawca Siegfried Unseld w posłowiu do stu swoich ulubionych wierszy Brechta zauważył, że można je nazwać „poezją okolicznościową", bo zawsze stanowią reakcję na coś – na wydarzenia polityczne czy historyczne, na przyjaźń czy miłość. A brzmią zdumiewająco świeżo i aktualnie, i dotyczy to zarówno antynazistowskich „Satyr niemieckich" z wydanych w 1939 r. „Wierszy svendborskich" (duński Svendborg był jedną ze stacji wędrówki Brechta-emigranta), jak i późnych, refleksyjnych „Elegii bukowskich". W zwięzłości swojej bliskie poezji Dalekiego Wschodu, nic dziwnego, że zafascynowały właśnie Ryszarda Krynickiego, mistrza lapidarności. „Mały dom wśród drzew nad jeziorem. / Nad dachem unosi się dym. / Gdyby go zabrakło / Jak żałosne byłyby / Dom, drzewa, jezioro". Ta książka ma długą historię, dzieje podziemne, których zwieńczeniem był tom wydany w 1980 r. przez Niezależną Oficynę Wydawniczą, dziś niemal niedostępny, z wyblakłym miejscami – jak w moim egzemplarzu – powielaczowym drukiem. Obecne wydanie – pierwsze w obiegu oficjalnym – zostało przez tłumacza poszerzone i poprawione w oparciu o zbiorową edycję dzieł Brechta. Okładkę i stronę tytułową projektował Wojciech Wołyński. Na koniec przeczytajmy jeszcze jeden wiersz: „A ja myślałem zawsze: wystarczyć muszą / Najprostsze słowa. Kiedy powiem, jak jest / Każdemu serce o mało nie pęknie. / A to że zginiesz, jeśli nie będziesz się bronić / To przecież zrozumiesz". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Minimum filtra

Sto siedemdziesiątka szóstka z minimalnym spóźnieniem toczyła się po jednej z peryferyjnych dróg, na które trudno mówić „ulica", bo to tylko wstęga asfaltu i równoległe pasy chaszczy wskroś obszaru hal fabrycznych i pofabrycznych na warszawskim Żeraniu. Wracałem tamtędy ze szparagami. Skoro zachciało mi się przepuścić część wypłaty na jałowe odżywczo łodygi po trzydzieści sześć za kilo, to chciałem, żeby były jędrne i nieprzesuszone. Ruszyłem więc do gospodarstwa ogrodniczego, które, oprócz jakości plonów tudzież megawatów dobrej energii emanującej z osób za ladą w sklepiku, ma też tę zaletę, że leży blisko, w zasięgu komunikacji miejskiej, co postanowiłem wykorzystać, żeby obniżyć ślad węglowy zachcianek obiadowych. I trochę, nie ukrywam, z racji odwróconego na lewą stronę snobizmu, żeby zyskać na moment eko-moralną wyższość wobec klienteli, która zapełnia parking potężnymi brykami, jakby na potwierdzenie wszystkich klasowych stereotypów wokół zdrowej żywności.

Jechałem więc objuczony – płóciennymi, rzecz jasna – torbami, a autobus zatrzymywał się na kolejnych przystankach o statusie „na żądanie", bo przez większość dnia nieużywanych. Ale teraz akurat na każdym ktoś żądał, i to w liczbie jak najbardziej mnogiej. Było nieco po drugiej po południu, po krótkim namyśle ze wstydem stwierdziłem, że pomimo dorastania kiedyś w cieniu wielkiej huty i jej syren, zapomniałem, kiedy się kończy pierwsza zmiana w fabryce. A więc w tej okolicy istnieje jeszcze realna gospodarka: ktoś wytwarza, przerabia i magazynuje.

Nic mnie istotnego – jak wiek czy język – od tych ludzi nie różniło, ale cały aparat poznawczy przestawił mi się w tryb obcości. Bez poczucia zagrożenia, ale bez żadnej skłonności do wspólnoty. Ulica ocierała się dosłownie o płot gospodarstwa, w którym przed chwilą buszowałem pośród skrzynek, a było tak, jakbym wsiadł w międzynarodowy kurs i przekroczył granicę innego kraju.

Jedyne, co miało prawo mnie zdziwić, to fakt, że trwa on jeszcze w formie resztkowej na samym obrzeżu metropolii. Kilometr od końcowej stacji metra toczą swoje prace i dnie ludzie, którzy muszą dotrzeć do roboty dalej niż wynosi odległość z łóżka do laptopa, a na wyprute z maszyn i pracy hale patrzą raczej z żalem, a nie z radością poszukiwaczy fajnych kadrów z nowej odnogi turystyki zwanej urbeksem. Bo samo istnienie bardzo różnych Polsk, które nie dają się na stałe i bez karkołomnych nadużyć złożyć do kupy politycznie, jest oczywiste, choć niewygodne.

Zwłaszcza kiedy ta inna (czy może raczej „inne", bo to nie są proste binarne podziały) ma o naszej jak najgorsze zdanie, podważając prawomocność naszego zadomowienia w fajnym w sumie, bezpiecznym świecie. W odruchu obronnym i z zamiarem trzymania obcego na dystans ta Polska, do której bardziej przynależę, odwzajemnia się niezrozumieniem, tyle że ubranym w rozmaite wyższościowe kostiumy. W komunały socjologiczne o *left behind* i konieczności dojrzewania do demokracji, w marną atrapę empatii, bo syty i tak głodnego nie zrozumie, w pouczenia estetyczne, dotyczące zwłaszcza języka. Jakim to mianowicie językiem ten świat ma prawo się wypowiadać i opowiadać, żebyśmy ewentualnie chcieli go wysłuchać.

Obserwuję to ostatnio z dużą mocą w tonie dyskusji, jaką wywołało „Nie ma i nie będzie" Magdaleny Okraski. Nie tylko sama książka, ale i wypowiedzi autorki, która nie przeprasza za to, że żyje, i że wydała zbiór tekstów niespełniających uznanych standardów reportażu. Na pewno nie jako pierwsza objechała prowincję, która po ćwierci wieku podnosi się po szoku wczesnego kapitalizmu. Wałbrzyskie biedaszyby, beznadzieja miasteczek, gdzie przysłowiowy Balcerowicz zamknął jedyną dużą fabrykę, degradacja miast, którym w 1999 r. „zabrano" województwo – to wszystko tematy obrabiane przez wielu reporterów już wcześniej. Ale jest w tej książce aspekt nowy, a w każdym razie mało zużyty – minimum filtra i rygorów formalnych w przekładaniu rozmów z setkami ludzi, którzy ze świata tyle zrozumieli, ile od niego dostali po głowie.

Dla wyrobionych miłośników uznanej literatury *non fiction* to ciężkostrawne, wręcz nieporadne. Połowę rozdziałów jako eks-redaktor bym skrócił albo próbował mocno przerobić. Ale na szczęście jestem tylko czytelnikiem. Gotowym na moment niewygody, do której was namawiam – potrwa zresztą krótko, to tylko trzysta stron. Mój autobus też wkrótce dojechał do pętli, przesiadłem się w tramwaj i za kwadrans już byłem z powrotem w swoich pięknych dzielnicach. ©℗

Wiadomo, że szparag lubi się z żółtkami i sosami na bazie żółtek. Najbardziej polecam wam słoną wersję zabaione, które znajdziecie w archiwum naszej rubryczki – dziś za to łatwy i atrakcyjny wariant makaronu alla carbonara. Z pęczka szparagów odłamujemy najbardziej zeschłą część (zazwyczaj dolna 1/3 długości), wrzucamy do dużego gara z wodą, doprowadzamy do wrzenia i gotujemy pod przykryciem. Resztę szparagów obieramy, kroimy na kawałeczki ok. 0,5 cm. Wrzucamy na patelnię, na której rozgrzaliśmy 3 łyżki oliwy, podsmażamy minutę na dużym ogniu, zmniejszamy go, podlewamy wrzątkiem z garnka ze szparagowym wywarem i dusimy kilka minut, aż zmiękną. W dużej misce ucieramy 5 żółtek i 5 łyżek sera pecorino (musimy osiągnąć konsystencję pitnego jogurtu). Z garnka wyrzucamy łodygi, wrzucamy makaron, gotujemy go al dente, przerzucamy na patelnię z pokrojonymi szparagami, podsmażamy krótką chwilę, całość przerzucamy do miski z kremem żółtkowym i tam natychmiast, szerokimi ruchami łyżki od dołu ku górze, mieszamy, tak by uzyskać kremową konsystencję. Na wydaniu jeszcze garść sera i oczywiście świeżo zmielony pieprz.

GIUSEPPE PERRONE / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

GRAJ I SŁUCHAJ

KRZYSZTOF STACHYRA, MUZYKOTERAPEUTA:

Niejeden psycholog jest zaskoczony, jak głęboko może działać muzyka. I jak szybko osiąga się efekty, które w gabinetach wymagają tygodni przedzierania się przez mechanizmy obronne.

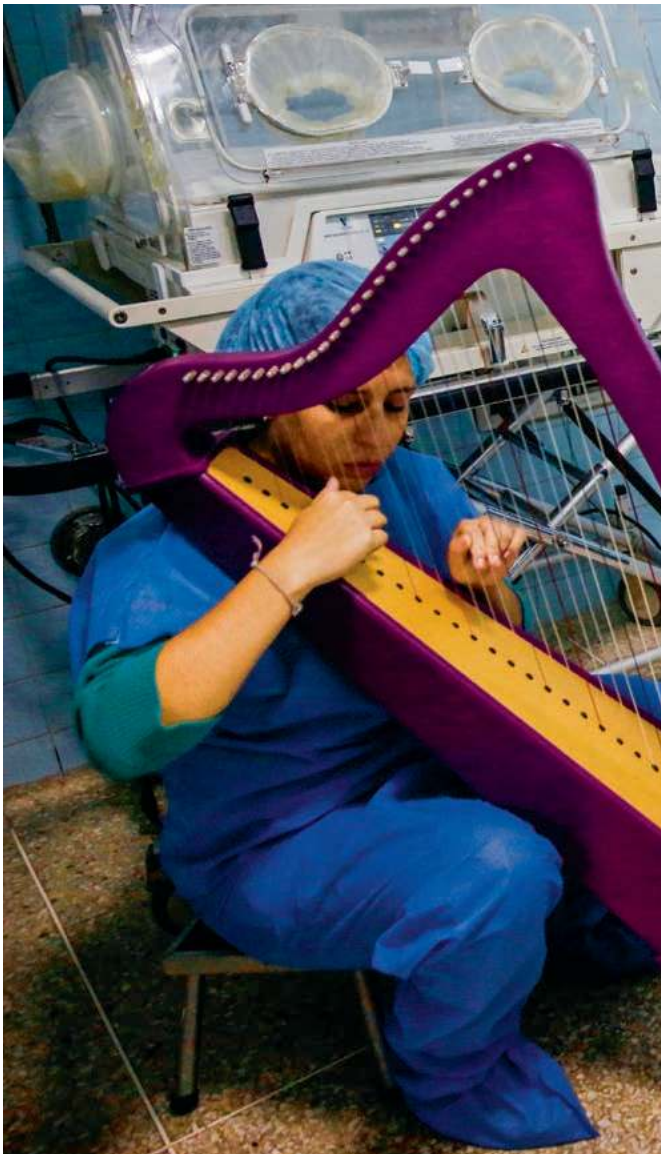

CARLOS GARCIA RAWLINS / REUTERS / FORUM

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy rodzaj słuchanej muzyki może coś mówić o charakterze człowieka?

KRZYSZTOF STACHYRA: Można się spodziewać, że melancholicy będą mieli skłonności do muzyki o podobnym charakterze, ale to jednak uproszczenie. W pewnych sytuacjach melancholik może dostrzec, że nagromadzone napięcia łatwiej mu rozładowywać przy muzyce pełnej energii.

Pokutuje jednak przekonanie, że im ostrzejsza muzyka, tym bardziej „coś nie tak" ze słuchaczem. Zapewne taki człowiek ma problem z agresją.

Ja na pewno nie mówiłbym o agresji. Spotykane przeze mnie osoby słuchające np. heavy metalu, chodzące w glanach i czarnych ubraniach, okazywały się ludźmi niezwykle spokojnymi. Kiedyś zostałem zaproszony do Radia Lublin i spotkałem tam wytatuowanych członków zespołu Behemoth. Spędziliśmy razem kilka godzin i było to jedno z moich sympatyczniejszych doświadczeń muzycznych. Spokojni ludzie, ze wszystkim mogli się kojarzyć, tylko nie z agresją.

A co z muzyką relaksacyjną? Mnie ona często nie uspokaja, a bardziej złości tymi „plumkającymi" dźwiękami.

W muzykoterapii bardzo ważną rolę odgrywa zasada iso. Jeśli ktoś jest w stanie pobudzenia lub złości, to chcąc to zmienić, powinniśmy zacząć od nawiązania do obecnego nastroju tej osoby. Człowiek wściekły nie wyciszy się przy muzyce relaksacyjnej. W tym stanie potrzebuje muzyki rytmicznej, dynamicznej. Na początku konieczne jest odreagowanie, wyrzut skumulowanych emocji, by później stopniowo zmierzać w stronę dźwięków, które mogą nas wyciszać. Stąd pewnie rozczarowanie osób, które w nerwach bezskutecznie próbowały „ratować się" dźwiękami z przeciwległego końca emocjonalnej skali. A poza tym muzyką relaksacyjną nazywa się dziś wszystko, co ma wolne tempo i dźwięki przyrody dołączone w tle. To ogromne uproszczenie.

No właśnie, czy odgłosy natury zawsze nas uspokoją?

Gdy słyszymy szum fal, to kojarzy się on nam z czymś przyjemnym, bo nie słuchamy go w pracy, ale podczas wakacji. Śpiew ptaków z kolei uruchomi zapewne skojarzenie z odpoczynkiem na leśnej polanie. Ale płyta relaksacyjna z odgłosami dżungli to już błąd w sztuce. Sama dżungla może się przecież łączyć z poczuciem zagrożenia. Jej odgłosy są bardzo odmienne od tego, z czym mamy do czynienia na co dzień.

Każdy, kto próbował spać w lesie, wie, jak pierwszej nocy każdy dźwięk wydaje się groźny.

Tak, nawet wspomniany szum fal dla osoby, która kiedyś się topiła, będzie się kojarzył źle, tak samo jak leśna łąka albo bzyczące owady – alergikowi.

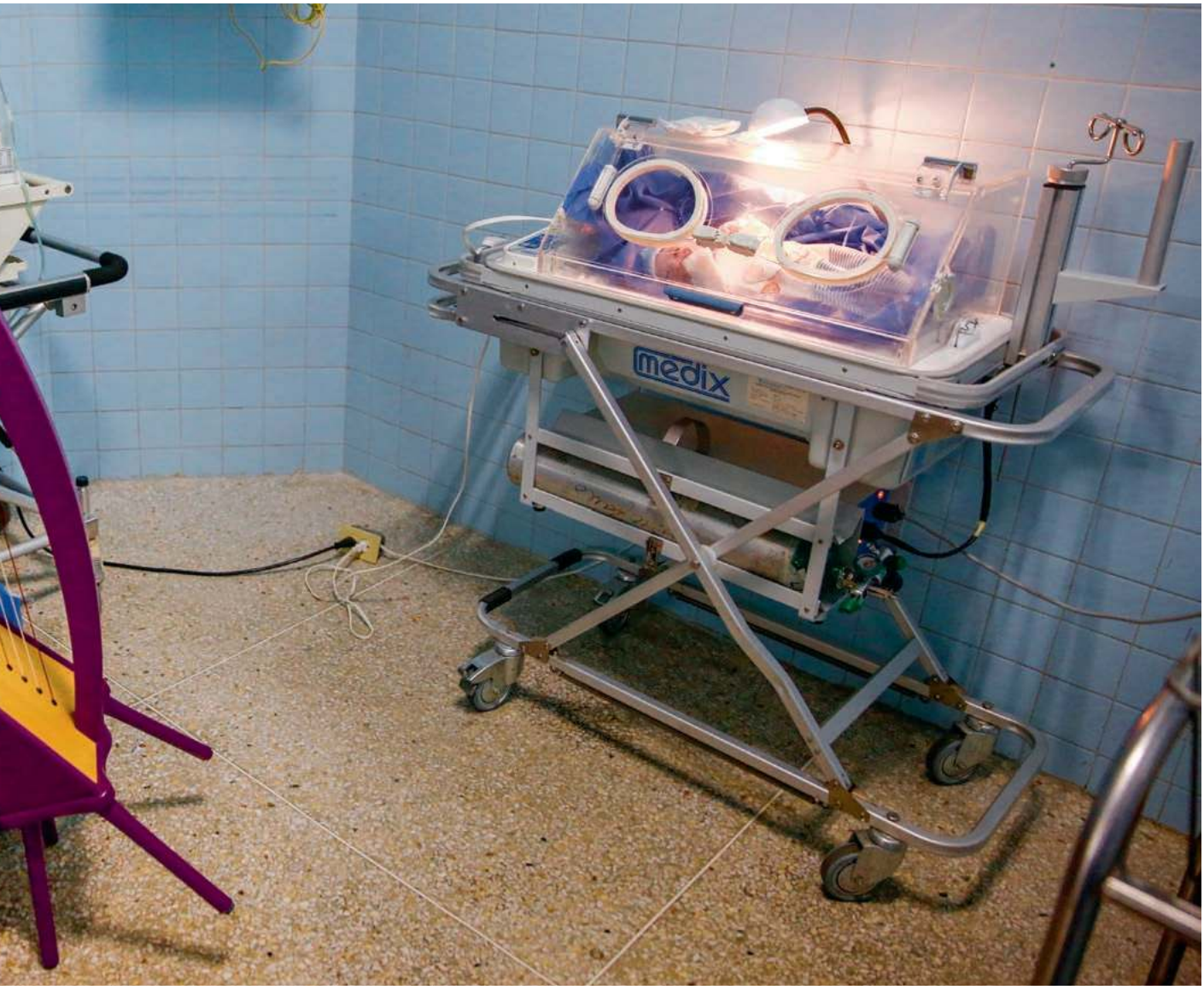

Szpital położniczy w Caracas, Wenezuela, październik 2014 r.

Nie ma uniwersalnej muzyki terapeutycznej. Te same dźwięki w jednej sytuacji mogą być świetnym narzędziem, a w innej – destruktorem. Mogą też budzić przyjemne uczucia, ale nie przynosić efektów terapeutycznych. To są skomplikowane kwestie, tak samo jak wielowymiarowa jest muzykoterapia.

Czyli nie można jej rozumieć jako psychoterapii przy użyciu umiejętnie zastosowanych dźwięków?

Nie można. Psycholog włączający muzykę do praktyki nie staje się muzykoterapeutą, tak jak fizjoterapeuta wykorzystujący muzykę do sugerowania tempa wykonywania ćwiczeń też nim nie jest. To osobna dziedzina, z własną metodologią. Psycholog będzie zupełnie inaczej myślał o muzyce, bo pracuje werbalnie, a jeśli stosuje dźwięki, to raczej dla budowania klimatu i wspierania relaksacji. W muzykoterapii dużą rolę odgrywa kontakt niewerbalny, improwizacja, taniec, śpiew, instrumenty, wspólne komponowanie. To pomaga również przy pracy z pacjentami, z którymi kontakt słowny jest utrudniony lub niski jest ich poziom funkcjonowania intelektualnego. Tam możliwości klasycznej psychoterapii są ograniczone.

To na czym polega Pańska praca?

Najważniejsze jest wspólne doświadczanie, budowanie relacji, towarzyszenie pacjentowi w odkrywaniu siebie. Zdarza mi się pracować także z psychologami i niejeden jest zaskoczony, jak głęboko muzyka może działać i jak szybko można czasem osiągnąć efekty, które w psychologicznych gabinetach wymagają wielu tygodni przedzierania się przez mechanizmy obronne i maski. Muzyka jest czymś niezwykłym i – umiejętnie zastosowana – może „otworzyć" pacjenta nawet na pierwszych sesjach, bo pozwala docierać głębiej do emocji niż słowa. Jest bardziej „nasza", bezpieczna; przed słowami psychologa możemy się nieświadomie bronić. Bo to ktoś obcy. W muzykoterapii bardziej przeżywamy, niż analizujemy. Nie chcę powiedzieć, że to lepsza forma pracy, jest po prostu inna.

Szkolne dyskoteki, na których na początku chłopcy i dziewczyny podpierają przeciwległe ściany, a potem bariera nagle znika... Masa wspaniałych wspomnień zaczyna się od muzyki.

Muzyka to jedyna rzecz na świecie, która – choć obiektywnie nie jest niezbędna do życia – jest obecna wszędzie. ↦

↦ Ma w sobie coś uniwersalnego, kosmicznego. Kontakt z nią może nas uwrażliwiać, wpływać na poprawę koncentracji i pamięci, zwiększać kreatywność. Muzyka działa na wspomnienia, uruchamia skojarzenia, a jednocześnie łączy nas ze światem zewnętrznym. Wspólny taniec, śpiew rodzą interakcje i budzą poczucie wspólnoty. Muzykoterapeuci wykorzystują to w pracy z pacjentami, choćby improwizując z nimi. Niby każdy tworzy swoją „partię", ale w efekcie tworzymy coś razem. To daje poczucie bliskości, intymności, ważne dla wielu pacjentów, „odciętych" przez chorobę od społeczeństwa.

W jakich schorzeniach stosuje się muzykoterapię?

Muzykoterapia jest młodą dziedziną nauki, ma jakieś sto lat, ale jej elementy są obecne już w kulturach plemiennych. Rytuały lecznicze prowadzone przez szamanów oparte były przecież na muzyce oraz tańcu, przynosząc efekty, choćby redukcję bólu. Dzisiejsza muzykoterapia rozwija się w niezwykłym tempie – w Światowej Federacji Muzykoterapii kończymy właśnie pracę nad analizą praktyk muzykoterapeutycznych i wyróżniliśmy grubo ponad trzydzieści metod. Mają zastosowanie w pracy z wcześniakami, dziećmi i dorosłymi z różnymi dysfunkcjami, przeżytą traumą, po udarach, z demencją. Ja sam zaczynałem pracę od osób dorosłych ze schizofrenią, choć wtedy byłem młody i jeszcze niewiele umiałem. Później pracowałem z dziećmi z głęboką niepełnosprawnością intelektualną, następnie doszli ludzie dorośli, także ci z autyzmem, którzy mają poważne problemy z przetwarzaniem bodźców i zredukowane więzi z innymi ludźmi.

Muzyka pomaga dostrzec innych?

Muzykoterapia pomaga pacjentom zauważyć, że istnieje świat poza nimi, że inni ludzie mogą być źródłem pozytywnych doznań. Na pierwszych sesjach zdarzają się zazwyczaj tylko momenty, w których udaje się nam być razem, ale zawsze są one bardzo znaczące. Jest to też wsparcie dla bliskich takiej osoby, pozwala wierzyć w poprawę jej funkcjonowania. Rodzice mogą zredukować własny lęk, co się stanie z dzieckiem, gdy ich zabraknie.

Czy muzykoterapia daje ulgę w chorobach somatycznych?

W Krakowie na UJ pracuje prof. Radosław Śpiewak, wybitny alergolog i dermatolog, który przyjechał do Lublina studiować muzykoterapię. Jak wiemy, alergie i choroby skóry mogą mieć podłoże psychiczne. W Poznaniu z kolei działa Krzysztof Samela, który sam jest muzykoterapeutą i przeszedł dwa poważne epizody nowotworowe. Zauważył, że w szpitalach onkologicznych od poniedziałku do piątku dużo się dzieje, są zabiegi i konsultacje, ale weekendy stają się bardzo depresyjne, bo wszystko zamiera i jest za dużo czasu na myślenie. Krzyś organizuje tam weekendowe koncerty niosące poczucie wspólnoty i ulgę psychiczną pacjentom.

To może się sprawdzić w innych przypadkach?

Myślę, że z czasem muzykoterapeuci pojawią się też w hospicjach, tak jak dzieje się na Zachodzie, zwłaszcza w Kanadzie i USA. Towarzyszą tam ludziom cierpiącym, zmagającym się z depresją i samotnością – w godnym odejściu. Czynią ostatnie dni piękniejszymi. Zwykłe wspólne zaśpiewanie piosenki działa czasem cuda, pozwala wyrzucić frustracje, daje odpoczynek od dręczących myśli. Nic tak dobrze nie stymuluje różnych obszarów mózgu jak muzyka.

Do dziś pamiętam te dreszcze na plecach, gdy jako piętnastolatek usłyszałem The Cure i poczułem całym sobą, że twórczość Kombi nie jest jednak tym, co kocham... Czy muzyka czyni lepszym i mądrzejszym? Tak się wtedy poczułem.

Zapoznałem się ostatnio z wynikami badań bliźniaków, którzy uczyli się gry na instrumentach i przez pięć lat analizowano zmiany w ich mózgach pod kątem wpływu muzyki. Rezonans magnetyczny wykazał zwiększoną liczbę połączeń między półkulami mózgu i zmiany w jego strukturze. Dostrzeżono poprawę w zakresie radzenia sobie z wieloma zadaniami równocześnie i lepszą decyzyjność.

W wielu miejscach internetu można znaleźć linki do opublikowanych w „Nature" badań nad sonatą D-dur Mozarta na dwa fortepiany, które prowadziła psycholożka i wiolonczelistka Frances H. Rauscher. Rzekomo Mozart zapobiega stanom padaczkowym, wzmacnia zdolności poznawcze. Wierzyć w to?

To są badania z początku lat 90. i prawdopodobnie były obarczone jakimś błędem. Powtórzono je kilkukrotnie w różnych instytutach i nie zaobserwowano takich efektów, ale – jak widać – w internecie nie jest łatwo przebić się z wiedzą kwestionującą słynny „efekt Mozarta". Nie ma w muzykoterapii cudownych pigułek, a Mozart nie jest lekiem na padaczkę.

Skąd się u Pana wzięło zainteresowanie muzykoterapią?

Jak w przedszkolu widziałem klawiaturę, to nie umiałem się powstrzymać, by czegoś nie „zagrać". Nieraz oberwałem za to od nauczycielki. Ale moi rodzice, choć są ludźmi bez „dyplomów", zawsze mnie wspierali. I gdy zacząłem grać ze słuchu na akordeoniku otrzymanym od babci, zaraz zaproponowali naukę w ognisku muzycznym. W pół roku zrobiłem dwuletni program i pani nauczycielka namówiła mnie na szkołę muzyczną. Skończyłem ją, ale nie nauczono mnie tam miłości do muzyki. To była raczej szkoła rzemiosła.

Nie zniechęcił się Pan?

Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia o istnieniu muzykoterapii i nawet nie planowałem iść na studia. Uznałem, że matura wystarczy – nie chciałem zwariować od nadmiaru wiedzy (śmiech). No ale alternatywą były dwa lata w wojsku, więc poszedłem na nauczycielskie studia z edukacji muzycznej na UMCS, rozważałem też równoczesne studia psychologiczne. Zawsze byłem osobą lubiącą poszukiwać drogi do poznania ludzkiej natury. Ale wtedy, w połowie lat 90., zadzwonił kolega z weselno-biesiadnego zespołu, w którym dorabiałem śpiewaniem, graniem na trąbce, keyboardzie, flecie i akordeonie. Powiedział mi o powstaniu pierwszego w Lublinie środowiskowego domu samopomocy dla osób z zaburzeniami psychicznymi. Szukali kogoś do terapii przy użyciu muzyki. Potraktowałem to jak ciekawą wakacyjną pracę na trzy miesiące, zostałem na ponad trzy lata.

Kwalifikacje z muzykoterapii zdobywał Pan na studiach?

Tak, pojechałem na studia podyplomowe na drugi koniec Polski, ale nie powiem dokąd, bo było to rozczarowujące doświadczenie. Po dwóch latach, odbierając dyplom, nie bardzo wiedziałem, czym właściwie jest ta muzykoterapia. Przełom nastąpił w 2002 r., kiedy z Londynu przyjechał dr Simon Procter i zaprezentował współimprowizację z pacjentem: na instrumentach i głosem. Nie mogłem uwierzyć, jak bez żadnych konkretnych słów można osiągać tak niesamowite efekty. Pokazał też wtedy film z kilkuletnią dziewczynką, która w wyniku traumy po śmierci matki przestała mówić, nastąpił regres w jej rozwoju, swój lęk okazywała agresją. Na początku muzykoterapeuta, zgodnie ze wspomnianą zasadą iso, starał się odwzorowywać emocje dziecka improwizując na instrumencie, a ono w tym czasie krzyczało, kopało, tłukło w ściany. W końcu położyło się na wykładzinie i zaczęło stukać nogą, ssąc kciuk.

BARTOSZ PROLL / MATERIAŁY PRASOWE UMCS

PROF. KRZYSZTOF STACHYRA
jest prezesem Polskiego Stowarzyszenia Muzykoterapeutów i Polskiego Stowarzyszenia Terapii przez Sztukę. Były członek zarządu Światowej Federacji Muzykoterapii. Pracownik naukowy UMCS w Lublinie. Ukończył szkolenia z psychoterapii muzycznej (Guided Imagery and Music) w USA, Irlandii i Wielkiej Brytanii. Gościnnie wykłada we Włoszech, Austrii i Chorwacji.

W rytm muzyki?

Tak. To już nie było przerażenie, ale pierwszy kontakt – leżąc dziewczynka stukała w rytm muzyki granej przez terapeutę, a to oznacza, że zaczęła go zauważać. W trakcie kolejnych piętnastu półgodzinnych, cotygodniowych spotkań widać było, jak odzyskuje siebie, buduje relację z terapeutą, zaczyna mówić. Postanowiłem wtedy pojechać do Londynu i przekonać się na własne oczy, jak tam pracują.

Miałem szczęście do ludzi, bo potem, po doktoracie zostałem zaproszony na konferencję Amerykańskiego Stowarzyszenia Muzykoterapeutów. Tam mogłem spotkać ludzi, których znałem tylko z książek. Między nimi był Clive Robbins, współtwórca modelu muzykoterapii kreatywnej. W kolejnych latach się zaprzyjaźniliśmy i to w dużym stopniu odmieniło całe moje życie. Zrozumiałem, że muzykoterapia nie jest tylko dodatkiem do psychoterapii. Nieco później zacząłem robić kurs na psychoterapeutę muzycznego. Wtedy też otworzyłem się na muzykę klasyczną i zacząłem ją poznawać, obserwując, co się dzieje z ciałem, jakie obrazy się pojawiają w umyśle, jakie wspomnienia. To były głębokie doświadczenia.

Stosował Pan później muzykę klasyczną w terapii?

Tak, w metodzie Wizualizacji Kierowanej z Muzyką, gdzie najpierw wprowadza się pacjenta w stan głębokiego odprężenia, a potem pozwala się działać muzyce. W innych metodach klasyka jest gdzieś na poboczu z uwagi na zbyt duży potencjał do wyzwalania emocji. W wielu sytuacjach terapeutycznych jest zbyt silnym stymulatorem, jest zbyt zmienna, nasycona.

Dużo się słyszy o tym, jak za pomocą muzyki można manipulować ludźmi. Kiedyś pisałem tekst o składankach w hipermarketach, ale okazało się, że cała manipulacja sprowadza się do tego, że jak jest dużo ludzi, to puszczają szybsze kawałki, żeby klienci szybciej robili zakupy, a w innych godzinach dźwięki relaksacyjne, by ludzie zostawali dłużej i kupowali więcej. I nic o wpływie podprogowym.

Dużo w tych doniesieniach o magicznym „programowaniu" człowieka jest przesady. Tak, za pomocą muzyki stymulowano ludzi do walki, znamy i pieśni, i tańce wojenne. I zapewne tempo muzyki może też na nas w pewnym stopniu oddziaływać w sklepie. Znam badanie, podczas którego w sklepie z winem prezentowano klientom muzykę francuską i ludzie rzeczywiście częściej wybierali wina z tego kraju. Ale tu nie ma żadnej wysublimowanej manipulacji. Muzyka ma ogromną moc, jednak reakcje na nią nigdy nie będą takie same u wszystkich, schematyczne.

Sporo się słyszy o „binaural beats", niskich dźwiękach wprowadzających w odmienne stany świadomości, oraz o częstotliwości strojenia muzyki 432 Hz, która ma być bardziej klarowna, harmonijna, dostrojona do częstotliwości wszechświata. Teorie spiskowe mówią, że zmieniono ją na 430 Hz, by nami manipulować, budzić agresję.

Nie wierzę w to. Ktoś kiedyś uznał za normę strojenie instrumentów do częstotliwości 432 Hz, a potem tę normę zmieniono. Tak samo jak jedni umówili się na metry, a inni na stopy. Kiedyś w ogóle nie było takiej normy i w różnych miejscach świata, w różnych miastach i wsiach, strojono instrumenty w różny sposób, ważne było, by ze sobą współgrały. Zresztą nieco inny strój ma trąbka zimna, a inny ciepła, dlatego czasem trzeba dostrajać instrumenty w przerwie koncertu. Nic mistycznego z tego nie wynika. Mistyczna jest sama muzyka.

Kto może zostać muzykoterapeutą?

Każdy, kto kocha ludzi, potrafi grać na instrumentach, ma potencjał i ukończy studia na kierunku muzykoterapia. W naszym środowisku skupiamy się na walce o prawne uregulowanie tego zawodu, bo dziś muzykoterapeutą ogłosić się może każdy. Ściągnąć sobie z internetu sto utworów na sto chorób i twierdzić, że leczy muzyką. Albo mamić ludzi i za pomocą kamertonów „leczyć" z próchnicy zębów, wypadania włosów, łamliwości kości, raka czy cellulitu. W różnych miejscach w Polsce prowadzi się też kursy, a nawet studia, które tylko z nazwy mają związek z muzykoterapią. Bardzo chcemy z tym skończyć i nadać naszemu zawodowi właściwy status.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

STANISŁAW

Mancewicz:
O modzie

Do tej sprawy warto na chwilę wrócić, zanim ona wróci do nas. Pod koniec marca rząd tutejszy dyskretnym komunikatem ministra zdrowia zakończył pandemię. Co za długo, to niezdrowo.

Wiele się namyślano w Polsce nad stosunkiem ogółu do obostrzeń (co za wstrętne słowo) i przypomnieć tu warto o zmieniającym ów namysł w zdefiniowaną rzeczywistość odkryciu polskiego genu sprzeciwu. Gen ten – jak wiadomo – uniemożliwia podporządkowanie się regulaminom. Dużośmy się śmiali z tych bredni i ich autora, ale, jak mówi staropolska mądrość, ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Rzec więc wypada, że nasz ohydny śmiech zmienił się w jeszcze ohydniejszy grymas. Gen istnieje – dowodem jest choćby, rządowe właśnie, marcowe zniesienie obowiązku izolacji w przypadku zachorowania, ma to oczywiście schlebiać obywatelom z nadczynnością genu sprzeciwu. W wiosennym numerze „Galicyjskiej Gazety Lekarskiej" (jest to pismo Okręgowej Izby Lekarskiej w Krakowie) przeczytaliśmy, że jesteśmy jedynym takim krajem w świecie. Znowu więc – tu konieczne jest użycie języka niektórych polskich mediów opiniotwórczych – ponieśliśmy zwycięstwo, a osobność Polaków na planecie Ziemia została udowodniona po raz kolejny. Może jeszcze warto wtrącić, że najmniej zaszczepionych obywateli w Europie ma nie tylko Polska, ale też m.in. Ukraina. A zatem, co będzie w jesieni? Zobaczymy, ale, zdaje się, nie jest to temat do jakichkolwiek przemyśleń kogokolwiek. Gdy dodamy do tego informację, że Polska pozbywa się szczepionek i odmawia przyjmowania kolejnych ich partii, wypada poważnie zastanowić się nad zakupem trumny, choćby spekulacyjnym. To może być niezła inwestycja.

Choroby – ogólnie rzecz biorąc – to trudny temat na śmieszne teksty. Jak tu ponuro siedzimy, okazało się, że wiara w istnienie wirusów czy bakterii nie jest dana ogółowi raz na zawsze. Chciałoby się powiedzieć, że kiedyś, a było to jeszcze za koszmarnego komucha, ludzie mieli jakby większy dostęp do mikroskopów elektronowych i fachowego piśmiennictwa, i zdaje się bardziej uważali na lekcjach przyrody, a dziś jest inaczej. Świetny żart. Poważnie rzecz biorąc – temat jest ciekawy. Popatrzmy. Dawno temu – powiada się – dostęp do nauki był utrudniony. Wszelakie bariery, w tym oczywiście ekonomiczne, komplikowały kontakt bądź to z uniwersytetem, bądź z nieco mądrzejszym i wykształconym bliźnim. Wrażenie – pewnie złe – jest takie, że głupota ludzka nie rzucała się tak bardzo w oczy. Była, rzecz jasna, jakąś normą, ale żeby się nią chwalić czy ją demonstrować, na przykład przy kolacji u cioci, w parlamencie, w świątyni, w akademii nauk – to nie. Ludzie byli głupi dyskretniej – tak nam się wydaje. Zdarzało się, że głupiego ze świecą trzeba było szukać. Tak było. Głupota stała się jednak modna. Ta myśl – każdy to chyba przyzna – ma skrzydła.

Oto popatrzmy: dostęp dziś do człowieka głupiego jest absolutnie nieograniczony i jest to dostęp globalny. Być może dlatego, że głupota się szalenie zdemokratyzowała. Głupcy są wszędzie, w każdej warstwie społecznej, w każdym zawodzie, w każdym rządzie i w każdym uniwersytecie, głupek stoi na każdym rogu, każdej ulicy, choćby ulica ta miała za patrona wielkiego myśliciela. Za pomocą najgłupszej i najtańszej elektroniki możemy dotrzeć w ułamku sekundy do najgłupszego człowieka na dowolnym kontynencie, nawet na Antarktydzie, gdzie, jak wiadomo, ludzi jest mało, więc i głupków pewnie też niewielu. Ale to może być oczywiście złudzenie. No więc, dostępność głupoty jest tu i teraz powszechna. Ktoś powie, że mądrość takoż nie ma ograniczeń, a wybór z tego, co dostępne, jest wolny. Owszem. Ale to też jest ciekawe, że *Homo*, w ramach swego *sapiens* – rzecz jasna, w przenośni – wybiera mowę głupka będącego na podorędziu. Choćbyśmy zjedli tysiąc kotletów, to nie umiemy powiedzieć dlaczego. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

PROFESJONALNY SKLEP
Z AUTORSKIMI MIESZANKAMI
NASION ŁĄK KWIETNYCH

pani łąka

www.panilaka.pl

ANNA
reż. Julia Roesler

Ten festiwal doda odwagi

62. KRAKOWSKI
FESTIWAL
FILMOWY
62nd KRAKOW
FILM
FESTIVAL

29.05—12.06.2022
krakowfilmfestival.pl
kino + online

Organizator:
KRAKOWSKA FUNDACJA FILMOWA
KRAKOW FILM FOUNDATION

Współorganizator:
Stowarzyszenie Filmowców Polskich

Projekt współfinansowany przez Unię Europejską
Kreatywna Europa MEDIA

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym:
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ
Kraków
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
MAŁOPOLSKA

REKLAMA